

*Leniwa
Niedziela*

CHRISTINE BREEN

Na imię jej Rose

*Niezwykłe ciepła
i wzruszająca
„Booklist”*



Świat Książki

CHRISTINE BREEN

Na imię jej
Rose

Z angielskiego przełożyła
Anna Zielińska


Świat Książki
wydawnictwo

Dla Nialla, Deirdre i Josepha

Rośliny zawsze mają jakąś rodzinę.

Deborah Levy, *Swimming Home*

CZEŚĆ PIERWSZA

Papaver rupifragum
'Flore Pleno'

Rozdział pierwszy

Technik radiolog, która robiła mammografię, miała krótkie ciemne włosy z jednym pasemkiem w płomiennoczerwonym kolorze. Mówiła z dublińskim akcentem, a jej imię zaczynało się na L. Letitia? Loretta? A może Latara? Iris była zbyt zdenerwowana, żeby zapamiętać. Środek pomieszczenia bez okien zajmowało stare urządzenie diagnostyczne – biały metalowy aparat rentgenowski. Przy drzwiach stało czarne plastikowe krzesło na chromowanych nogach. Narożnik, do którego przeszła L., był odgradzony ścianką z szybą. Widać ją było tylko do pasa.

To był dla Iris jeden z tych dni. Redaktor poprosił, żeby zajrzała rano do „The Banner County News”, przyszła więc podekscytowana, sądząc, że zaproponuje jej etat. Wskazał krzesło i zaproponował kawę. Nigdy wcześniej tego nie robił. To znaczy, nie proponował kawy. Potem oparł o krawędź biurka swe krótkie nogi w beżowych sztruksach (w bardzo minimalistycznym skandynawskim stylu) i oświadczył, że gazeta się przeprofilowuje. A artykuły o ogrodnictwie nie cieszą się teraz dużym zainteresowaniem na rynku prasowym.

– Oczywiście, ja uwielbiam te twoje kawalki. Nawet je czytam. No, ale taka jest cena postępu. – Spojrzał na zegarek. – Przepraszam. To samo muszę powiedzieć wszystkim wolnym strzelcom. Nie jesteś jedyna. Krzyżówki też wypadają. I gość od książek.

Iris skupiła się na fragmencie ulicy widocznym w szczelinach drewnianych żaluzji.

– Wiem, Iris. Cholerny pech. Cóż robić, decyzja zarządu. Cienko przedziemy i musimy robić cięcia. Ciach, ciach. Sama wiesz, jak obecnie mają się sprawy. – Arthur Simmons, dziesięć lat młodszy od niej, był synem właściciela gazety. Przez moment pomyślała, że on idiotycznie wygląda z włosami postawionymi na irokeza. Nawet nie potrafi ich porządnie wymodelować. No i jest za stary na taką fryzurę. A co do spraw... akurat on zapewne niewiele o nich wie.

Chyba czekał, aż ona coś powie, a ponieważ milczała, stanął przy biurku i patrzył na nią z góry. A ona nie odrywała oczu od wełnianej wykładziny.

– Wszystko okej?

Zmusiła się, by podnieść głowę, pokazując mu zmartwioną twarz.

– A może herbata zamiast kawy? – zapytał.

– Nie. – Przeciągnęła palcami po włosach i przyglądała fryzurę. – Muszę się zbierać. – Wstała. – W takim razie od kiedy?

– Słucham?

– Od kiedy koniec?

– Hm. Właściwie... – Z przeproszącą miną i z rękami w kieszeniach kołysał się na obcasach. – Od dziś. Przykro mi.

Patrzyła na niego o chwilę za długo. Zacerwienił się. Czyżby rzeczywiście było mu przykro?

– Sądziłam... że dobrze mi szło – powiedziała. – Wiesz, czytelnicy przysyłali pytania. „Kiedy najlepiej przycinać jabłonie?”.

– Iris, proszę.

– „Kiedy należy wykopać piwonie?”, „Jaki jest najlepszy czas na flancowanie marchewki?”.

Zacisnął usta, uniósł brwi i powoli pokręcił głową. Najwyraźniej wszystko już zostało powiedziane.

Podeszła do drzwi i nacisnęła klamkę.
– Chwila! Poczekaj! – zawołał za nią. – Czekaj... coś ci podpowiem. Otwieramy internetową wersję gazety. W twoim przypadku blog mógłby okazać się strzałem w dziesiątkę. – Zrobił pauzę. – Oczywiście, gdybyś zgodziła się prowadzić go za darmo...

Sektor przeciął jej ulotną nadzieję.
– ...dopóki nie sprawdzimy, jak dużo będzie wejść. – Uchyliła drzwi. – Iris?
– Zastanowię się – odparła i wychodząc, jeszcze w drzwiach się odwróciła. – W ogóle nie flancuje się marchwi – oznajmiła spokojnie pewnym siebie tonem, patrząc mu prosto w twarz. Ze spuszczonej oczami przeszła przez labirynt skandynawskich biur personelu redakcyjnego „Banner County News”. Czy już wszyscy wiedzieli, że została zwolniona? Stawiając kroki w rytm łomotu w piersiach, zeszła po schodach i stanęła na ulicy.

*

– Czy pani nadal miesiączkuje?
Pytanie L. ściągnęło ją na ziemię.
– Tak.
– Kiedy był ostatni okres?
– Dwa tygodnie temu.
L. skierowała rozebraną do pasa Iris do mammografu i odpowiednio ją ustawiła.
A właściwie ułożyła jej pierś. Najpierw prawą.
– Proszę się odwrócić w tę stronę. Tutaj położyć ramię. Tak jakby pani ten aparat obejmowała.

– Obejmowała?
– Wiem. Tylko na chwilę. To nieprzyjemne, jest zimny.
Gdy z głową odwróconą w bok wyciągniętym ramieniem opasała mammograf, L. obniżyła płytę. Stała teraz bardzo blisko. Iris widziała motyla wytatuowanego za jej prawym uchem. I czuła morski zapach jej włosów.

Potem przysła kolej na lewą pierś.
– Odczyt zajmie parę minut – poinformowała ją L.
Półnaga Iris okryta pelerynką z niebieskiej krepiny przeszła do dusznego pomieszczenia ukrytego za zamkniętymi drzwiami i przysiadła na małej ławeczce. Była pewna, że wyblakły niebieski kolor gryzie się z czerwonorudym odcieniem jej włosów. Sięgnęła do ratanowego koszyka, który nosiła zamiast torebki, odszukała starą pomadkę i opanowując drżenie ręki, pociągnęła nią usta.

– No, lepiej – powiedziała do drzwi.

*

Ludzie zwykli mawiać, że Iris Bowen jest piękna, bo ma burzę rudych włosów, wysokie kości policzkowe, a porusza się po ulicach Ranelagh, dzielnicy na przedmieściu Dublinia, jak bosonoga tancerka. Ale tak było całe wieki temu. Tamta kobieta, która według Luke’a była najpiękniejsza ze wszystkich, jakie znał, siedziała teraz w idiotycznej pelerynce z niebieskiej krepiny i w swych najlepszych letnich pantoflach – czarnych sandałkach ze zmyślnie splecionymi paskami. Półnaga, czuła się bardzo bezbronna.

Wydeptane linoleum, polerowane przez setki stóp, skrzypiało pod podeszwami, kiedy na zmianę krzyżowała nogi. Chłód wywoływał dreszcze. Objęła piersi dłońmi. Od czasów Luke’a nikt ich nie dotykał. Nabrała powietrza w płuca i liczyła, wstrzymując oddech. Wypuść powoli powietrze. Odetchnij ponownie. Jeden, dwa, trzy...

– Pani Bowen. – L. zapukała i uchyliła drzwi. – Musimy powtórzyć zdjęcie lewej piersi. Według mnie nie wyszło zbyt wyraźnie. Przepraszam, ale radiolog musi dostać dobre klisze do odczytu. – Nawykła do niepokoju pacjentek, zwracała się do nich krótkimi, profesjonalnymi zdaniem. – Proszę się nie przejmować. Często się tak zdarza. To nic nie znaczy. Stary sprzęt. – Zaprowadziła Iris z powrotem do mammografu. – W przyszłym miesiącu mamy dostać aparat cyfrowy. On daje o wiele lepszy obraz. – L. ułożyła lewą pierś Iris na zimnym, czarnym kwadracie. Rozpłaszczyła ją czystymi dłońmi i obniżyła płytkę kompresyjną. Kiedy ją docisnęła, Iris przyszło na myśl słowo „sutek”. A wraz z nim nagle pojawił się strach. Nic, tylko zimny, blady strach.

Znowu czekała, aż L. obejrzy kliszę. Ogarnęła ją panika. Na siłę starała się przywołać w pamięci obraz ogrodu – maków wyhodowanych z nasionek, które teraz wyglądały przepięknie. Tak, przepięknie. Dokładnie takie były. Potrzeba wielu ludzi – myślała – żeby stworzyć ogród; tych, co go wymarzą, i tych, co go uformują. Bez ogrodników kwiaty są jak sieroty...

– Pani Bowen. Teraz w porządku. Może się pani ubrać.

Iris powoli wypuściła powietrze z płuc i w lakierowanych czarnych sandałkach oraz w pelerynce z krepiny przeszła korytarzem do przebieralni.

– Wyniki prześlemy doktor O'Reilly, jak tylko radiolog opisze zdjęcie – poinformowała ją L., kiedy wróciła do pracowni rentgenowskiej. – Prawdopodobnie na początku przyszłego tygodnia. Zdarza się... czasami... że radiolog przesyła zdjęcia do konsultanta w Klinice Piersi w Limerick. Ale tylko wtedy, gdy pojawia się cień wątpliwości. – L. powoli podniosła wzrok znad podkładki z klipsem, obdarzając Iris swoją wersją uspokajającego uśmiechu.

W długim korytarzu ze ścianami w kolorze herbaty i dozownikami z płynem do dezynfekcji rąk Iris minęła się z kobietą, którą знаła z widzenia ze swojej miejscowości. Przeszła obok niej ze spuszczoneymi oczami. Nie zatrzymała się, mimo że czuła, iż tamta przystanęła, unosząc dłoń.

Na dworze się ociepliło. Niebo przecierało się od zachodu, tu ówdzie prześwitywał już błękit. Postanowiła wrócić prosto do domu, nie zatrzymując się w mieście. Ale najpierw wysłała esemesa do Arthura: *Zgoda. Przyjmuję twoją propozycję.* I chociaż swędziały ją palce, zrezygnowała z dopisku: *A tak przy okazji, zrób coś z włosami. Wyglądasz idiotycznie.*

*

Ponieważ należała do osób czasem nadmiernie niecierpliwych, po powrocie do domu nie zrobiła sobie herbaty, nie sprawdziła poczty, nie przesłuchała nagranych wiadomości ani nawet nie nakarmiła głodnego kota, tylko natychmiast zasiadła do pierwszego wpisu.

Czerwonopomarańczowy mak, jaskrawy jak afrykański fiołek, otwiera kielich ponad morzem zieleni na rabatce, wprawiając w szok otoczenie swą elektryzującą siłą. Kolor jego płatków gryzie się z różem francuskiej róży.

Niegroźna kolizja barw. Naparstnica zwyczajna pręży się obok ostróżek i czerwonych kwiatów tęgosa.

Motyle przelatują z przekwitających tulipanów na rozplonione kwiaty. Samotna ważka wisi w powietrzu, brzęcząc skrzydełkami.

Przestała pisać. Okropność. Musi znaleźć inną narrację. To jest zbyt różowe, mdławoróżowe, różowe i przesłodzone jak cukrowe pianki. Tu potrzeba krwistej czerwieni.

Maki eksplodują niczym korki z butelek szampana, a widok ich jedwabiście czerwonych wnętrz zapiera ogrodnikowi dech w piersiach. Na twoich oczach w godzinę pąki rozwiną się w duże kielichy i tak dotrwają aż do rana. Te kapryśne damy ogrodowe bywają niechlujne. Gdy opuszcza je szczytowa forma, stają się, hm... rozmamlane. Jak kobiety, które po przebalowanej

nocy zbyt późno trafiły do domu.

No, teraz lepiej – pomyślała.

Z miejsca przy stole, gdzie siedziała, widziała ogród – dziki, który pielęgnowała od dwudziestu pięciu lat pod kapryśnym słońcem zachodniej Irlandii w Ashwood, w sercu hrabstwa Clare.

To była orka na ugorze. Oddała temu zajęciu część duszy. Za linią żywopłotu z wysokich fuksji grząskie, gliniaste tereny porastała leszczyna, lecz w jej ogrodzie gleba była ilasta. Wodorosty zbierane na skałach w Doughmore, liście zgrabiane spod jesionów i jaworów, odpadki z własnej kuchni i roślin ogrodowych zmieniły tę niebieskawą glebę glejową w czarną urodzajną ziemię. Uprawiała tam nawet rzadkie okazy storczyków. Trzy rzędy bylin porastały pochyłość na południowo-zachodniej granicy ogrodu z niewidoczną z domu rzeką Shannon.

Różana rabata stanowiła jego wschodnią krawędź.

To Luke uparł się przy tej rabacie, bo róże miały znaczenie dla jego rodziny. W rodzinie Bowenów z Dublina panowały ustalone zwyczaje. Różę dawało się z okazji narodzin dziecka, a także w ważne rocznice: na czterdzieste urodziny – herbacianą ‘Just Joey’, na pięćdziesiąte – różową ‘Gertrude Jekyll’. Sadziło się różany krzew na pamiątkę kogoś, kto zmarł. Luke jej tego nauczył.

Żywi i umarli, a między nimi róża – tak jej powiedział.

Od tamtego kwietniowego dnia w 1987 roku, kiedy tutaj z Lukiem się sprowadzili – choć wydawało się, że mogą tu rosnąć wyłącznie cierniste krzewy – sezon po sezonie walczyli z zapuszczonym terenem, zmieniając go w ogród, który jarzył się w bezksiężycowe noce. Białe anemony pod koniec lata wyglądały jak spadające gwiazdy.

Ostatni tydzień maja; kiedyś czas, gdy ogród najlepiej się prezentował. Teraz roślinność pełzała niczym monstrualny mięczak, zawsze jednak pozostając w jego granicach. Nawet ślimaki bez skorup, nie czekając na osłonę nocy, bezczelnie wychodziły na ścieżki w środku dnia. Tę walkę Iris niezmiennie przegrywała.

Wstała od stołu w salonie, przeszła do kuchni i włączyła czajnik. Czekając, aż zagotuje się woda, oglądała spierzchnięte ręce z ziemią za paznokciami. Sztywne, przygięte palce przypominały szpony. Z całej siły przycisnęła ręce do granitowego blatu, próbując nadać im inny kształt; najchętniej dłoni muzyka o smukłych palcach.

Podparta na rękach, dociskając ich wewnątrz do blatu, prostując i rozcapierzając palce, wyjrzała przez okno. Mający niebieskie kwiaty powojnik, ‘Alice Fisk’, oplatał czarne drzwi kamiennej altanki, podtrzymując je na zawiasach. (Gdyby przycięła odrosty jak należy, drzwi zapewne runęłyby na podjazd). Tak bardzo kochała ten powojnik. Pełen werwy, nieustępliwy. Prawdziwie piękny.

Lekki wiatr strząsał strzępiaste niebieskie płatki, rozdmuchując je na podjeździe. Pomiędzy pnączami, spod luszczącej się czarnej farby, prześwitywały karmazynowe plamy. Dziesięć lat temu Luke pomalował te drzwi. To było wiosną. Ich córka, wtedy ośmio-, a może dziewięcioletnia, chciała, żeby altanka wyglądała tak, jak te na zdjęciach w ogrodniczych czasopismach mamy.

– Nie możemy pomalować tych drzwi na czerwono? – prosiła. – Tatku? Co? Zobacz, jak ładnie by wyglądały. – I podsunęła mu fotografię.

Luke jak zwykle się zgodził i razem zabrali się do malowania. Cieszył się, że może jej sprawić tyle radości taką drobnostką.

*

Zaterkotał telefon. Odczekała kilka sygnałów, zanim oderwała się od blatu i podniosła

słuchawkę.

- I jak tam?
- Tess... – Iris westchnęła... – To ty.
- Tak, skarbie. To ja. Jak się czujesz?
- Dobrze.
- A jak ci poszło?
- Nie najgorzej.
- Obie umilkły.
- Mam później zadzwonić? – zapytała Tess. – Jesteś zajęta?
- Tak jakby. Nie gniewasz się? Miałam ciężki dzień i...
- No co ty! – Tess się zawahała. – Iris?
- Co?
- Nie martw się. Wszystko będzie dobrze.

*

Tess była jej najlepszą przyjaciółką. Przed dziesięciu laty poznały się w supermarkecie w kolejce do kasy. Tess miała w wózku kilka litrów odtłuszczonego mleka z ekologicznego gospodarstwa, ekologiczne ziemniaki, kapustę i jabłka oraz mąkę i masło.

– Kolacja. – Uśmiechnęła się do Iris, która trzymała trzy tabliczki rozpuszczalnej czekolady i masło.

– Też kolacja – odparła Iris, odwzajemniając uśmiech.

Tess pracowała w opiece społecznej w mieście i zajmowała się dziećmi z ubogich środowisk oraz migrującymi Romami. Chociaż miała kota na punkcie jogi i zdrowej żywności, nie była jedną z typowych joginek New Age i nie zamęczała Iris kazaniem o alternatywnych sposobach odżywiania. Niejednokrotnie próbowała namówić ją na zajęcia z jogi, lecz Iris za każdym razem wykręcała się bólem pleców.

– I właśnie dlatego powinnaś ćwiczyć jogę. Bez przerwy używasz tych samych mięśni. Skończysz wygięta w odwrócone „U”, jeżeli się tym nie zajmiesz. Przesada w niczym nie jest dobra.

Iris już miała gotową odpowiedź, lecz Tess ją uprzedziła:

– Nawet pracując w ogrodzie. – I dodała z uśmiechem: – Ogrodnictwo to nie nowa joga.

Przyjaciółka rozumiała, dlaczego Iris unika lekarzy, służby zdrowia oraz szpitali, i któregoś dnia, kilka tygodni po śmierci Luke’a, zjawiła się z koszykiem pełnym witamin i ziołowych herbatek. Przyniosła dziurawiec, opakowanie z kapsułkami kwasów omega 3, magnez i melatoninę. Suplement diety o nazwie GABA do dzisiaj tkwił w szafce nad zlewem. Tak samo zresztą jak herbatki z rumianku i passiflory oraz krople walerianowe. Sole kąpielowe, wiązkę suszonej lawendy i plastikowe pojemniczki z suplementami Iris upchnęła do szafki pod blatem, gdzie trzymała kawę i herbatę.

– Dzięki, szamanko Tess. – Na dnie koszyka leżała butelka wina Malbec, które Iris uwielbiała.

– To na wypadek, gdyby wszystko inne zawiodło. – Roześmiały się obie i ten śmiech był całkiem na miejscu, a Tess ujęła jej dłonie i zamknęła je w swoich. – Co było, nie wróci, a ty musisz iść do przodu. A jeśli ci się nie uda, będę pod ręką, żeby cię popchnąć! A skoro jesteśmy przy tym temacie...

- Jakim temacie?
- Skupienia się na sobie.
- Taaak?

– Musisz zrobić mammografię.
– Akurat teraz?
– Tak. Jesteś w grupie ryzyka raka piersi. Daj spokój, Iris, dobrze o tym wiesz. – Temat był delikatny, lecz Tess nie bała się delikatnych tematów. – Przede wszystkim nie karmiłaś piersią.

– Nie dają medali za oczywiste stwierdzenia. Co poza tym?

– Nie chcę ci przypominać, że...

– Daruj więc sobie.

Tess przyjęła tę uwagę z uśmiechem. Iris miała wrażenie, że prawie nic, co powie, nie jest w stanie dotknąć jej przyjaciółki. Zawsze była w dobrej formie, chociaż miałyby wiele powodów do narzekania. Cechowało ją optymistyczne nastawienie do życia.

– Iris.

– Wiem.

– W Stanach robi się pierwszą kontrolę w wieku czterdziestu lat, a ty masz...

– Dzięki.

Posłała Tess spojrzenie, które mówiło: „Proszę, ani słowa więcej”.

– Zgłoś się na badanie. Dobrze? Żebyś mogła przestać cię nękać. I nie nakręcaj się... bez powodu. Nie ma się czym przejmować. Po prostu się umów, dobra?

Dwa lata zajęło jej umówienie się na badanie.

Maki, o czym często nie pamiętamy, gdy stojąc w ogrodzie, podziwiamy ich napuszone piękno, jako cięte kwiaty wyglądają okropnie. Wręcz przygnębiająco. Jeżeli chcesz wstawić je do wazonu, musisz opalić końce łodyżek.

Nad płomieniem. Aż zrobią się czarne.

Znany brytyjski ogrodnik radzi, aby po zerwaniu maków z samego rana, gdy łodyżki są nabrzmiałe od wody, zanurzyć je na pół minuty we wrzątku.

Niech długo żyją te napęczniałe łodyżki.

Pierwszego czerwca, dwa dni po mammografii, Iris minęła się z L. przed wejściem do supermarketu. L. miała na sobie czarny T-shirt oraz bojówki i gdyby nie płomiennoczerwone pasemko, chyba by jej nie rozpoznała. Noszenie bojówek to zapewne coś w rodzaju strategii obronnej pielęgniarek, które robią mammografię – pomyślała. Była pewna, że kiedy się mijaly, tamta odwróciła wzrok, unikając kontaktu. Przyspieszyła więc kroku i gdy zasapana dotarła do samochodu, czuła się obnażona jak wykopana roślina, której gruzłowate korzenie drżą wystawione na chłód.

Spędziła w udręce kilka dni, czekając na telefon od doktor O'Reilly. Rzuciła się w wir ogrodniczych zajęć: skosiła trawnik, przycięła przekwitłą tawułę, spryskała róże mieszanką z Bordeaux, którą poleciła jej znajoma na targu rolniczym w Ennis. (Naprawę drzwi do altanki odłożyła na później). Kiedy nic już nie zostało do zrobienia, wyjęła z nocnej szafki szkicownik, który leżał w szufladzie zamkniętej na klucz od śmierci Luke'a. Rysowanie ładnych obrazków wydawało jej się wtedy nie na miejscu. Ale teraz widok maków islandzkich na rabatce przed frontem domu sprawił, że nabrała chęci, aby spróbować, po prostu spróbować.

Szkicowała jeden z kwiatów, gdy wreszcie pod koniec tygodnia odezwali się do niej z przychodni.

– Pani Bowen? Proszę poczekać na połączenie z doktor O'Reilly.

Przemierzała pokoje ze słuchawką przy uchu. Kot spał na nasłonecznionym kwadracie pod sosnowym stołem w salonie. Nie budząc go, przeszła do pokoju córki, gdzie promienie słońca wpadały ukosem przez rozsunięte story.

– Iris, jak się masz?

– Dobrze. Dobrze się czuję. No... może nie do końca, ale...
– Wiem, wiem. Mam już wyniki. I przede wszystkim chcę ci powiedzieć, że według mnie nie ma powodu do obaw.

– Jest... dobrze...?

– Jedno zdjęcie zostało wysłane z Ennis Hospital do Kliniki Piersi w Limerick Regional Hospital. Tak dla skonsultowania. Jest tam pewne odchylenie, coś, co radiolodzy nazywają zaburzeniem architektury.

Iris wstrzymała oddech.

– To naprawdę ważne, żebyś dobrze mnie zrozumiała... – lekarka ściszyła głos, jakby siedziała przy Iris i trzymała ją za rękę – ...doktor radiolog zadzwoniła dziś rano z zapewnieniem, że nie ma powodu do niepokoju, niemniej chcą cię zobaczyć w przyszłym tygodniu.

Iris milczała. Zaburzenie architektury?

– Iris?

– Tak – wydusiła w końcu. – Te słowa brzmią podejrzenie, a pani doktor mi mówi, że nie powinnam się bać?

– Iris, wiem, co musisz myśleć po historii z Lukiem i w ogóle, ale to nie jest zła wiadomość. Naprawdę. Radiolog po prostu chce mieć pewność. Dziewięć na dziesięć ponownych kontroli wykazuje to, co w naszym żargonie nazywamy wynikami fałszywie pozytywnymi. Klinika Piersi wysłała ci już wezwanie. Powinnaś je dostać w poniedziałek.

– W porządku.

– Czy ktoś mógłby ci towarzyszyć?

Zawahała się.

– Tak.

– To dobrze. Trzymaj się, proszę, i postaraj się za dużo o tym nie myśleć. – Zamilkła. – Odezwę się do ciebie po wizycie u konsultanta. I... Iris?

– Tak?

– Dzwon, gdybyś miała taką potrzebę.

Nie potrafiła określić, co właściwie czuje. Chyba nic. Pustkę. Jakby wpadła w powietrzną dziurę. Albo znalazła się w sytuacji, gdy na zadane pytanie nie zna się odpowiedzi, chociaż powinno się ją znać. Wtedy człowieka ogarnia panika i paraliżuje strach. Dlaczego nie zadała więcej pytań? Zaburzenie architektury? Co to takiego, do diabła?! Odłożyła słuchawkę i powlokła się na dwór, czując, że ma nogi jak z ołowiu.

Słońce wyszło zza chmur, wprawiając ją w dziwny stan. Trawnik mienił się wszystkimi odcieniami zieleni. Gdyby mogła wypić tę zieleń jak jakiś eliksir, być może by się uspokoiła. Stała przez chwilę zdjeta strachem, po czym chwyciła za sekator leżący na drewnianym stole na werandzie i uważnie rozejrzała się po świeżo rozkwitłych makach. Szkarłatne kielichy poznaczone prześwitującymi przez płatki punkcikami światła.

Postanowiła wziąć się w garść. Lekarka dała do zrozumienia, że nic groźnego się nie dzieje.

Ścięła jeden, dwa, trzy kwiaty przy samej ziemi.

Zdecydowane, czyste cięcia. Wszystkie łodyżki długości trzydziestu centymetrów.

Wniosła maki do domu i ułożyła je na szafce w kuchni tak, aby kielichy nie dotykały blatu. Zrobi test i sprawdzi, czy dotrwają w takim stanie do rana. Sfotografuje przypalone końce łodyżek, wstawi kwiaty do wazonu i nazajutrz rano zrobi kolejne zdjęcia. Główki maków zwisały poza krawędzią zlewu. Prawą ręką zapaliła zapałkę, wybrała jedną kosmatą łodyżkę i przytrzymała jej koniec nad płomieniem, tak jak to demonstrowała tamta blondynka

w „Gardener’s World”. (Aż szerniej – zazaczyła na głos). Rozległ się syk i z łodyżki wypłynęła kropla zielonego soku. Po kolei odkładała przypalone kwiaty i na koniec zrobiła zdjęcie osmolonych końców. Potem wstawiła trzy maki do wysokiego szklanego wazonu i umieściła go na środku blatu. Odsunęła się kilka kroków i przez chwilę wpatrywała się w kwiaty, jakby licząc, że płatki lada moment zaczną się osypywać. No dalej! Wyzywam was! Otwarte pomarańczowe kielichy z ciemniejszym środkiem zastygłe w bezruchu zdawały się odwzajemniać spojrzenie.

Iris kilka razy odetchnęła głęboko. Tess ją tego nauczyła: wdychasz pozytywną energię, z wydechem pozbywasz się negatywnej. Wdech – białe światło, wydech – szare.

W pustym domu w Ashwood sformułowania: „zaburzenie architektury”, „dziewięć na dziesięć ponownych kontroli” i „fałszywie pozytywne”, odbijały się od ścian niczym bumerangi.

Biel do wewnątrz, szarość na zewnątrz.

Woda do góry, ogień w dół.

Rozdział drugi

Promienie słońca wpadające przez okno mieszkania w Camden Lock w północno-zachodnim Londynie budziły u niej skojarzenia z piosenką o poranku w Chelsea. Tej, w której jest mowa o mleku i grzance, pomarańczach i karmelkach. Matka ją śpiewała, kiedy wiosenne słońce znowu rozświetlało kuchnię w Ashwood. Czasami działo się tak już w połowie marca, zanim jeszcze przybyły kukułki, wróciły jaskółki i przekwitły tulipany. Kuchenne okno wychodziło na północ i przez sześć miesięcy było tam szarawo, dopóki promienie wiosennego słońca nie zaczynały się wciskać do środka od wschodu. Jej szalona, cudowna mama śpiewała prawie tak dobrze jak Joni Mitchell.

Rose też śpiewa teraz tę piosenkę i się przeciąga. Wymachem nóg odrzuca kołdrę, zsuwa się na brzeg łóżka i spogląda przez okno na kanał. Kajakarze – poranne ptaki – już wiosłują. Mewy jazgoczą, krążąc nad wodą. Uwielbia ten hałas tak odmienny od ciszy zachodniej Irlandii. Zanim wstanie, żeby się ubrać, rozgląda się po pokoju i liczy: jeden, dwa, trzy! Trzy kubki po herbacie. Wcale nie rekord. Uśmiecha się na wspomnienie patowych scysji z matką.

– A więc to tutaj wylądowały wszystkie kubki, Rosie! – mówiła matka, wchodząc po nie do sypialni i lawirując pomiędzy porzrzuconymi na podłodze nutami, książkami i ubraniami. – Jak dajesz radę poruszać się w tym bałaganie... – mruczała nieco poirytowana, unosząc ramiona, jakby zamierzała w nie zgarnąć naręczę rzeczy do prania. – Ja tego nie pojmuję.

– Nie wiem, mamuś... jakoś sobie radzę.

– Jesteś jak motyl, który wydobywa się z kokonu.

– No.

– Mama znalazła kubki? – pytał ojciec, kiedy wskakiwała do samochodu w ostatniej chwili. Siedział i cierpliwie czekał, żeby rano przed pracą odwieźć ją do szkoły.

– Trzy.

– Nie taki znowu rekord. Mogłabyś ją uszczęśliwić, gdybyś się postarała – powiedział, przez chwilę patrząc na nią z powagą – i zrobiła porządek u siebie w pokoju.

– Wiem, tatku. Przepraszam.

– Wkurzyła się?

– Nie. Nie za bardzo.

Była wtedy w średniej szkole, a Luke miał kancelarię adwokacką w centrum, niedaleko gmachu sądu zbudowanego z wapienia. To był ich codzienny rytuał. Rose zawsze robiła wszystko na ostatnią chwilę. A ojciec należał do tych ludzi, dla których zjawianie się „na styk” równało się ze spóźnieniem. I dlatego aby uniknąć konfrontacji, jakie zdarzało mu się miewać z Rose i Iris – co było oczywiste przy dwóch kobietach w domu – mówił, że musi być w pracy dwadzieścia minut wcześniej. Bez problemu szedł na takie ustępstwa dla córki.

Lekki wiatr porusza zasłonami, wprawiając w ruch wietrzne dzwonki. Rose planuje zadzwonić później do matki, aby donieść, że obudziła się w pokoju zalanym słońcem. O tym właśnie jej powie: Mamuś, za moim oknem pojawiła się piosenka.

Łapie dzinsy i ze sterty ubrań rozwłóczonych po podłodze wyciąga podkoszulek na ramiączkach. Narzuca czarny kardigan i sprawdza swoje odbicie w lustrze. Nie zwiąże długich włosów, postanawia założyć je za uszy. („Rosie, skarbie, bardzo cię proszę, zrób porządek w pokoju. No, grzeczna dziewczynka”). Starannie składa czarną dzersejową sukienkę i chowa ją do plecaka.

W saloniku wszędzie leżą bibułkowe formy i wykroje należące do jej współmieszkanki. W rogu stoi manekin częściowo obleczoney we wzorzysty szyfon.

– Cześć, Lala!

Bierze karteczkę i przypina ją do piersi manekina: „Isobel, poszłam na zajęcia z moim guru. Trzymaj za mnie kciuki. Pogadamy później. Buziaki, Ro”.

Jej okno wychodzi na Pirate Castle przy Oval Road biegnącej wzdłuż kanału. Schody przy Castle są zardzewiałe i pokryte śladami po gumie do żucia. Papierowe kubki unoszą się na splątanych algach. Rose idzie teraz wąskim chodnikiem, uważając na rowerzystów jadących z naprzeciwka, potem znika pod ciemnym fragmentem mostu kolejowego, mija pływającą chińską restaurację, skręca do Regent’s Park i włącza się w strumień ludzi spieszących do pracy oraz spacerowiczów z psami.

W ten wtorkowy poranek trawniki wzdłuż Broad Walk w Regent’s Park są zasłane różowymi kwiatami kasztanowców. Płatki fruwią unoszone wiatrem. Śnieżą. Rose przymyka powieki i czeka, aż któryś spadnie na jej twarz. Zatrzymuje się na moment z zamkniętymi oczami. Jest dziewczynką stojącą w zielonym sercu pulsującego miasta. Otwiera usta, próbuje złapać płatek na język i poczuć jego smak. Niestety, bez powodzenia.

Kiedy zbliża się do chodnika, podmuch wiatru strząsa deszcz płatków. Dwa lądują jej na głowie i wplątują się w ciemne włosy. Mężczyzna w eleganckim garniturze, który idzie obok, chyba zamierza coś jej powiedzieć. Widziała go już wcześniej podczas codziennej wędrówki przez park. To jedna z tych osób w naszym życiu, które znamy z widzenia. Jednak on zmienia zdanie i się nie odzywa. Rose przerzuca ciężki futerał z jednego ramienia na drugie. Mężczyzna zostaje w tyle i idzie parę kroków za nią.

Rose nuci pod nosem, kiedy oboje przechodzą przez Chester Road, odbijają w prawo i podążają zachodnią stroną Avenue Gardens, mijając po drodze wielobarwne papuzie tulipany. Przy Park Square ona ponownie skręca w prawo, w stronę Baker Street i Royal Academy of Music na Marylebone. Mężczyzna przystaje. Przygląda się jej. Rose wygląda jak dziewczyna z obrazu. Kiedy wchodzi na schody akademii, płatki zdobią jej włosy niczym drogie kamienie.

Na ostatnim stopniu zatrzymuje się i ogląda za siebie. Młody biznesmen przechodzi przez ulicę i kieruje się na wschód, ku Portland Street. Innym razem – myśli Rose. Dziś nie jest właściwy dzień. Nie. Dzisiaj jej grafik jest wypełniony. Brak miejsca na flirt. Po południu czeka ją przesłuchanie promocyjne, a teraz ma ostatnią próbę z Rogerem, Mister Kiwi Dude’em, jak go niektórzy studenci nazywają. Mija portiera. Jego krzywe usta rozciągają się w uśmiechu.

– Panienska zapomniała się wpisać – upomina ją.

Rose cofa się do biurka.

– Przepraszam, George.

Składa podpis. Czuje jego spojrzenie na znamieniu, które ma na policzku. Rose wie, że on nie potrafi się powstrzymać. Zdażyła przywyknąć. Przed dwudziestką postanowiła przestać maskować małą, ciemną plamkę i teraz podpisuje się z uśmiechem i nieskrępowana oddaje George’owi długopis.

– Proszę.

George spogląda na biurko i zauważa na księdze coś podobnego do strzępka jedwabiu wielkości opuszka kciuka. Gdy Rose oddała się korytarzem, stary portier przesuwając platek obok podpisu dziewczyny.

Roger Ballantyne (krywa Mister Kiwi Dude) jest przystojnym Nowozelandczykiem i wirtuozem skrzypiec. To on opiekuje się Rose. Poszczyściło jej się. Zanim przeniósł się do Londynu, aby objąć profesurę na wydziale instrumentów smyczkowych i prowadzić zajęcia ze studentami drugiego roku, grał w Sydney Symphony Orchestra. Nie należy do tych wyniosłych

typów, których tutaj nie brakuje. Jest wyluzowany i chociaż dobiega pięćdziesiątki, wygląda na mniej niż czterdzieści lat, bo zawsze jest opalony i prawie nie ma siwych włosów, tylko takie pojaśniałe od słońca pasemka. A może je farbuję? Super! Rose słyszała w radiu BBC taki kawałek o mężczyznach robiących makijaż. Czemu nie? Co prawda jej ojciec pękłby ze śmiechu! Szkoda, że tata nigdy nie pozna takich rzeczy, nie dowie się, co ona myśli o wymalowanych mężczyznach, ani nie usłyszy, jak bardzo lubi poruszać się metrem po Londynie, odnajdując drogę do miejsc w rodzaju Columbia Road Flower Market w Shoreditch czy odkrywać przypadkiem takie mało znane perełki jak Muzeum Wachlarzy w Greenwich. Czasami zagląda do British Library, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie ma tam czegoś, co przypadłoby do gustu jej ojcu.

Rose puka do drzwi gabinetu Rogera.

On otwiera je i przytrzymuje. Jest w džinsach i brązowym T-shircie z logo z kieliszkiem do białego wina. Na nogach ma japonki.

– Cześć, Rose! Wchodź. – Usuwa się na bok. – Podekscytowana?

– Cześć! Taaak... I zdenerwowana. Wszystko we mnie dygocze.

Rose ma wrażenie, że jej mentor jest jakiś rozkojarzony.

– Tak bywa przed końcowym popisem, lecz to dla ciebie zwińczenie wspianiałego roku, Rose. Jak dotąd świetnie sobie radziłaś. Nie masz powodu do niepokoju. – Zerka na wyświetlacz komórki. – Czy ktoś z rodziny przyjdzie cię posłuchać?

– Nie. Mam tylko mamę, a ona mieszka w Irlandii. Powiedziałam jej, że przesłuchania są w przyszłym tygodniu. Ona za bardzo to wszystko przeżywa. Bardziej przejmowałabym się jej obecnością niż samą grą.

– W takim razie może za rok – odpowiada, jakby w ogóle jej nie słuchał.

Na ścianie w ciasnym gabinecie wisi plakat z surferem na grzbiecie fali. Rose kładzie futerał na krześle, rozsuwa zamek i zwalnia zatrzaski. Dostrzega biały osad tuż przy podstawku. Cholera! Światło z okna wychodzącego na Marylebone odbija się od lakierowanej płyty rezonansowej, kiedy wyjmuje instrument za szyjkę. Osypują się z niego drobinki kalafonii. Kiedy Rose przechyliła się nieznacznie, przyjmując właściwą postawę, drugi różowy płatek spada z jej włosów na podłogę. Ale ona widzi jedynie sypiącą się kalafonię.

– Ten pył, który widzę, Rose... – Roger milknie. Opiera podbródek na splecionych dłoniach i delikatnie puka palcami w policzki. Patrzy na nią jak na dziecko. A ona pod tym spojrzeniem czuje się jak smarkula.. – Wiesz, kalafonia nie pomoże ci lepiej zagrać. Pozwól! – Bierze instrument i ociera go ściereczką, którą trzyma na pulpicie.

Rose wyjmuje i otwiera nuty. Poranna euforia ją opuściła. Ma zamęt w głowie. Zeszyt z nutami drży, gdy układa go na pulpicie.

– Ćwiczyłam wczoraj wieczorem. Zrobiło się późno.

Czuje się skarcona, jest speszona. Jej palce robią się niezdarne, gdy ujmuje smyczek.

Roger oddaje jej skrzypce wyraźnie niezadowolony.

– Zacznij w systemie dur-moll, proszę. Trzy oktawy.

Roger, jej „mistrz”, przygotowuje ją do solowego wykonania *Sonaty g-moll* Bacha. Jest świadoma, że to nie lada wyzwanie, lecz chłód nauczyciela zwiększa jej niepokój. O co chodzi? Recitale studentów są wyznaczone na popołudnie. Przyjdą inni podopieczni Rogera. Niektórzy będą występować, inni nie. Może on też to przeżywa. Rose przekłada skrzypce do lewej ręki i opiera je na obojczyku. Czy on jest na nią zły? Aż tak dużo tej kalafonii nie było. Odszukuje znajome miejsce na podbródku instrumentu i dopasowuje się do niego jak kot szukający miejsca na słonecznej plamie. Układa zgięte palce na szyjce skrzypiec. Z uniesionym smyczkiem oczekuje, licząc do trzech, i omiata gabinet spojrzeniem: plakat, miękkie światło lejące się przez

z okno, przy drzwiach Roger z ramionami splecionymi na piersi. Zaczyna grać. G A B bemol, C D E bemol, F G...

– Dobrze – przerywa jej Roger. – Jeszcze raz.

Rose odpręża się i myśli: Okej, zaczynam czuć się pewniej. Na moment staje jej przed oczami dawny nauczyciel Andreas.

– Gotowa?

– Tak.

– Dawaj.

Ze smyczkiem uniesionym tuż nad strunami nieznacznie skłania głowę przed surferem i zaczyna adagio, pierwszą część sonaty. Powolne pociągnięcia i zamaszyste arpeggio.

Wszystko idzie gładko, uspokaja się. Jest odprężona. Naprawdę dobrze gra. Mniej więcej pod koniec drugiej części, fugi, odzywa się telefon Rogera.

Jeden sygnał.

Nie przestaje grać. On na pewno zaraz wyciszy komórkę. Gra teraz trudny, wznoszący się fragment, uważając na intonację, a przeklęty telefon ciągle dzwoni.

Piąty sygnał. Szósty. W końcu Roger odbiera.

Otwiera drzwi i wychodzi. Przemieszcza się w głąb korytarza. Co gorsza, nieznacznym machnięciem ręki daje jej znak, żeby kontynuowała. Drzwi pozostają uchylone i do Rose dobiegają jego słowa.

– Ach. Nie. Nie rób tego. Możemy się później spotkać. Wiem, wiem. Hej, a może przyjdiesz, będzie fajnie. Co? Nie? Możemy pójść na... Nie. Proszę... Victorio?

Cisza.

A potem:

– Kurde!

Walnięcie pięścią w drzwi.

Rose właśnie przechodzi do *Siciliany*. Gra powoli, zaznaczając rytm, tak jak pokazywał jej Roger. Po kilku minutach on otwiera drzwi i kieruje się do okna, przechodząc za jej plecami, jakby była powietrzem. Rose gra. Kołysze się, lekko niesiona płynącą teraz melodią. Roger niespodziewanie daje jej znak, żeby przestała.

– Za gwałtownie prowadzisz smyczek. I... rozluźnij lewą rękę. – Znowu zerka na zegarek. – Już wcześniej ci to mówiłem.

Rose opuszcza skrzypce i smyczek. Odwraca nieznacznie głowę, teraz wyraźnie widać znamię na policzku. Sposób, w jaki on na nią patrzy, sprawia, że czuje się przy nim niezręcznie. Jest skrzypowana. Stoją twarzą w twarz. On odwraca się do okna. Odgłos przejeżdżających autobusów wdziera się do gabinetu.

– Teraz nie mogę – rzuca Roger, omija ją i wychodzi.

Wszystko dzieje się błyskawicznie. Rose słyszy oddalające się plaskanie japońskich schodów.

Dziewczyna stoi oklapła jak balon, z którego częściowo zeszło powietrze, nadal trzymając skrzypce i smyczek w zwisających wzdłuż boków rękach. Wstrzymuje oddech i nasłuchuje. Liczy, że on lada moment zawróci. Wejdzie, przeprosi czy coś w tym rodzaju i wysłucha *Siciliany* do końca.

Czeka, pragnąc, żeby Roger podniósł ją na duchu, lecz on nie wraca. Podchodzi do okna ze smyczkiem w jednej i skrzypcami w drugiej ręce. Widzi go, jak przecina jezdnię i szybkim krokiem idzie po Thayer.

– Kurczę! – przeklina. – Cholera!

Zmieszanie szybko zastępują inne emocje. Drży z zimna, a jednocześnie płonie ze złości.

Chaotycznie pakuje skrzypce i smyczek. Trzęsie się z gniewu i poniżenia.

Zanim zamknie futerał, spogląda na kartkę przyklejoną taśmą do aksamitnej wyściółki wieka, którą dostała od Rogera pierwszego dnia, gdy zaczęła ćwiczyć z nim tę sonatę.

Rose,

dla mnie granie Bacha jest jak medytacja, a nawet jak modlitwa. Łączy mnie z Absolutem. Oby tym samym było dla Ciebie.

Twój

Roger

Odrywa kartkę, mnie ją i ciska na podłogę.

Rozdygotana wychodzi na korytarz.

*

Do popisów została ponad godzina. Ma nadzieję, że natknie się na kogoś, przed kim będzie mogła dać upust emocjom, lecz na korytarzu nie ma żywego ducha. Myśli, żeby odszukać Leonarda i Freyę, przyjaciół poznanych w Akademii. Robią specjalizację z teatru muzycznego i też w tym tygodniu mają dyplomowe występy. Zza drzwi ciasnych salek ćwiczeń dochodzą do niej przytłumione dźwięki instrumentów smyczkowych. Ysaÿe, Kreisler. No i Bach. Rose opiera się plecami o ścianę. Czuje mdłości. Czy oni wszyscy grają lepiej od niej? Dzisiejszy dzień miał być wielkim świętem. Tak czekała na ten występ. Miał ugruntować jej pozycję i zapewnić miejsce wśród najlepszych studentów w grupie. Planowała po wszystkim zadzwonić do mamy i podzielić się radosną nowiną. A teraz czuje się wyrzucona na margines, beznadziejna. Amatorka. W najlepszym wypadku rzemieślniczka, nie artystka. Żaden dźwięk nie wydobywa się z jej ust, chociaż oczy ma mokre od łez.

Gdzieś na końcu korytarza szczerknęły drzwi. Co ma ze sobą zrobić? Tkwić tutaj i czekać na Rogera?

A niech to szlag!

I kim jest ta Victoria?

W toalecie ogląda w lustrze swoją zaczerwienioną twarz. Kontrolując odbicie, stara się wyrównać oddech. Chwyta hausty powietrza.

Na koniec sięga po kosmetyczkę. Znamię nabiegło krwią. Skupia na nim wzrok i jakoś powoli się uspokaja.

– Przypomina różę – stwierdził ojciec.

– Mikroskopijną herbacianą różę – uściśliła matka.

– Dlatego daliśmy ci na imię Rose – powiedzieli jej, kiedy podrosła na tyle, żeby rozumieć takie rzeczy.

Podumała chwilę, a potem zapytała:

– A gdyby ono miało kształt słonia, jak byście mnie nazwali?

– Oczywiście Sonia!

Często się tak przekomarzali, czyniąc z tego swoistą zabawę. Opowiastkę o róży nieodmiennie poprzedzała historia o tym, jak 23 sierpnia 1990 roku znalazła się w Ashwood. Miała wtedy osiem tygodni. Nie była sierotą. Została „zgłoszona” do adopcji zaraz po narodzinach w czerwcu. Obie te historie pomagały jej ustalić tożsamość. Tata miał rację: obrys znamienia na prawym policzku rzeczywiście przypominał wytatuowaną różę o wywinionych płatkach. Ale wie, że nie dlatego dali jej na imię Rose. Niemniej ta historia zawsze podnosi ją na duchu. Towarzyszyła przy dorastaniu tak samo jak świadomość, że została adoptowana. To po

prostu inny sposób istnienia na świecie. Przeważnie nie zwraca na ten fakt uwagi. Zazwyczaj to nie ma dla niej żadnego znaczenia.

Kiedy skończyła szesnaście lat, rodzice postanowili pokazać jej list od biologicznej matki. Popłakała się nad nim. Trzyma go do dziś w zeszyte z nutami na półce w swoim pokoju w Ashwood. Rodzona matka się nie rozpisywała. To krótki, odręczny list. Chciała, aby Rose wiedziała, że bardzo ją kocha i właśnie dlatego „oddaje” ją cudownej parze, która zapewni jej to wszystko, czego ona nie może ofiarować – dach nad głową, prawdziwy dom, a przede wszystkim dwoje rodziców darzących się szczerym uczuciem. *Nigdy nie zapominaj, że jesteś w dwójnasób kochana. Przeze mnie, na zawsze, i przez nowych rodziców.*

Dotyka policzka i myśli o ojcu. Jak on by w tej sytuacji postąpił? Bo matka byłaby wściekła na Rogera. Tak naprawdę teraz, gdy o tym myśli, żałuje, że nie powiedziała jej o popisach. Mama wkroczyłaby do Akademii i nie zważając na George’a, wbiegłaby po schodach prosto do gabinetu Mister Rogera Ballantyne’a. Tam poczekałaby, aż wróci, i zapytała, co on sobie, do cholery, wyobraża, zostawiając jej córkę w krytycznym momencie. Spadłaby na niego jak burza. Rose na myśl o impulsywnej mamie trochę się rozpogadza.

A ojciec, co on by zrobił?

Rose kładzie kosmetyczkę na krawędzi umywalki, wyjmuje strój na popis, przebiera się szybko w czarną sukienkę bez rękawów i wsuwa stopy w balerynki. Potem wyciąga z kosmetyczki czarną kredkę i robi kreski na dolnej i górnej powiece. Uwodzicielskie spojrzenie.

Chrzanić ich. Pokaż irlandzki charakter! – powiedziała by ojciec.

Tak jest. Chrzanić ich.

Zaczyna grać *Sicilianę* od pasażu, na którym skończyła. Akustyka w toalecie jest niesamowita. Jej *Siciliana* brzmi jak przeciągłe, udręczone westchnienie. Uwypukla frazy, tak jak uczył ją Roger (niech go szlag!), zostawiając im miejsce na oddech, aby nie wędły jak kwiaty na łądkach. Serce pulsuje w piersi zgodnie z muzyką niczym niesłyszalny na zewnątrz metronom.

*

Godzinę później pokazuje irlandzki charakter i wchodzi do sali koncertowej. Roger wraca pięć minut przed rozpoczęciem popisów i jak gdyby nigdy nic daje jej znak głową. Nie raczy się usprawiedliwić ani przeprosić. Rose otwiera futerał i przygotowuje się do gry. Występuje jako pierwsza. Bowen przed Ferguson i Kowowskim. Wchodzi na scenę jakby w półśnie. Drobinki kurzu wirują w snopach światła reflektorów. Nie patrzy na widownię; siedzi tam jakies pięćdziesiąt osób. Nie chce widzieć zebranych studentów, ich rodziców i różnych profesorów, którzy przyszli oceniać najbardziej utalentowanych wychowanków Akademii. Podnosi skrzypce i zaczyna. Wkłada w grę całe serce. Utrzymuje kontur melodyczny, nie gubiąc równowagi. Frazuje mocno, a zarazem elegancko. Gra przepięknie.

A jednak to nie tak.

– Żle, źle, źle – przerywa jej Roger Ballantyne, stając na środku sceny. – Przestań się kiwać, Rose. To nie pantomima. – Spogląda na widownię, jakby powiedział coś zabawnego. – Robisz za szybkie przejścia. Odczekaj... aż... dźwięk... wybrzmi i usłyszymy zmianę barw.

Gra dalej. Głośniej. Ale jego głos przedziera się przez dźwięki skrzypiec.

– Nie bądź taka grzeczna! To cygańska muzyka! Graj zgodnie z zapisem.

Gra. Roger ponownie wkracza na scenę.

– Przesadziłaś z *vibrato*.

Stara się nie przesadzać.

– Rose, to brzmi, jakbyś prasowała struny! – Z sali dobiega ją szmer. Stłumione śmiechy?
– Pozwól im śpiewać. Daj im oodddychaaać!

Roger przecina scenę i bierze do ręki swoje skrzypce.

– Rose, nie mam pojęcia, jakim cudem w twoim wykonaniu Bach brzmi tak jałowo.

Dziewczyna odrywa smyczek od strun, a jej mentor zaczyna od fugi, demonstrując, jak należy grać. Naturalnie jest świetny. Kiedy zapamiętały we własnej wirtuozerii nie odrywa wzroku od publiczności, Rose zgarnia futerał, skrzypce oraz smyczek i schodzi ze sceny. Nie ogląda się za siebie. Z trudem tłumi łzy. Przez moment ma nadzieję, że Roger ją zawoła, przestanie grać, zawróci ją, złagodzi jej poniżenie. Lecz nic takiego się nie dzieje. Szmer na widowni go nie powstrzymuje. Cały on. Wielki Roger. Ma swoją publiczność i gra.

Chwilę później Rose jest już na chłodnym korytarzu. Przyklęka i pakuje skrzypce do futerału, po czym podnosi się i idzie jak we śnie. Popycha frontowe drzwi i staje w deszczu na zaparowanej ulicy. Za mokro, żeby pieszo wracać na Camden.

*

Piąta po południu. Na Baker Street tłumy i kakofonia dźwięków. Rose przepycha się na peron metra ledwie świadoma, gdzie jest. Stoi znieczulona i czeka. Kiedy nadjeżdża pociąg, wsiada w ostatniej chwili. Drzwi przytrząskują futerał. Wyszarpuje go, tracąc równowagę. Podtrzymuje ją stojący obok mężczyzna. Pada na wolne miejsce, podciąga futerał na kolana i patrzy w odbijające się w ciemnej szybie twarze i światła, gdy pociąg pędzi przez tunel. Wysiada na King's Cross, żeby przesiąść się na Northern Line. Jedzie schodami do góry – ona jedna, nieruchoma, wyprana z myśli i z emocji, pośród przemierzających się ciał. Euston. Mornington Crescent. Wysiada na Camden. Pociąg rusza, a ona, stojąc na peronie, odprowadza spojrzeniem swój wagon. Drzwi się zamykają, kolejka drży wprawiona w ruch i wtedy widzi, jak skrzypce, oparte o okno, tam, gdzie je zostawiła, przewracają się i osuwają na siedzenie. Potem znikają. Chalk Farm, Belsize Park, Hampstead, Golders Green, Brent Cross, Hendon, Colindale, Burnt Oak, Edgware.

Stracone.

Rozdział trzeci

To Luke wybrał imię dla ich maleństwa. Kiedy Iris zaproponowała „Poppy”, wzniosł oczy do nieba.

– Nie, Iris, bądź poważna! Poppy? Przestań. Powinna się nazywać Rose.

Po czterech latach oczekiwania Iris została matką, a Luke ojcem. Z dwójki zrobiło się ich troje.

Przez siedemnaście lat Bowenowie stanowili trio – dwa kwiaty i fuksiarz – jak mawiał Luke.

– Fuksiarz? – zapytała Rose, kiedy w pewnym wieku zainteresowała się znaczeniem tego słowa.

– Tak jest – potwierdził i puścił oko do Iris. – Jestem z innej bajki. Słyszałaś kiedyś o kwiatku, który nazywa się Luke? – Popatrzył na dziewczynkę z wysoko uniesionymi brwiami, a ona pokręciła głową. – No właśnie. Dlatego dwa kwiaty i fuksiarz.

I tak było aż do początku mokrego lata przed dwoma laty, kiedy z ich trójki znowu zrobiła się dwójka.

Jak się okazało, bóle w plecach Luke’a powodował rak trzustki.

Siedzieli w brzoskwiniowym gabinecie onkologa, doktora Conwaya. Gabinet był na drugim piętrze Limerick Regional Hospital i Iris pamięta, że okno wychodziło na ruchliwą ulicę. Patrzyła na autobusy, samochody i taksówki, myśląc, że to tylko zły sen. Podjechał autobus i wysiadły z niego dwie starsze panie, pomagając sobie nawzajem. Jedna z nich miała czerwony kapelusz i żakiet w czarno-białą kratę. Wszystko było takie normalne. Środowe popołudnie na początku marca. Błękitne niebo. Wiosna. Kilka obłoczków. Na pustym biurku brązowa teczka zdawała się mówić: Obawiam się, że nie mam dobrych wiadomości.

Kiedy doszli na parking, Iris nie mogła znaleźć kwitu i przegrzebując torebkę, niechcący wysypała jej zawartość na ziemię. Wypadło wszystko, co w niej było: książeczka czekowa, stare paragony, portfel, paczka chusteczek, pomadka, szczotka do włosów, okulary przeciwsłoneczne. Kilka monet. Z tyłu za nią wyrósł jakiś mężczyzna.

– Proszę wziąć mój – zaproponował, jakby wiedział, że wszyscy ludzie korzystający z tego parkingu słyszą: „Obawiam się, że nie mam dobrych wiadomości”. Może dzięki temu, że odda jej swój kwitek, jego wiadomość okaże się lepsza?

Potem było leczenie i krótkie okresy optymizmu, wesołość na siłę, wizyty sąsiadów i znajomych podtrzymujących ją na duchu. Zawsze jest nadzieja – przekonywali ją. Iris z maniackim uporem karmiła Luke’a zielonymi warzywami i rukolą przecieraną z cytryną i oliwą, bo według Tess to było zbawienne dla wątroby i trzustki. Skończyła z warzywną dietą, kiedy nie mógł już jeść, gdy zupełnie stracił apetyt, osłabł i stał się cieniem człowieka. Próbowwała go karmić musem jabłkowym. Pielęgnowały go w domu, popołudniami pomagała im Sheila, wolontariuszka z hospicjum. Iris codziennie przynosiła mu świeże kwiaty z ogrodu. Płatki niezapominajek leżały rozsypane na nocnym stoliku jak niebieskie konfetti. Z odtwarzacza CD puszczała Luke’owi koncerty Bacha. Tata czasem prosił Rose, żeby nastawiając płytkę z *Somewhere Over the Rainbow* Israela Kamakawiwo’ole, naciskała przycisk *repeat*.

Jego stan pogarszał się w błyskawicznym tempie. (Nie czuł się dobrze już na początku grudnia, lecz zbagatelizował objawy). Któregoś popołudnia, na tydzień przed śmiercią, sięgnął po rękę Iris ponad kapą z kremowego welwetu. Spojrzała na niego ze strachem w oczach, myśląc, że

to koniec. Tymczasem zaskoczył ją silnym uściskiem dłoni i nadzieja rozświetliła jej twarzą niczym promyk słońca przedzierający się przez chmury.

– Luke?

Uniósł się nieco. Odczekał, aż ślina nawilży mu krtań, jakby słowa, które miał w myślach, były twarde i suche, a jednak musiał je wypowiedzieć. Jego zielone oczy nabrały głębokiej barwy.

– Luke? Co takiego?

– Iris... kiedy mnie zabraknie. Jeżeli coś się tobie stanie...

– Przestań. Nic mi się nie stanie. Połóż się.

– Iris. Posłuchaj... Ja...

– Nie.

Zacisnął mocniej palce na jej dłoni.

– Wysłuchaj mnie. Proszę. Nie chcę, żeby Rose została sama.

Odwróciła twarz do okna i zacisnęła usta, walcząc ze łzami.

– Musisz... zrobić wszystko, żeby do tego nie doszło. Iris, sprawdź wszelkie możliwości.

Poza tobą... nie ma nikogo.

– Nic mi się nie stanie – zapewniła go. – Połóż się.

– Powiedz, że rozumiesz.

Zawahała się.

– Wiesz, o co mnie prosisz?

– Tak.

Ale czy ona wiedziała? A on tak do końca i na pewno? Myśl o jego prośbie sprawiała jej ból. Człowiek, którego kochała od prawie trzech dekad, umierał i mówił o życiu. Lecz nie o własnym. Mówił o życiu po nim.

– Muszę iść – powiedziała. Zwolnił uścisk. – Rose ma jutro francuski. – I żeby go rozbawić (wszyscy wiedzieli, że ona nie ma talentu do języków), dodała: – Obiecałam, że przepytam ją z gramatyki.

On jednak się nie roześmiał.

– Chciałam tylko, żebyś się uśmiechnął.

Miał łzy w oczach; teraz zawsze miał szklane oczy.

– Iris. Proszę... zostanie sama jak palec. Zrób to dla mnie.

Wstrzymała oddech.

I padły słowa, których nie chciała usłyszeć:

– Spróbuj ją znaleźć... Odszukaj Hilary.

Nie wiedział, co mówi. Odszukać Hilary? Niemożliwe. Spotkali się z nią tylko raz. Ich troje i pracownica socjalna. Lata temu. To szaleństwo. Iris podniosła się ze skraju łóżka i podeszła do okna. Odsuwając zasłony, zauważyła, że maki wymagają podparcia.

Pozbierała naczynia ze stolika, poprawiła pled na łóżku, nalała wody do plastikowego kubka, ułożyła równo czasopisma na nocnej szafce: „The Economist”, „Wine Spectator”, a także książkę *The Third Policeman*, którą Luke ciągle miał nadzieję przeczytać. Nie była w stanie jasno myśleć, lecz udawała kamienny spokój. Wiedział. Znał ją na wylot. Kiedy się nachyliła, żeby pocałować go w czoło, przytrzymał ją za ramię.

– Iris, musimy się ujawnić ze względu na nas, na Rose. – Zamknął oczy i padł na poduszkę.

Musnęła ustami czoło męża, przytulając policzek do jego twarzy. Skórę miał taką niewiarygodnie miękką. Jakby już stawał się przezroczysty, jakby opuszczał ten świat.

– Tak mi przykro – wyszeptęła. – Tak bardzo mi żal, że to się dzieje.

Zacisnęła zęby. Nie chciała się rozplakać. Już to wszystko przerabiali. Poczucie niesprawiedliwości. Smutek. Koniec.

– Obiecuj. – Przytrzymał ją za ramię.

– Zadzwoń w tym tygodniu – powiedziała. – Przrzekam. – Ujęła w dłonie jego twarz.

*

Luke zmarł po tygodniu w słoneczny dzień pod koniec maja, dwa tygodnie przed końcowymi egzaminami Rose i miesiąc przed jej siedemnastymi urodzinami.

Iris musiała wziąć się w garść. Pomagała córce przejść przez egzaminy, bo nie było innego wyjścia. Dziewczyna musiała do nich podejść i zdać obojętnie z jakim, byle z pozytywnym wynikiem. I dopięły swego. Iris i Rose jakoś sobie poradziły przy ogromnym wsparciu Tess. A cztery miesiące później Rose wyjechała do Londynu na studia w Royal Academy of Music.

Jakby zrzędzeniem siły wyższej w ramach zadośćuczynienia ocalone elementy układanki po zniknięciu centralnego fragmentu w ich życiu jakoś się poukładały. Pieniądze z polisy na życie trafiły do funduszu powierniczego dla Rose, a czynsz, chesne i bieżące wydatki pokrywało stypendium.

*

Iris została w Ahswood. Wdowieństwo zawiesiło ją w próżni i dryfowała jak rozsnuty obłoczek z nasion przekwitłego żółtego kwiatu dmuchawca. Zabrakło punktu ciężkości.

Wcześniej nie wyobrażała sobie życia bez Luke'a. Nie była na to przygotowana. I oto stała w kuchni w wilgotny poranek na początku czerwca, a w radiu nadawali piosenki z dedykacjami. Miała na sobie koszulę nocną ze wzorkiem w konewki i kaloszki, prezent bożonarodzeniowy od Luke'a. Rozpuściła wijące się rude włosy, których nigdy nie pozwolił jej ściąć, i oczami wyobraźni widziała rosnącego w niej raka. Jakie szanse? Dziewięć na dziesięć powtórnych kontroli. Fałszywie pozytywne. Niewyobrażalne, a jednak.

Odruchowo podniosła rękę do lewej piersi i natychmiast ją cofnęła.

– Nic się nie dzieje – powiedziała w przestrzeń. – Jesteś zdrowa. Przestań dramatyzować. Wszystko będzie dobrze.

Stojąc przy szafce, przyglądała się makom w wazonie, tym z opalonymi końcami. Kiedy weszła do kuchni rano następnego dnia po telefonie od doktor O'Reilly, spodziewała się znaleźć gołe lodygi i płatki rozsypane na blacie. Tymczasem kwiaty stały tak, jak je zostawiła. Żywe, wyprostowane, świeże. Ogrodniczka z BBC miała rację. Gdy obróciła wazon, fioletowe pręciki zadrgały, prósząc czarnym pyłkiem do kielichów.

Włączyła laptop, weszła na stronę The Banner County News i otworzyła bloga. Kraj po okresie prosperity popadł w kryzys. Nie było ani nowych domów, ani nowych ogrodów, lecz nadal istnieli ogrodnicy. Ogrodnictwo nie idzie na dno wraz z tonącą gospodarką. Po chwili namysłu jej palce już śmigały po klawiaturze.

Ptaki szaleją. Posłuchajcie ich o świcie. Ćwierkają, kwilą, pogwizdują, śpiewają, klekoczą, kląskają i szczebioczą. Znaki są wszędzie. I ptaki są wszędzie. Gdzieś jest miłość. W obawie o to, co przyniesie nam przyszłość, wierzymy w znaki i w ptaki. W czasach rzymskich pojawienie się ptaka po prawej stronie oznaczało powodzenie. Po lewej... hm, tak jest. Unikajcie tego.

Pisanie bloga wydawało się Iris mało istotnym zajęciem. Po co to komu? A tak w ogóle komu zechce się to czytać? A jednak migający kursor żył na białym dokumencie. Dzięki niemu mogła się łączyć, z kim chciała. Nawet z zupełnie obcymi ludźmi. Dzięki tej cienkiej kresce

mogła się kontaktować ze światem poza Clare. Kiedyś stworzyła domenę IrisBowen.wordpress.com. Z zadowoleniem stwierdziła, że może linkować pomiędzy swymi dwoma blogami. W chwilach gdy najbardziej będzie jej doskwierać tęsknota za Rose i Lukiem, może się ratować ucieczką w pisanie. Blog mógłby stać się rozmową... z kimś. Z kimkolwiek. Zapatrzyła się na ogród opadający łagodnie ku linii drzew. Odprowadziła wzrokiem modraszkę pikującą ku kwiatom czereśni.

Dopisała:

Ptak w locie to błogosławieństwo. Złap go, zanim odfrunie.

Załadowała zdjęcia maków (niedokończona próba szkicu nadal leżała przy telefonie) z dokładną instrukcją postępowania, dokleiła do wpisu i wyszła na dwór. Nagle zapragnęła usłyszeć kukułkę. Obeszła wschodnią część ogrodu pomiędzy frontową ścianą domu i rabatą orlików, skręciła w prawo, kierując się ku dolinie. Cisza.

– Gdzie się chowacie?! – pytała, zadzierając głowę ku wierzchołkom drzew.

Oboje z Lukiem mieli zwyczaj nasłuchiwać kukułek. Rokrocznie wiosną zapisywali, kto pierwszy je usłyszał (Luke czternaście, Iris jedenaście razy). Kukułki zjawiają się w kwietniu. Cofając się kilka kroków, nastawiła lewe ucho. Potem przystanęła i odwróciła się na wschód. Cisza. Kukułki najaktywniejsze są w maju. Odezwcicie się, ptaszki.

– Kuku, kuku! – próbowała zwabić którąś z doliny do świerkowego lasu. – Kuku, kuku! – Nic.

Jedynym dźwiękiem, jaki usłyszała, był warkot silnika furgonetki Tommy'ego Ryana, który zatrzymywał się i ruszał co chwilę jakieś pół kilometra stąd, roznosząc pocztę. Iris, nadal w nocnym stroju, z narzuconą na wierzch jedną z koszul Luke'a i z potarganymi włosami, skryła się za żywopłotem. Tommy był sympatyczny, lecz ona nie miała humoru na pogawędkę. Odkąd jego pięćdziesięciodwuletnia żona niespodziewanie zmarła na zawał, większość wieczorów spędzał w pubie Nolana przy kartach. Listonosz jednak ją dostrzegł. Sprawiała wrażenie spowitej w ciemną mantylę smutku i poczuł, że coś powinien z tym zrobić. A ją korciło, żeby mu powiedzieć: „Nic mi nie jest. Nie przejmuj się, Tommy. Naprawdę. I nie patrz na mnie w taki sposób”.

Wysiadł, zostawiając otwarte drzwiczki. Było południe. W radiu usłyszał dzwony na Anioł Pański. Tommy otworzył skrzynkę i wrzucił pocztę. Cicero, jej czarny kot, nie wiadomo skąd znalazł się przy jej bosych nogach i zaczął pomiaukiwać. Dawała mu znaki, żeby się uciszył, lecz on mając je za nic, miauczał coraz głośniejsze.

– Sibby! Sibby! – nawoływał go Tommy z za żywopłotu. (Nigdy nie doszła, czemu wszystkie koty na zachodzie Irlandii nazywają się Sibby). Jeszcze podejdzie do bramki, żeby pogadać. Na wszelki wypadek zgarnęła kota na ręce i mocno przytrzymała.

– Sibby, Sibby!

Kiedy furgonetka odjechała, Iris precyzyjnie się przez otwór w żywopłocie. Oprócz rachunku za prąd i egzemplarza „Gardens Illustrated” znalazła w skrzynce list z Kliniki Piersi. Otworzyła go i zaczęła czytać.

Procedury w Klinice Piersi są dostosowane do indywidualnych potrzeb pacjentek i mogą sprowadzać się jedynie do klinicznego badania (szczególnie w przypadku młodszych kobiet). Historia choroby jest omawiana z pacjentką i daje możliwość stawiania pytań dotyczących objawów oraz przyszłego leczenia. U części pacjentek konieczne jest wykonanie biopsji. To drobny zabieg, podczas którego za pomocą igły pobiera się tkankę przy miejscowym znieczuleniu. Większość kobiet odczuwa niewielki ból lub nie czuje go wcale. Nasze centrum jest przygotowane do wykonywania biopsji podczas wstępnej oceny stanu pacjentki, niemniej w niektórych przypadkach kolejne biopsje są wykonywane w późniejszym okresie wraz z mammografią.

Pobrana tkanka jest badana pod mikroskopem. U większości pacjentek, u których wykonano biopsję, nie stwierdza się raka piersi.

Proszę o potwierdzenie terminu wizyty w piątek, 12 czerwca o godz. 10:30.

Dr Denise Browne

Wsunęła pismo z powrotem do koperty i ruszyła ścieżką, mając świadomość, że to się dzieje naprawdę. Odchylenie od normy. Jaskółki wlatywały do stodoły i wylatywały z niej, zupełnie ją ignorując. Cicero cicho popiskiwał, poruszając nieznacznie końcem ogona. Wizyta pod koniec tygodnia.

– No co? Nie patrz tak na mnie – powiedziała.

Ale on dalej się w nią wpatrywał. Wyczekująco. Zadzierając głowę, spojrzała na drzewa. Gdzieś tam, wysoko, samiczka kukułki wyczekuje na odpowiedni moment. O tej porze roku znosi jajko w gnieździe świergotka łąkowego i w efekcie mama świergotka wychowa kukułcze dziecko jak własne. Lecz gdzie jest pan kukułka? Iris chciałaby go usłyszeć. Wręcz absurdalnie jej na tym zależało. Jednak ciszę zakłócał jedynie szum czesanych wiatrem świerków. Podeszła do kamiennych schodków na końcu ogrodu i usiadła, obejmując kolana ramionami. Kołysała się w tył i w przód. Po policzkach spływały jej łzy.

*

Postanowiła nie zawracać Tess głowy w weekend. Zadzwoiła w poniedziałek, a ponieważ przyjaciółka nie odbierała, nagrała wiadomość: „No i zgadnij. Znaleźli coś. Oddzwon”.

Teraz siedziała na ganku, na kutym ogrodowym krześle z butelką wina i kieliszkiem na okrągłym stoliku. Zmierzchało. Ogród był na skraju masowej eksplozji maków, łubinu i bodziszek. Nawet o zmroku tegoroczne pędy bukszpanu tworzącego żywopłot połyskiwały neonową zielenią. Przypomniały jej się słowa Luke’a o rozłożystej wiśni japońskiej ‘Mont Fuji’, że poruszane wiatrem gałęzie przypominają mu krynoliny dam z obrazu Moneta *Kobiety w ogrodzie*. Cicero, rozciągnięty na stoliku w klucz wiolinowy, bawił się kawałkami sera, którymi go podkarmiała.

– Jeden dla ciebie, jeden dla mnie.

Zapadła ciemność. Iris dokończyła wino i przeniosła się do domu na kanapę.

Kilka godzin później przebudziła ją Tess.

– Dobry wieczór, skarbie – przywitała ją, unosząc znacząco brwi na widok niebieskich kaloszy na nogach Iris. – Medytujesz?

– Trochę nikomu nie zaszkodzi – odpowiedziała nieco bez sensu, siadając. W tej samej chwili poczuła ostry ból u nasady szyi i pod lewą łopatką. No i jeszcze ścierpł jej kręgosłup. – Co tu robisz?

– Odsłuchałam twoją wiadomość. Była tak zabawna, że postanowiłam wpaść.

– Aha. Przepraszam. Musiałam się zdrzemnąć. Która godzina?

– Dziesiąta. – Podniosła butelkę z podłogi. – Kalifornijskie. Mniam. – Uśmiechnęła się. –

Ale uważaj z tym, co?

– Tak jest, szamanko Tess.

– Iris?!

– Dobrze, dotarło. – Kopnięciem strząsnęła z nóg kalosze i zgarbiona podniosła się z kanapy. Bolała ją głowa. Granat letniego nieba przeszedł już w czerń.

– Chyba najpierw herbata, zanim mi powiesz, co dokładnie usłyszałaś od lekarki.

W kuchni Tess zapaliła światło, a Iris nastawiła czajnik.

– Te maki są niesamowite – zauważyła przyjaciółka i nie odrywając oczu od kwiatów, zmieniła temat. – A więc lekarka powiedziała, że znaleźli...

– Zaburzenie. – Iris wpatrywała się w nią przez dłuższą chwilę. – Zaburzenie architektury... Co to jest?

Tess podeszła bliżej.

– Wiem, że to brzmi bardzo fachowo i niezbyt optymistycznie, ale...

– Zdecydowanie nie.

– Wygooglałam to. – Tess się uśmiechnęła i na początku z wahaniem, a potem zdecydowanie objęła Iris ramieniem. – To taki ich żargon, kocie. Chodzi o nietypową gęstość tkanki. Na mammogramie widać zacienienia albo białe punkty. – Przyniosła ze sobą tablet i teraz go otworzyła.

– Zacienienia albo białe punkty?

– Najwyraźniej. Tkanka tłuszczowa w piersi jakby się zbryła.

– Tłuszczowa!

– Iris, poważnie, to właśnie to. Zaburzenie architektury.

– Możemy nie używać tego określenia?! – Iris wyjęła z szafki aspirynę.

– Wytrąbiłaś całą butelkę?

Nie odpowiedziała. Wypiła więcej, niż zamierzała.

– Zobacz, co dostałam – odezwała się, nadal odwrócona plecami do Tess. Sięgnęła do tylnej kieszeni dzinsów i podała jej pismo z Kliniki Piersi. – Przyszło dzisiaj.

Przyjaciółka wzięła je do ręki.

– Nie marnują czasu. – Przeczytała list. – To dobrze, Iris.

– Taaak?

– Poważnie. – Przyjaciółka skwapliwie pokiwała głową. – Im prędzej, tym lepiej, no nie? To wcale nie oznacza jakichś dramatycznych wiadomości. Po prostu trzeba przez to przejść. – Zamilkła na moment. – A więc... Iris... tu piszą, że... chcą zrobić USG. To nic niezwykłego... – ściszyła głos i zmrużyła oczy... – w przypadku starszych kobiet.

Iris niespodziewanie parsknęła śmiechem, zaskakując tym przyjaciółkę.

– Wielkie dzięki! Jestem tłusta i stara. Szkoda, że Luke tego nie słyszy.

Kiedy stawiała na stole imbryk i filiżanki, Tess kontynuowała czytanie:

– Zaburzenie architektury jest nietypowym ułożeniem pasm tkanki, często w radialny lub przypadkowy sposób. – Podniosła wzrok znad kartki. – Bez... towarzyszących zmian rozrostowych jako wyraźnej przyczyny. – Czytała dalej, gdy Iris nalewała herbatę. – Zmian rozrostowych nie zdiagnozowano. – Przebiegła wzrokiem dalszy fragment.

– I? – ponagliła ją Iris.

Przyjaciółka uniosła dłoń.

– O, posłuchaj tego. Tylko nieliczne zaburzenia architektury są guzami złośliwymi i wynoszą około pięciu do siedmiu procent przebadanych przypadków. Większość zaburzeń wykrytych za pomocą mammografii to zmiany łagodne. No! – Tess poprawiła się na krześle. – Widzisz?

Przez chwilę obie sączyły herbatę w milczeniu, czując coś w rodzaju ulgi, że „odchylenie”, jak wcześniej zapewniła lekarka, nie stanowi powodu do niepokoju. Potem Iris pokazała przyjaciółce szkiełko maków, nad którym pracowała.

– Nieźle, kocie. Całkiem dobrze. Ty mnie, kochana, bez przerwy zaskakujesz. Podziwiam cię.

– Taaak?

– Poważnie. Nie ściemniam. – Wyciągnęła rękę nad stołem i uściśnęła dłoń Iris. – Wiesz,

naprawdę jestem z ciebie dumna. Ta historia z pracą, a teraz to. Doskonale sobie radzisz.

Iris wstała od stołu i wyprostowała plecy, jakby to, co chciała powiedzieć, wymagało odpowiedniej postawy, i patrząc na przyjaciółkę, wyrecytowała:

– To wcale nie oznacza, że mam raka. To na pewno nie rak. Jadę tylko na mammografię i USG. Żeby się upewnić. Koniec, kropka... No, może jeszcze biopsja.

– Tak jest. – Tess ściągnęła brwi.

– Ale ci powiem, że i tak trochę się denerwuję. – Zwiesiła ramiona i zaczęła zbierać naczynia ze stołu.

– To się nie denerwuj. Biorę to na siebie.

Iris pokiwała głową, poruszona szczerością tego wyznania.

– Przyrzekłam Luke'owi, że będę się tobą opiekować. A obietnic się dotrzymuje.

Iris popatrzyła na nią tak, jakby za jej plecami przeszedł duch. Jakby te słowa padły z innych ust.

– Iris, co jest?

Odwróciła się.

– Nic.

Podeszła do zlewu, wstawiła tam filiżanki i zaczęła je myć. Dotąd konsekwentnie oddzielała słowa: „Luke” i „obiecać”. Od okropnego popołudnia tuż przed końcem, gdy mąż wymógł na niej tamtą obietnicę, wypchnęła ją w najdalszy zakamarek umysłu i tam ją zamknęła. I bez tego dość dużo kosztowały ją zmagania z życiem. Ilekroć wracała wspomnieniem do tamtej sytuacji, gdy przytrzymał ją za ramię i powiedział, że nie chce, by Rose została sama, myślała: przecież ona nie jest sama. Ma mnie! Teraz słowo „obiecać” w kontekście wizyty w klinice sprawiło, że przeszedł ją zimny dreszcz, jakby góra lodowa, topiąc się, owionęła ją mrozem. Czyżby Luke przewidział czarną przyszłość? Czyżby coś wiedział?

Minął jeden rok. I drugi. „Ten, kto żył, jest martwy teraz” – napisał poeta. Z każdym kolejnym miesiącem coraz bardziej odsuwała w niepamięć, o co ją poprosił, i już zaczynała wierzyć, że on mówił do siebie, a ona niechcący to usłyszała. Przez wiele tygodni i miesięcy myślała jedynie o tym, jak przetrwać kolejny dzień. Musiała się zająć wieloma sprawami, dużo przemyśleć, przejąc dziesiątki obowiązków należących wcześniej do Luke'a. I dała radę. Uporządkowała dokumenty. Napisała listy z podziękowaniem za kondolencje. Porozsyłała pamiątkowe kartki z jego zdjęciem. Spotkała się z adwokatem i wykonawcą testamentu. Dopięła sprawę pieniędzy z ubezpieczenia dla Rose i wyprawiła ją do Londynu.

Tymczasem: „a jeśli”?

A jeśli w tym najbardziej kruchym i niestabilnym okresie życia młoda i utalentowana artystka stojąca u progu kariery, z obiecującymi widokami na przyszłość, nagle traci nie tylko ojca, ale i matkę? I Luke, i Iris byli jedynakami. Jej rodzice zmarli jedno po drugim w krótkim odstępie czasu, kiedy miała zaledwie trzydzieści lat. Rodzice Luke'a też już nie żyli. Matka po wylewie szybko się zabrała, a ojciec już do końca przebywał w domu spokojnej starości w Monkstown nad morzem. Luke odwiedzał go tak często, jak tylko mógł, nawet wtedy, gdy ojciec przestał go już rozpoznawać. Rose jest zbyt młoda, zbyt utalentowana i wrażliwa, żeby zostać sama jak palec.

Nikogo więcej nie ma.

– Dobrze się czujesz, kocie?

Z pulsowaniem w głowie, z fantomowym bólem w lewej piersi, stojąc w kuchni, w której na podłodze wałały się niebieskie kalosze, a w wazonie prężyły się maki, postanowiła zgodnie ze złożoną mężowi obietnicą zadzwonić. Uwierzyła, że to będzie rozsądna decyzja, jedyne wyjście. Teraz była o tym bardziej niż przekonana. Tak, musi odnaleźć Hilary. Biologiczną matkę jej

córki, gdziekolwiek jest.

Myślała o tym i o wielu innych sprawach, stojąc nieruchomo przy zlewie, obserwowana przez zaniepokojoną Tess. To było tak dawno, latem tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku, lecz dokładnie wszystko zapamiętała. Tamtego dnia, gdy spotkali się z nią w ośrodku adopcyjnym, padał deszcz. Z zaciągniętego chmurami nieba nad Dublinem cały czas siąpiło. Mokre ulice błyszczały. Hilary miała na sobie płaszcz przeciwdeszczowy w kolorze khaki, a pod spodem biały T-shirt i wzorzystą spódnicę. Do tego gołe nogi i przemoczone mokasyny. Wyglądała na dwadzieścia jeden lat, może dwadzieścia dwa. Iris było jej żal, a jednocześnie czuła się szczęśliwa, że właśnie ich wybrała. (Tak to się wtedy odbywało). Miała do wyboru pięć par. Niewiele się odzywała. Nie wspomniała o ojcu dziecka ani nie wyjaśniła, czemu zdecydowała się oddać je do adopcji w Dublinie. Wiedzieli jedynie to, że jest amerykańską studentką i robi dyplom z literatury irlandzkiej oraz że niemowlę, które kilka tygodni wcześniej urodziła, jest pod opieką matki zastępczej. Była wysoka – to akurat Iris zapamiętała. Wysoka i bardzo szczupła, z włosami do ramion, które się lekko kręciły. Nic więcej nie utrzymało się w jej pamięci, bo spotkanie było na to zbyt krótkie. Gdy dobiegało końca, Luke zapytał:

– Czy jest coś, na czym pani szczególnie zależy?

– Mam prośbę – powiedziała. Iris podniosła na nią wzrok. Jakiego koloru miała oczy? Były jasne. Niebieskie czy szare?

– Tak? – podchwycił Luke, biorąc żonę za rękę.

– Jej imię...

Spojrzeli wtedy z Lukiem na siebie. Oni już je wybrali.

– ...zostawicie je?

– No... – Zawahał się. – Prawdę mówiąc, zdecydowaliśmy się na...

– Ma na imię Rose.

– Dobrze się czujesz, kocie? – powtórzyła Tess, przechylając się ponad stołem.

Iris wróciła do terażniejszości.

– Tak, tak, wszystko w porządku.

*

Wystarczy moment i wszystko może się zmienić. W jednej chwili żyjesz, a w drugiej umierasz. „Obawiam się, że nie mam dobrych wiadomości”. Zaraz po wyjściu Tess zadzwoniła do centrum adopcyjnego do Dublina, chcąc wytłumaczyć swoją sytuację. Jasno i szczegółowo: powiedzieć o śmierci Luke’a, zbliżającym się badaniu w Klinice Piersi, o Rosie samej w Londynie i o tym, że jutro przed południem do nich przyjedzie, lecz nagrany głos poinformował ją, iż centrum jest zamknięte. Co ona sobie myślała? Przecież dochodziła północ.

Tej nocy źle spała, rzucała się i wierciła w za dużym łóżku. Kiedy nad ranem zeszała na dół zagrzać mleko, zobaczyła, że płatki jednego maku, ale tylko jednego, leżą rozsypane na granitowym blacie.

Rozdział czwarty

Nazajutrz, we wtorek, ocieężała z braku snu (oraz zbyt dużej ilości wypitego wina) wsiadła na Limerick Station do porannego pociągu do Dublina uzbrojona w periodyk ogrodniczy, butelkę gazowanej wody mineralnej i przekonanie, że wybrała jedyne słuszne rozwiązanie. Ubrała się w to, co Rose nazywała jej „uniformem” – zestaw złożony z oliwkowych spodni i rudobeżowego kardiganu. Zrobiła nawet linerem kreski na powiekach i pociągnęła usta pomadką. Zależało jej na wywarciu korzystnego wrażenia tam, gdzie się udawała.

Po dwudziestu minutach pociąg zostawił za sobą obrzeża Limerick i jechał przez zieloną prowincję, mijając kopalnie srebra w północnej części hrabstwa Tipperary oraz stadniny koni pasących się na żyznych pastwiskach. Żywopłoty z kwitnącego akuratu głogu wyznaczały granice zielonych pól. Iris przekartkowała „Gardens Illustrated” i przeczytała artykuł o nowym sposobie zwalczania zarazy atakującej bukszpan. Radzono podkładać krowi nawóz pod krzaki, aby utrudnić rozwój grzybów. Nie zaszkodzi spróbować. Zrobiła notatkę na świstku papieru. Z innego artykułu dowiedziała się o ogrodniczych eksperymentach organicznych z homeopatycznym środkiem Helix Tosta, zrobionym z pokruszonych i upieczonych muszelek ślimaków, który podobno miał chronić przed ślimakami bezmuszłowymi. Czytelnikom jej blogu, jeśli takich ma, te informacje mogą się przydać.

Wysiadła na Heuston Station idiotycznie pozytywnie nakręcona. Możliwość uratowania bukszpanu i ochrony roślin przed ślimakami (bez podtruwania przy tym ptaków) wprawiła ją w dobry nastrój. W małych rzeczach może być nadzieja. Skupiła wszystkie myśli na walce z chorobą bukszpanu. Gdy następnym razem spotka Tommy’ego Ryana, poprosi go o krowie łajno. Stojąc w kolejce do taksówki, próbowała obliczyć ilość potrzebną na dziesięć metrów kwadratowych gleby. Gdy już jechała w strumieniu trąbiących samochodów trasą miejskich autobusów wzdłuż rzeki w kierunku O’Connell Bridge, opuścił ją dobry nastrój. Na wysokości Trinity College serce zaczęło niebezpiecznie przyspieszać. Tłumy na Dawson Street, zaaferowane własnymi sprawami, zdawały się poruszać w takim samym przyspieszonym tempie. Turyści obwieszeni aparatami fotograficznymi skupieni przed gmachem uniwersytetu fotografowali potężne dębowe odrzwia. Studenci przeciskali się między nimi, spiesząc na semestralne egzaminy.

Poprosiła taksówkarza, żeby wysadził ją przed frontową bramą. Zapłaciła, pod łukiem jej sklepienia przeszła powoli na dziedziniec brukowaną ścieżką prowadzącą prosto do Bell Tower. Ominęła kopułę, pamiętając o przesądzie, że przejście pod nią przynosi pecha. Znała go ze studenckich czasów. Chciała przeciąć kampus i wyjść prosto na Kildare Street, lecz wybór tego skrótu okazał się kuszeniem losu. Była tego świadoma. Wszędzie widziała Luke’a, cały czas jej towarzyszył. Jego obecność była prawie namacalna i przenikała ją na wskroś jak bicie dzwonu Trinity. Omal nie pośliznęła się na kocich łbach, gdy zegar zaczął wydzwaniać południe. Przysiadła na ławce nieopodal, postawiła koszyk na ziemi i zamknęła oczy wsłuchana w kuranty.

Poznali się z Lukiem w deszczowe popołudnie, kiedy czekała na autobus 46A. Kątem oka dostrzegła postać pod czarnym parasolem idącą sprężystym, równym krokiem. Jak jej później powiedział, wracał do domu na nabrzeżu i planował skręcić w Pearse Street. Ona, bez parasolki, usiłowała chronić książki przed ulewą. Akurat kiedy ją mijał, notatnik wysunął się z narecza i spadł na krawężnik. Gdy zastanawiała się, jak go podnieść, aby książki nie wypadły jej z rąk, Luke schylił się i uratował brulion przed błyskawicznie wzbierającą wodą w rynsztoku. Wiele lat

później opowiedzieli tę historię Rose. Według Iris Luke, przechodząc, celowo ją potrącał, on natomiast twierdził, że specjalnie upuściła zeszyt, widząc, że się zbliża. „Chyba twoja mama wyobraziła sobie, że to chusteczka”. Rose w odpowiedzi parsknęła śmiechem.

– Proszę – powiedział, otrzepując brulion, i zadowolony, że nie zdążył namoknąć, położył go ostrożnie na stercie książek.

Jego uśmiech oczarował Iris.

– Dziękuję.

– Czekasz na autobus?

– Tak. Na czterdzieści sześć a. Na Ranelagh. – Przycisnęła książki do siebie. – Ty też?

– Nie – odparł i nie ruszając się z miejsca, uniósł wyżej parasolkę, żeby i ją osłonić. –

Trinity?

– Uhm – przytaknęła. – Pierwszy rok.

– Ja też... Tyle że nie pierwszy.

Podszedł bliżej. Jakby zamierzał z nią poczekać. Niespodziewanie oblała ją fala ciepła i zapomniała języka w ustach. Chociaż miała osiemnaście lat, jej doświadczenie we flirtowaniu były raczej ubogie.

– Warto rozważyć inwestycję w plecak – poradził – jeżeli zamierzasz wychodzić z domu bez parasolki. To Dublin. Znasz to powiedzenie, że mamy tu cztery pory roku: deszcz, deszcz, deszcz i deszcz.

Popatrzyła w zielone oczy, starając się ocenić, czy to było poczucie humoru, czy stary irlandzki sarkazm. Później uwielbiała ten jego jakby pozbawiony emocji sposób przedstawiania faktów.

– Wiem, ale rano się spieszyłam. Miałam wykład o dziewiątej i zasnęłam.

Uśmiechnął się, a na jego otwartej twarzy pojawiły się zmarszczki.

– A ja miałem prawo spółek i aż żal, że nie zasnęłam.

Skórę pod oczami miał bladą, cienką i poznaczoną piegami.

– Warto było?

– Co?

– No, zdążyć na ten wykład.

– Och. Tak... – wyjąkała. – *Ziemia jałowa* T.S. Eliota.

Przez chwilę szukał cytatu w pamięci.

– *Pamięć i pożądanie...* – Zgadza się?

– Tak. ...*podnieca gnuśne korzenie, sypiąc ciepły deszcz.*

– Niesamowite. – Uśmiechnął się.

Zarumieniła się.

– Nie bardzo. To tylko następny wers. Poproś, bym zacytowała więcej, a zobaczysz, że nie należę do prymusów w grupie.

Luke pochodził z południowej części miasta z okolic Sandymount Strand. Mieszkał z dość wiekowymi rodzicami na Gilford Road, oddalonej o kwartał od Morza Irlandzkiego i o niespełna kilometr od Martello Tower Stefana Dedalusa z powieści Joyce’a. Jego rodzice, Agnes i Eugene Bowenowie, późno się pobrali. Razem prowadzili gabinet stomatologiczny. Luke mawiał, że wspierali go oboje jak podpórki pod książki. Później wyznał Iris, że bardzo cenił łagodny charakter rodziców i ich oddanie. Powietrze morskie Sandymount niczym tonik wypełniało dom Bowenów atmosferą spokoju. Wiedział, że ma cudowne życie.

Kiedy się lepiej poznali, pokazał Iris starą skórzaną kanapę w pokoju dziennym, gdzie wieczorami się uczył. Matka przynosiła mu herbatę oraz kanapkę z szynką i cichutko się wymykała. To była część tkanki, z której zbudowana została ich wspólna egzystencja – matki

i syna – z jej strony naturalna troska, z jego oczywista wdzięczność.

– Wszystko działało jak mechanizm zegarka – powiedział. – Jakby właśnie tak musiało być. Jak uświęcony zwyczaj. Chcę, żeby któregoś dnia u mnie też tak było, Iris.

W soboty, kiedy do gabinetu masowo przychodzili ojcowie z nastolatkami, Luke przynosił matce herbatę i biszkopty dokładnie w porze, kiedy powinna zrobić przerwę na odpoczynek.

Po tamtym przypadkowym spotkaniu w mokry listopadowy dzień zaczęli ze sobą chodzić. On był trzy lata wyżej na studiach. Kiedy robił aplikację adwokacką w Blackhall Place, Iris była na ostatnim roku. Zamieszkali wtedy razem w kawalerce na Beach Road w Ringsend. Gdy Luke zdał egzaminy, a Iris obroniła tytuł magisterski z literatury, pobrali się pod koniec lata i urządzili skromne przyjęcie w przydomowym ogrodzie jej rodziców w Ranelagh, a jesienią zamieszkali na zachodzie Irlandii, bo Luke dostał tam pracę w kancelarii adwokackiej.

Wszystko działało jak mechanizm zegarka.

Wynajęli dom w pobliżu wioski Seafield, pięćdziesiąt kilometrów od Ennis, żeby Luke miał blisko do oceanu (bo, jak stwierdził, nad wodą czuje się najbardziej komfortowo). Kilka lat po ich ślubie zmarli rodzice Iris: najpierw ojciec na zawał serca, a niedługo po nim, we śnie, matka. Z pieniędzy, które po nich zostały, pokryli pierwszą ratę za stary wiejski dom z jesionowym zagajnikiem i ogrodem zarośniętym jeżynami, pokrzywami i sitowiem, w miejscu oddalonym od Atlantyku o szesnaście kilometrów. Nazwali to swoje nowe siedlisko Ashwood i kiedy Luke rano wyjeżdżał do Ennis, Iris codziennie powoli i systematycznie odchwaszczała teren wokół domu. To właśnie wtedy narodziła się jej pasja do ogrodnictwa.

Trzy lata po przenosinach do Ashwood ich lekarz pierwszego kontaktu, doktor O'Reilly, poradziła, że jeśli myślą o dzieciach, powinni zastanowić się nad adopcją. Spytała, czy chcą wiedzieć, kto...

– Nie może? – wszedł jej w słowo Luke. – Jest wybrakowany?

Spojrzał na Iris, a ona dokończyła:

– Chodzi ci o „bezpłodny”?

– Nie, nie chcą wiedzieć – stwierdzili zgodnie.

Tydzień później zadzwonili do ośrodka adopcyjnego, żeby dowiedzieć się o procedury związane z adopcją.

*

– Proszę usiąść, pani Bowen. Pracownica socjalna już idzie.

Iris czekała w przestronnym holu georgiańskiej kamienicy na Merrion Square, gdzie mieścił się ośrodek adopcyjny. Ledwo zdążyła przycupnąć nieśmiało na starym fotelu z wysokim oparciem, gdy odgłos kroków poderwał ją z miejsca. Wysoka, szczupła kobieta z brązową teczką pod pachą zeszła z drewnianych schodów i przystanęła na dole. Recepcjonistka bez śladu uśmiechu skinęła głową w stronę Iris. Kobieta z teczką przedstawiła się jako Sonia McGowan i zaprowadziła ją do gabinetu z narożnym oknem. Wskazała jej krzesło po lewej stronie stojącego na środku stołu, a sama usiadła naprzeciwko.

– Bardzo dziękuję, że zgodziła się pani ze mną zobaczyć – zaczęła Iris z zapartym z podniecenia tchem.

– Najwyraźniej nie mieliśmy wyjścia – odparła tamta.

– Przepraszam, że to było takie...

– Tak. Cóż. – Pani McGowan uśmiechnęła się blado. – Wiedząc, że przyjechała pani z tak daleka, pomyśleliśmy, że nie wypada się nie zgodzić. Rozumiemy okoliczności, lecz należało umówić się z wyprzedzeniem. Jesteśmy bardzo zajęci. Cięcia kadrowe i...

– Rozumiem, przepraszam. Lecz biorąc pod uwagę to, co się dzieje... ewentualnie może się stać... to znaczy, pomyślałam, że moglibyście państwo... – Iris poczuła, że się rumieni. – Potrzebuję pewnych informacji.

Sonia milczała i Iris już się bała, że ta kobieta zaraz ją wyprosi.

– Tak naprawdę to zależy od pani córki – odezwała się po chwili urzędniczka.

– Tak, wiem. Ale... sądziłam, że jasno wytłumaczyłam recepcjonistce, że muszę wiedzieć jedną rzecz. Tak na wszelki wypadek. Oczywiście zatrzymam te informacje dla siebie, chyba że wiadomości będą złe. To znaczy, jeśli chodzi o mnie. O podejrzenie raka. W piątek mam badanie! – Nieświadomie podniosła głos. – Rozumie pani? A co, jeżeli...?

Oczy zaszły jej łzami i zaczęła grzebać w torebce w poszukiwaniu chusteczek, których, jak wiedziała, nie wzięła. Czuła na sobie współczujący wzrok Sonii.

– Tak, rozumiem. Pani Bowen, przede wszystkim proszę pozwolić mi wyjaśnić...

– Proszę mi mówić Iris.

– Dobrze, Iris.

Podawała jej chusteczkę, którą wyjęła z małego białego pudełka w żółte owalne wzory. Iris osuszyła kąciaki oczu i zmięła chusteczkę w splecionych dłoniach, ukrywając przy okazji zaniedbane paznokcie.

– A co słyhać u córki? – odezwała się Sonia po przydługiej, niezręcznej przerwie, przybierając pogodny ton. Położyła teczkę na stole pomiędzy nimi, obok pudełka z chusteczkami.

– Wyjechała do Londynu na studia muzyczne. Musisz być z niej dumna. O ile mi wiadomo, niewielu irlandzkich studentów trafia do Royal Academy of Music.

Sonia oddychała miarowo, jakby w myślach ćwiczyła jogę. Wszystko w niej w tej chwili było wymierzone i umiarkowane, jakby demonstrowała Iris sposób postępowania w stresowych sytuacjach. Miała gładkie palce z dyskretnie pomalowanymi paznokciami i płaskie buty na miękkiej zelówce. W eleganckiej ołówkowej spódnicy i w popielatym kardiganie spokojnie mogłaby reklamować stroje biurowe w czasopiśmie dla kobiet.

Była po czterdziestce. Pewnie kiedyś jako pracownicy socjalnej nie brakowało jej entuzjazmu i wigoru, lecz teraz Iris widziała przede wszystkim znużenie. Czaiło się wokół jej oczu. Czarne, błyszczące włosy znaczyło kilka siwych pasemek.

– Rose... na imię ma Rose. Dobrze sobie radzi. Jest taka rozsądna. No i ma talent. Jej ojciec byłby z niej bardzo dumny. Podoba jej się życie w Londynie. Tak, cieszę się, że jej tam dobrze, ale... bardzo za nią tęsknię. Zależy mi...

– To wszystko jest bardzo ekscytujące, a jednocześnie rozumiem twoje obawy o nią i o siebie. – Sonia zdecydowanie dążyła do zakończenia spotkania, balansując umiejętnie udawane zainteresowanie z kamiennym spokojem.

– Tak, a teraz to... – Iris zawiódł głos. Ręce bezwiednie uniosły się do piersi.

– Przykro mi. Wyobrażam sobie, że to niełatwe...

– Nie, niełatwe. Cholernie trudne. Dlatego tutaj jestem! – Podniosła głos. – Ja muszę! Muszę odnaleźć biologiczną matkę Rose. Odszukać Hilary.

Sonia zmrużyła oczy, jakby zaskoczona, że padło imię, które tak skrętnie ukrywała. Spuściła głowę i wzięła do ręki brązową teczkę.

– Pani Bowen... Iris, obawiam się, że nie mam dobrych wiadomości – oznajmiła w końcu. Nagle, zakłopotana, utkwiała wzrok w drzwiach, jakby chciała je otworzyć siłą woli i uciec. – Nie jesteśmy w stanie ci pomóc. Informacje są poufne. Dostęp do nich przysługuje jedynie najbliższej biologicznej rodzinie i osobie adoptowanej. Niestety, nie spełniasz kryteriów. Przepisy są bardzo restrykcyjne. To nie była otwarta adopcja. – Zawiesiła głos, żeby znaczenie tych słów dotarło do Iris i unikając jej spojrzenia, wpatrywała się w folder. – Tylko twoja córka

ma prawo zażądać tych informacji. – Podniosła oczy na Iris. – I obiecuję, że prześlemy jej wszelkie dane, jakie mamy. – Odłożyła teczkę z powrotem na stół. – Mam nadzieję, że mnie rozumiesz.

Umysł Iris galopował. Pomyślała o Luke’u. Zawsze powtarzał, że w sytuacjach, gdy człowiek czuje się przyparty do muru, należy zachować spokój. Lecz jego tu nie było. Musi załatwić to po swoim.

– To mnie nie zadowala – wyskandowała. – Jestem jej matką! Mam prawo wiedzieć.

Sonia McGowan zapewne miała cały zapas odpowiedzi ukryty pod perfekcyjną fryzurą i mogła wybrać którąkolwiek z właściwych do uspokojenia rozmówcy w sytuacjach takich jak ta, lecz tym razem dokonała kiepskiego wyboru.

– Prawdę mówiąc, nie. Nie masz takiego prawa.

Iris zerwała się na równe nogi.

– Pani Bowen, proszę, niech pani siada. W porządku. Ja panią rozumiem.

Zsunęła się na brzeg fotela i odczekała, aż Iris usiądzie. Potem przechyliła się do niej.

– Przejrzałam akta – zniżyła głos – i powiem ci, że kontakt się urwał. Więc nawet nam trudno byłoby ją dzisiaj odnaleźć. Jak zapewne wiesz – ciągnęła – staramy się śledzić losy naturalnych matek przez pierwszych kilka lat. I...

– Ma na imię Hilary. Zgadza się? Wiesz, że się z nią spotkaliśmy? – Iris też zniżyła ton.

– Tak. To jest w papierach. Problem w tym, że według naszych danych – Sonia mówiła teraz jeszcze ciszej – Hilary zerwała z nami kontakt. – Wychyliła się do przodu, jakby chciała dotknąć rozmówczynię.

Iris serce podeszło do gardła. Bała się, że się udusi. W gabinecie panował chłód, fotele były starsze od niej, a podłoga tak wyfroterowana, że podeszwy butów zaskrzypiały, gdy nerwowo spróbowała zmienić pozycję.

– Jakieś szesnaście, a może siedemnaście lat temu – dokończyła Sonia prawie szeptem.

Czemu to wszystko nie może być prostsze – myślała Iris. Cała ta sprawa. Dopiero zaczęła dochodzić do siebie po śmierci Luke’a, a teraz to. Nie liczyła, że zdobędzie wszystkie niezbędne informacje, lecz na coś takiego nie była przygotowana. Znalazła się w ślepej uliczce.

Wyprostowała się z zamkniętymi oczami. A potem je otworzyła i wyrzuciła z siebie z napięciem:

– W takim razie w jakim punkcie jestem? Nic więcej nie da się zrobić?

– Czego jeszcze oczekujesz? – spytała nieco zaskoczona urzędniczka. – Nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi.

– Spodziewałam się dokładniejszych informacji. – Iris przesunęła się na krawędź fotela.

Czy nie miała prawa usłyszeć jakichś konkretów? Co tamta jeszcze wiedziała? – To nie może być koniec. Po prostu, nie.

– Przykro mi... – Sonia wyciągnęła rękę, chcąc dotknąć jej ramienia.

– Nie, nie! – Iris odskoczyła do tyłu. – Muszę dowiedzieć się więcej. Co z rodzicami?

Znaczy z rodzicami Hilary? Nie mógłby ktoś: ty, ja, ośrodek, skontaktować się z nimi i dowiedzieć się, gdzie jest ich córka?

– Iris, uspokój się...

– Adresy. Metryki urodzenia. Cokolwiek! Nic nie macie? Czy to zgodne z prawem?

Biologiczna matka znika bez śladu i według was to w porządku? Bo według mnie nie. Jestem pewna, że Luke... wiesz, mój mąż był prawnikiem... Na pewno uznałby taką sytuację za niedopuszczalną. A jeżeli coś się ze mną stanie? Czemu nie potrafisz tego zrozumieć? Przecież ja mogę umrzeć! Kto zadba o Rose? Ty?

Sonia znieruchomiała. A potem zaczęła skubać mankiet kardiganu.

– A biologiczny ojciec? – Iris nie odrywała od niej wzroku.

– Nie wymagamy danych dotyczących dziadków – wyjaśniła Sonia i przenosząc spojrzenie na okno, mówiła dalej: – W aktach nie ma nic o ojcu. Na świadectwie urodzenia też nie ma jego nazwiska. Po prostu nie istnieje.

– Nie możesz w żaden sposób pomóc? To starasz się mi powiedzieć! – Padła ciężko na oparcie fotela.

– Przykro mi, Iris. Naprawdę. – Przechyliła się i położyła dłoń na jej kolanie.

Iris nawet nie drgnęła. Jak zahipnotyzowana tkwiła teraz w czarnej pustej przestrzeni, gdzie jedynym odczuciem był ból. To już wszystko? Na tym koniec? A co z moją obietnicą? – chciała wykrzyknąć.

Przez chwilę ciszę w gabinecie zakłócał jedynie świergot ptaka gdzieś po drugiej stronie ulicy. Podniosła oczy, bo usłyszała, jak Sonia przesuwając pudełko z chusteczkami z brzegu biurka i zbiera się do wyjścia.

– Pójdę zrobić nam herbaty, dobrze? – powiedziała, dotykając ramienia Iris. – Zaraz wracam. To zajmie parę minut. Za chwilę będę z powrotem. – Postawiła pudełko z chusteczkami na jej kolanach i wyszła.

Oddychaj, Iris, po prostu oddychaj. Głęboki wdech i wydech. Białe do środka, szare na zewnątrz. Policz do dziesięciu, a potem wdech. Nic z tego. Serce biło tak, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Zebrała włosy w garść i skręcała je drugą ręką w powrót. Przy każdym obrocie coraz bardziej bolała naciągnięta skóra nad karkiem. Podniosła się z fotela i wtedy pudełko spadło z kolan, stukając o podłogę. Ze splecionymi rękami na piersi zapatrzyła się na szary mur za oknem. Gdzie ten ptak siedzi? Ciągle go słyszała. Ramiona jej zeszywniały. Wstrzymując oddech, obeszła gabinet. Dopiero po pełnym okrążeniu dostrzegła teczkę.

Ile czasu zabiera zaparzenie herbaty?

Podeszła do stołu i podniosła folder z fotela, bo tam go Sonia zostawiła.

„Zaraz wracam. Za chwilę będę z powrotem”.

Stała tyłem do drzwi, oparta o fotel, jakby wrosnięta w podłogę. „To zajmie parę minut”.

Otworzyła teczkę.

Zgoda matki biologicznej na adopcję, formularz adopcyjny, wyciąg z przepisów ośrodka adopcyjnego. Nic, czego by nie знаła. Do wnętrza wierzchniej okładki przymocowana zszywką fotokopia „formalnej metryki dziecka adoptowanego” wskazująca jako rodziców Iris i Luke’a Bowenów. A pod spodem świadectwo urodzenia. Wstrzymała oddech. Jest. Hilary Barrett – matka. Barrett! Ma jej nazwisko! Może znajdzie coś jeszcze? Przerzuciła zawartośćteczki. Do tylnej okładki przypięta spinaczem, jakby od niechcenia, koperta zaadresowana odręcznym pismem: Ośrodek Adopcyjny, Merrion Square, Dublin, Irlandia.

– Iris?

Zamarła.

– Otworzysz mi drzwi?

Szybko odłożyła teczkę. Spinacz spadł na podłogę, pchnęła go czubkiem buta pod fotel i podeszła do drzwi.

Sonia wniosła tackę z dwoma kubkami i postawiła ją na stoliku kawowym. Zerknęła na Iris, zatrzymała na moment wzrok na fotelu, zanim podniosła teczkę i siadając, bezpiecznie umieściła ją na kolanach.

– Mam nadzieję, pani Bowen, że w ciągu tych paru minut ochłonęła pani na tyle, aby zrozumieć, że nasz ośrodek nie ma możliwości udzielić pani większej pomocy jako adopcyjnej matce. – Podsunęła kubek Iris. – Przykro mi. Tak to wygląda. Od wielu lat. Dopóki przepisy nie ulegną zmianie...

– Rozumiem... – Iris się zawahała i nadal stojąc, wypila łyk herbaty. – Właściwie czas na

mnie. Muszę zdążyć na pociąg o piątej dwadzieścia do Limerick. – Odstawiła kubek. – To kawał drogi. – Odczekała, licząc, że Sonia coś powie, lecz ona milczała wpatrzona w herbatę. Potem podniosła się z fotela i stanęły naprzeciw siebie.

Na sekundę nawiązało się między nimi milczące porozumienie. Nie padło żadne pytanie ani wyjaśnienie. W tym momencie współdziałania te dwie kobiety stały się koalicjantkami konspiracyjnymi przeciwko chaosowi we wszechświecie.

Taka chwila zapewne może na zawsze zmienić życie.

– Dziękuję za pomoc – odezwała się Iris.

Sonia w odpowiedzi nieznacznie się uśmiechnęła, a cienie, które uwidoczniły się pod oczami, zdawały się mówić, że chociaż jest gotowa stawić czoło światu każdego dnia, te wyzwania ją wyczerpują. Odprowadziła Iris przez przestronny georgiański hol do frontowych drzwi. Promienie słoneczne, wpadające przez półkoliste okno nad wejściem kładły się owalną plamą na marmurowej posadzce.

– Do widzenia, Iris. – Wyciągnęła do niej dłoń i mocno ją uściśnęła. – Powodzenia... we wszystkim.

Iris przeszła przez jezdnię i stanęła, przytrzymując się barierki przy ścieżce na skwer. Obejrzała się na zamknięte teraz niebieskie drzwi ośrodka adopcyjnego. Ruch uliczny był rozmytym obrazem i szumem w uszach. Wyjęła z kieszeni zgniecioną kopertę wyszarpiętą z teczki. Ostrożnie ją rozprostowała. Zdobyła to, po co tu przyjechała. W lewym, górnym rogu widniał adres wypisany wyblakłym, niebieskim atramentem.

– Luke – wyszeptwała. – Hilary... Hilary Barrett. 99 St. Botolph Street. Boston, Massachusetts.

Rozdział piąty

Nie ma różnicy pomiędzy skrzypkami i skrzypcami – Rose nauczyła się tego zdania na pamięć i recytowała je sąsiadom i znajomym w Clare, którzy często pytali, czemu gra jak na skrzypcach, a nie jak na skrzypkach. Gra folkowa należała do tradycji i uczyło się jej prawie każde dziecko na zachodzie Irlandii.

– Zależy, kim jesteśmy – powiedział Tommy Ryan któregoś dnia, słuchając jej gry.

Rose szukała tożsamości. Przecież to ten sam instrument – tłumaczyła – tylko gra się na nim inaczej. Jigę grała na skrzypkach, sonatę czy koncert na skrzypcach.

– Ten sam instrument. Tylko inaczej się na nim gra. Tradycyjnie lub klasycznie. A ja gram i tak, i tak.

Kiedy jako ośmiolatce zamarzyła jej się gra na jakimś instrumencie, Luke i Iris zapisali ją do szkoły muzycznej w Ennis, gdzie przeszła przez różne sekcje, trafiając też do klasy skrzypiec. To tam jej wyobraźnię rozbudził nauczyciel, Andreas, krępy mężczyzna z szopą siwych włosów, rodowity Austriak z Salzburga, który przeniósł się do Irlandii.

– Mein Roslein, muzyka jest w tobie, a ty jesteś w muzyce – powiedział jej podczas pierwszej lekcji. – Ćwicz, a któregoś dnia się odnajdziecie i wtedy staniesz się sławna. Ja to wiem.

I tak z pomocą starego nauczyciela rok po roku zdawała kolejne egzaminy i nawet zdobyła złoty medal za wykonanie *Sonaty wiosennej* Beethovena. Latem 2008 roku została przyjęta do Royal Academy of Music w Londynie.

Kiedy miała szesnaście lat, Andreas uznał, że nadszedł czas pomyśleć o naprawdę dobrym instrumencie. Zasugerował irlandzkiego lutnika Conora Flynna, który uczył się rzemiosła w Cremonie we Włoszech. Dodał też, że matka Conora, Włoszka, jest muzykiem i pracuje w Irlandzkiej Orkiestrze Kameralnej. Conor od dziecka grał na skrzypkach – powiedział Andreas – lecz podczas wizyty u dziadków w Weronie wbił sobie do głowy, że musi zbudować własne skrzypce. Stary nauczyciel śmiał się, opowiadając tę historię.

– Wyobraź sobie, Roslein, pięcioletni chłopiec chce skonstruować skrzypce zamiast samolotu, traktora czy jakiejś innej drewnianej zabawki! A teraz jest jednym z najlepszych młodych lutników w Irlandii.

*

Gdy rodzice weszli z Rose do pracowni Flynna w starym wiejskim domu w North Clare, zobaczyli na ławeczce pod oknem wykuszowym tłące się kaczidółko i dwa rude koty śpiące w otwartym futerale na skrzypce. Był początek stycznia. Podłogę zaścielały wióry, na ścianach wisiały srebrzyste formy oraz szablony. Na rozciągniętych nylonowych niebieskich żyłkach niczym jakieś niezwykle pranie wisiało kilka niedokończonych skrzypiec. Pod jedną ze ścian stał długi, masywny stół z ceramicznymi pojemnikami na narzędzia i stacją dokującą z grającym iPodem. Rose rozpoznała końcówkę koncertu Haydna, lecz następny utwór okazał się zaskoczeniem. To był *The Lonesome Touch* Martina Hayes, irlandzkiego skrzypka z East Clare.

– Tajemnica tkwi w drewnie. Świerk pospolity i klon jawor. Wielcy lutnicy z Cremony używali klonu jaworu – wyjaśnił ich niebieskooki gospodarz w wełnianej czapce-uszance naciągniętej na jasne włosy ściągnięte w kucyk. Był młody, nie miał nawet trzydziestki, i pachniał wodą morską. Rose śledziła drobinki drewnianego pyłu, które posypały się z jego

palców, gdy uniósł rękę, aby wskazać formy na otynkowanej ścianie. Spojrzała na Iris, licząc na jakąś odpowiedź, bo przecież mama wiedziała wszystko o roślinach, drzewach i tym podobnych rzeczach, lecz ona, stojąc ze spuszczoneymi oczami, tylko skinęła głową z lekkim uśmiechem.

– Im większe drzewa, tym lepiej, bo tam w górze ogólnie powietrze jest czystsze – kontynuował Conor, nieco nerwowo według Rose. – Drewno jest bardzo chłonne.

– Tak? – zdziwiła się Rose.

Oczywiście wiedziała o tym, lecz czując wzrok lutnika na swoim policzku, musiała coś powiedzieć, żeby uwolnić się od jego spojrzenia. Powiodła oczami po pracowni, a potem przez okno wyjrzała na morze. Na zewnętrznym parapecie stało sześć doniczek z terakoty z chwiejącymi się na wietrze kępami przebiśniegów.

– Tak – potwierdził. – Wszystko łatwo wnika w drewno. Kwaśne deszcze, różności... I bywa, że kiedy wysycha... – Rose odwróciła się do niego – ...toksyny pozostają. Lecz to nadaje mu... charakter. – Wytrzymał jej spojrzenie. – Wiesz?

– Tak.

Przez chwilę wydawało się, że w pracowni poza Conorem, Rose i instrumentami nie ma nikogo. Dopiero Luke zburzył to wrażenie.

– Charakter jest istotny – zauważył z uśmiechem.

Iris wyprostowała szablony rozłożone na stole.

– Kiedyś materiały używane do wyrobu skrzypiec nie miały zanieczyszczeń – ciągnął Conor. – Drzewa ścinano w trzeciej kwadrze księżycy, bo wtedy drewno dawało najlepszy ton. Więc... – machnął ręką w kierunku wystawki – ...jak wybieriecie wzór, dostosuję go (tu spojrzał na Luke'a) do charakteru drewna, na które się zdecydujecie.

Złożył teatralny ukłon przed Rose, a ona nie potrafiła ukryć uśmiechu. Coś jakby w niej drgnęło.

– Może... powinniśmy pomyśleć o jakichś używanych skrzypcach dobrej jakości? – Iris zwróciła się do Luke'a, bo nie umknęło jej to, co działo się pomiędzy dwójgim młodych ludzi. Bez trudu można było odczytać jej myśli: trzecia kwadra księżycy, niebieskie oczy, blond włosy ściągnięte w kucyk i ktoś taki robi skrzypce?

– Jak państwo chcecie. – Lutnik odwrócił się do stołu. W tej samej chwili urwała się muzyka z iPod'a. – Oczywiście nie jest bez różnicy, czy drzewo rosło w pełnym słońcu, czy w cieniu.

*

Dwa miesiące później, w słoneczny poranek na początku marca, Conor osobiście przywiózł skrzypce o jasnym, pełnym brzmieniu. Rose akurat się uczyła. Nie spodziewała się go. Nie powiadomił Bowenów, że zakończył pracę.

– Czytałem o tobie w „The Banner County News”. Gratuluję – oznajmił, wchodząc bezceremonialnie do środka, kiedy otworzyła mu przeszkłone drzwi. – Niewielu Irlandczyków trafia do Royal Academy of Music. Megasukces! Masz szczęście.

Przyjechał w tej samej uszance z żółtej wełny.

– Chyba tak. – Rose, zaskoczona zarówno jego wizytą, jak i swobodnym przywitaniem, nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. – Ale muszę jeszcze pozdawać egzaminy końcowe.

Wskazała na otwartą gramatykę francuską i testy rozłożone na stole.

– Jasne, pewnie. Ale się nie przejmuj. Zostało jeszcze kilka miesięcy, nie? – Otworzył futerał takim gestem, jakby składał przed nią ofiarę. – Zagrasz na nich, *ma chérie*?

Obrzuciła go szybkim spojrzeniem. Zabawny facet.

– Nie wiem...

Nie odebrała od niego instrumentu, a on po chwili położył otwarty futerał obok książek na stole.

Wpatrywał się w nią przez dłuższy czas, ważąc szanse i ryzyko.

– Jesteś prawdziwą pięknoscią – wyrzucił z siebie wreszcie po wewnętrznej walce.

Rose uciekła spojrzeniem w bok, odruchowo wodząc palcami po efach na płycie rezonansowej.

– Wcale nie – bąknęła, zerkając na niego, po czym odwróciła się tyłem.

Iris i Luke'a nie było w domu, bo jak wcześniej zapowiedzieli Rose, tego dnia mieli coś do załatwienia w Limerick. Nie była pewna, czy chce, aby Conor Flynn przedłużył wizytę. Wydawał się jakiś rozemocjonowany. Nie bardzo wiedziała, co się właściwie dzieje. Oblała się rumieńcem. I chociaż on nie przestawał się w nią wpatrywać, zdecydowała, że nie zagra dla niego. Podeszła do drzwi.

– W takim razie może dałabyś mi znać, czy te skrzypce spełniają wymagania akademii, naturalnie kiedy już tam będziesz. Powiedz im, że jest taki irlandzki lutnik Flynn, którego z czystym sumieniem polecasz. Oczywiście, o ile spodoba ci się ich dźwięk. – Zaśmiał się z własnych słów, lecz ciągnął dalej, podążając za Rose do wyjścia i stając tuż przy niej. – Możesz być moją pierwszą naprawdę profesjonalną klientką. Wsunąłem do futerału kilka wizytówek razem z prezentem dla ciebie. To kalafonia według sekretnego przepisu jednego gościa z Belgii.

Conor roztaczał wokół siebie woń morza i strużyn. Dodał, że ma nadzieję, iż Rose zaprosi go latem do siebie, aby mógł posłuchać brzmienia skrzypiec. A gdyby chciała, może je ewentualnie podrasować, chociaż on grał na nich przez miesiąc i był zadowolony.

– No dobra, w takim razie będę leciał. Zabieram Gerty na plażę Doughmore Beach.

Rose spuściła oczy.

– Gerty to moja furgonetka – wyjaśnił szybko.

– Och! – Rozpogodziła się i roześmiała. – Myślałam, że masz...

– Psa w samochodzie? Nie, moje koty nie byłyby zachwycone. – Zawiesił głos. – Jestem surferem.

Wsunął dłonie w kieszenie i czekał, czy Rose przypadkiem nie zmieni zdania i nie poprosi, żeby został, lecz ona stała nieruchomo, wpatrzona w ogród za oknem.

Wymienili numery telefonów, a potem on delikatnie położył dłoń na jej ramieniu i życzył powodzenia. Znalazł się tak blisko niej, że ich ciała się dotknęły. Na moment. I wtedy nachylił się i pocałował ją w policzek.

– To na szczęście! – wyjaśnił. I już go nie było. Wyszedł z ogrodu przez dziurę w żywopłocie.

Rose po chwili ruszyła za nim, lecz niestety, o mgnienie oka się spóźniła. Zobaczyła tył starej czerwonej furgonetki jadącej w stronę morza.

Wróciła do domu i obejrzała wizytówki: *Conor Flynn, dyplomowany lutnik. Kinvara, Co. Galway*. Wsunęła je z powrotem do małego, obciążonego aksamitem schowka w futerał, który był jednocześnie podpórką dla ślimaka. Conor wyjaśnił jej, że dźwięk, przechodząc przez warstwy polityry, nabiera głębi. Porównał to do napowietrzania surowego ciasta. Rose później myślała o tamtych jego słowach jak o czymś, co otworzyło jej drzwi i zapisało się w sercu. Że też pomyślał o tym i to powiedział. Wieczorem po kolacji zagrała na nowych skrzypcach *O mój kochany tato* Pucciniego i mama się popłakała. (Rodzice nie powiedzieli jej jeszcze, że Luke tego dnia miał wizytę u lekarza).

*

Aż do dziś muzyka nigdy jej nie zawiodła. Czasami nachodziły ją wątpliwości, czy

czasem nie goni za uczuciem, zamiast mu się poddać. Lecz w swych najlepszych momentach, w szczytowej formie, potrafiła zanurzyć się w dźwiękach niczym surfer w tunelu długiej fali. I właśnie dla takich chwil żyła.

Teraz, kiedy wysiada z metra na Camden Town po tragicznym popisie, skręca na Camden High Street i wlecze się po Parkway, to wszystko wydaje jej się takie odległe, jakby działo się w innym świecie, w którym być może odpowiedziałyby na esemesy przysyłane przez Conora Flynna tamtego pierwszego lata. Kto wie, czy nawet by się z nim nie pocałowała. W tamtym świecie ojciec nadal by żył i wszystko byłoby w porządku. Tata częstowałby ją filozoficznymi przemyśleniami, na przykład powiedziałby nawet, że nauczanie jest sprawą zewnętrzną, a uczenie się pochodzi z wewnątrz i nie powinna w sobie wątpić. Jednak to wszystko nie dzieje się w tamtym świecie i nic nie jest w porządku. Conor przestał przysyłać esemesy, a tata nie żyje.

Teraz jest po prostu dziewczyną, która idzie samotnie wieczorem przez ciemne miasto.

Mija Jazz Club. Przed wejściem kolejka nocnych marków czeka na występ Imeldy May, irlandzkiej gwiazdy rockabilly. Nie zatrzymuje się. Na dworze gęstnieje mrok. Stoliki na zewnątrz Dublin Castle okupują młodzi ludzie. Piją piwo i palą. Dziewczęta w krótkich letnich sukienkach lub w koszulkach na ramiączkach roztaczają wokół siebie woń perfum. Chudym chłopcom długie włosy opadają na twarze.

Brak ciężaru na plecach, tam, gdzie powinny być skrzypce, sprawia, że ramiona wydają się nagie. Jakby kiedyś miała skrzydła, czego aż do teraz była świadoma. Stopy plaskają o chodnik na Gloucester Road. Owiewa ją nocny chłód, gdy wchodzi przez kutą bramę do Primrose Hill Park, gdzie światła wzdłuż alei kładą się na trawie białymi plamami, które przypominają śnieg. Rose wspina się na wzniesienie. W palczastych liściach kasztanowców wiatr szeleści jak deszcz, na niebie nieco powyżej linii drzew wisi półksiężyc. Samotny jogger truchta z golden retrieverem. Jakaś para idzie z wózkiem. Rose przysiadła na drewnianej ławce i zgina się wpół. Jej długie włosy opływają nogi, a ich końce podwijają się na butach. Komórka sygnalizuje nadejście esemesa.

Rose, proszę, zadzwoń do mnie. Musimy pogadać. To pilne. x Roger.

W oddali pulsują czerwone i fioletowe światła British Telecom Tower. Ekran komórki powoli blednie i twarz Rose ginie w mroku. Przysięga sobie, że będzie siedzieć tu, ponad miastem, w ciemną noc, tak długo, aż wymyśli, co zrobić. Ignoruje prośbę Rogera. Najchętniej zadzwoniłaby do mamy, lecz nie w tej chwili. Jeszcze nie. Nie może przyznać się matce do tego szalonego kroku. Nie potrafiłaby wyjaśnić, co i dlaczego zrobiła, zanim sama tego nie zrozumie. W tamtym momencie wydawało jej się, że musi tak postąpić. Jakby coś pchnęło ją do porzucenia skrzypiec, jakby jedynym wyjściem było zakończenie całej historii z Londynem, z Akademią i z Rogerem. Czy jest cokolwiek warta? Kim jest? Siedzi wpatrzona w światła miasta.

Iris chyba zrozumiałaby to, co ona zrobiła. Tak. Ale... bardzo by się przejęła. Jak więc jej to powiedzieć?

Gdyby w przeszłości miała możliwość poprosić Boga o matkę, poprosiłaby o Iris. Dobrą, sprawdzoną Iris. Silną, a jednocześnie wiotką jak kwiat na wietrze. Poprosiłaby o dumną, dzielną matkę. Wyrozumiałą i szaloną, czasem upartą jak osioł, impulsywną, zdecydowaną, a przy tym delikatną, która pragnęłaby dla swej córki wszystkiego, co najlepsze, i byłaby dla niej gotowa poruszyć niebo i ziemię. Matkę, której nigdy nie opuszczała pewna doza optymizmu.

Widok nieba usianego gwiazdami przywołuje wspomnienie tamtego ostatniego dnia przed wyjazdem z Ashwood do Londynu pod koniec sierpnia ubiegłego roku. Było już dobrze po północy, a one, wyciągnięte na leżakach w ogrodzie, wypatrywały deszczu meteorów. Naliczyły dwadzieścia cztery spadające gwiazdy. Trzymając się za ręce, myślały o tym, że Luke'a nie ma z nimi już cały rok i jedno lato. Jakoś udało im się przeżyć. W pewnym sensie to zakrawało na

cud i Rose przycisnęła policzek do włosów Iris pachnących jabłkami.

Zdarza jej się myśleć o biologicznych rodzicach (skłamałaby, mówiąc, że nigdy się nad tym nie zastanawiała). Lecz te myśli są pozbawione emocji, bo Rose wie, jakie miała szczęście z adopcją. Zdaje sobie sprawę, jak bardzo była upragniona i że została wybrana. Dlatego zawsze czuła się kimś wyjątkowym. Życie, jakie zna, jakie zawsze знаła, to życie ukochanego dziecka Iris i Luke'a Bowenów, rodziców, którzy ją wychowywali, czuwali nad nią, wspierali i otaczali troską. Na przykład jak wtedy, gdy zachorowała na ospę wietrzną. Twarz potwornie ją swędziała, miała ochotę rozorać ją paznokciami, a mama kąpała ją w wodzie z dodatkiem nagietkowego olejku. Albo gdy spadła z roweru i złamała obojczyk, a mama we wszystkim, dosłownie we wszystkim, musiała jej pomagać. Albo gdy była kompletnie załamana po oblanym egzaminie z francuskiego w gimnazjum. Herbata i bułeczki mamy działy cuda, jakby Iris upiekła je według siebie tylko znanego magicznego przepisu.

Właśnie teraz, siedząc w ciemnościach na ławce w parku, potrzebuje cudu. Lecz nie ma na co ani na kogo liczyć. Jest zdana na siebie. Jakaś hałaśliwa grupa weszła na wzgórze i podziwia światła miasta. Nie mówią po angielsku. Śmieją się i przepychają. Rose nie rozumie ani słowa. Jeden z młodych ludzi ma słuchawki i iPod. Strzępy muzyki docierają do jej uszu i rażą jak prąd.

O Boże.

Boże drogi, co ja zrobiłam?

Zrywa się z ławki, przepycha przez gromadkę turystów i zbiega ze wzgórza za bramę. Pędzi po High Street, mijając sklep zoologiczny, zieleniak, księgarnię Primrose Hill, pozamykane już puby, eleganckie restauracje i kawiarnie. Na ulicy pustki, tylko na chodnikach piętrzą się czarne worki wypchane śmieciami i sterty poskładanych kartonów. Z mostu kolejowego zbiega na stację metra Chalk Farm. Na peronie przeciąg targa jej włosami. Oczy błyszczą jak w gorączce. Brzydzi się sobą, czuje się jak owad, który ucieka w poszukiwaniu schronienia. Szybkim krokiem zmierza w kierunku czerwonego światła, żeby znaleźć się przy pierwszym wagonie, i gdy kolejka nadjeżdża, przepycha się do drzwi pomiędzy wysiadającymi pasażerami.

Następna stacja Belsize. Czy jedzie właściwą linią? Kurde. Przestraszona, zeskakuje na peron, sprawdza nazwę i w ostatniej chwili wciska się do wagonu przez zasuwające się drzwi. Hampstead, Golders Green. Ile jeszcze do końcowej stacji? Brent Cross, Hendon, Colindale. Miejsca, w których nigdy nie była, o których nigdy nie słyszała, których nie poznała i poznać nie chce. Stacja Burnt Oak. Co ja zrobiłam? Co zrobiłam?

Tatku?

W końcu Edgware. Drzwi się rozsuwają i Rose wysiada. Rozedrgana, wbiega po schodach po dwa stopnie naraz. Serce tłucze się w piersi jak oszalałe.

Byłam głupia. Głupia. Głupia.

Na ostatnim schodku szybko rozgląda się wokół siebie jak przestraszona matka, która zgubiła dziecko. Pasażerowie przechodzą przez bramki w obu kierunkach. Ona szaleje z niepokoju, a jednocześnie tli się w niej nadzieja, że skrzypce gdzieś tu są.

Przesuwa elektronicznym biletom po czytniku. Jej wzrok wędruje ku kasom. Czy ktoś z wyrazu jej twarzy odgadnie, że nie ucieka ze złamanym sercem, lecz biegnie w konkretnym celu? Czy ktoś jej pomoże? Domyśli się, że ta dziewczyna szuka skrzypiec, które zostawił tu godzinę temu jakiś uczciwy pasażer? Tak, ta dziewczyna z wypiekami na twarzy i rozwianymi włosami musi je tu znaleźć. Śmieszne i idiotyczne, lecz cały czas kołocze się w jej głowie jedna myśl: będą tu, będą tu, będą.

Niestety, okienka kasowe są zamknięte.

Przy bramkach nie ma nikogo z obsługi.

Zagląda przez ciemną szybę do służbowego kantorka. Nic, co przypominałoby futerał. Mijają ją pasażerowie wychodzący ze stacji. Ona stoi wpatrzona w okno kantorka. Skrzypiec nie widać, lecz wyteża wzrok, nie traci nadziei. W końcu z westchnieniem osuwa się po zimnej, wykafelkowanej ścianie i kuca na brudnej posadzce. Ludzie idą, nie patrząc w jej stronę. Ot, jeszcze jedna pijana imprezowiczka o pierwszej w nocy w Londynie.

*

Drugie niezwykle trudne zadanie, jakie czeka Rose Bowen, to powrót do Camden. W końcu jakoś jej się udaje, lecz kosztuje dużo czasu, w którym musi pogodzić się z tym, co w rzeczywistości przyniósł ten dzień z widokami na sukces, uznanie, poczucie przynależności. Jej tak zwany sterylny Bach nie stanowił części planu ani cichej nadziei na zabłyśnięcie jako wschodząca gwiazda, która obudzi zainteresowanie akademii i z której ojciec mógłby być dumny. Nie czuje nic poza odrzuceniem i nie potrafi się od tego uczucia uwolnić. Jednak w końcu zbiera się w sobie, przykłada bilet do czytnika i schodzi na peron Northern Line.

Jak w transie jedzie nocną kolejką. Stoi kołysana rytmem pociągu, w grze świateł i cieni mijanych stacji: Colindale, Brent Cross, Hampstead, Belsize, Chalk Farm, Camden... Wreszcie dociera do domu. Znajduje list od Isobel.

Hej Rosie, mam nadzieję, że popis wypadł rewelacyjnie, że im pokazałaś. Sorki, ale nie mogłam czekać. Jedziemy z Aaronem do Dublina. Wracam za tydzień. Buziaczki, Izzy

Siada na ich małym balkonie z kupioną wczoraj butelką szampana i pije go duszkiem. Bąbelki rozpryskują się na brodzie. Nic dzisiaj nie jadła. Za późno, żeby zadzwonić do matki i o wszystkim jej powiedzieć. Na dole, po drugiej stronie kanału, jakiś chłopak z gitarą śpiewa reggae. Muzyka budzi wspomnienia z dnia, zalewając ją falą emocji. W końcu daje im upust. Gitarzysta milknie i nasłuchuje, skąd dochodzi łkanie. Nie mogąc go zlokalizować, uderza w struny i zaczyna *No Woman No Cry* Boba Marleya.

Rose rano skontaktuje się z biurem rzeczy znalezionych i dowie się, czy to naprawdę koniec świata. Lecz teraz oszołomiona wypitym duszkiem szampanem idzie do swego pokoju, zaciąga zasłony, pada na łóżko i zasypia.

Nad ranem śni jej się tłum ludzi. Czekają na kogoś. Jakiś mężczyzna idzie ku niej, lecz nie może go rozpoznać. W pierwszej chwili przypomina młodego człowieka, z którym mija się czasem w drodze do Akademii. Potem lutnika. Później Rogera. I Boba Marleya. Słysząc gitarę i strojone skrzypce. Rysy mężczyzny, na którego wszyscy czekają, nabierają wyrazu. Wyłania się z niebieskiej mgły i Rose wreszcie go rozpoznaje. Rzuca się mu w ramiona, a on obejmuje jej drobną, dziecinną postać.

– Tatusiu, wróć do mnie! Proszę cię, wróć! – woła Rose, zadzierając głowę i tuląc policzek do jego piersi.

CZEŚĆ DRUGA

Cosmos bipinnatus
'Sensation'

Rozdział szósty

Iris nigdy nie leciała nad Atlantykiem. Kiedy po ośmiogodzinnym locie z Shannon w Dublinie w czwartek o szesnastej znalazła się na Logan Airport w Bostonie, czuła się znużona podróżą i nieco otępiała. Podążając za tłumem w stronę hali przylotów, miała wrażenie, że ci wszyscy ludzie w letnich ubraniach wiedzą, dokąd spieszą. Wyglądali na szczęśliwych. Sprawiali wrażenie, że są na wakacjach. Że wracają do domu. Że bezpiecznie dolecieli. Ze ściśniętym sercem pomyślała, że ona jedna na całym lotnisku tak się nie czuje. Przygarbiona postawiła walizkę. Opuściła ją tamta pewność siebie, która towarzyszyła jej po wyjściu z ośrodka adopcyjnego. Wtedy miała poczucie misji i konkretne zadanie – polecieć do Bostonu i odnaleźć Hilary Barrett. I nie było niczego, co mogłoby ją odwieść od tego planu. Nikomu nic nie powiedziała: ani Tess, ani listonoszowi. Nie zawiadomiła ani Kliniki Piersi, ani Rose. Przede wszystkim jej nie mogła o tym powiedzieć. Wróci do domu za cztery, najdalej pięć dni. (Zostawiła suchy pokarm dla Cicero w automatycznym karmidle, lecz zapomniała o przełożeniu wizyty w klinice).

W hali tłum, za którym wcześniej podążała, zaczął się rozpraszać. Stała z walizką na środku, bezradnie rozglądając się dokoła. Nie do końca to wszystko przemyślała. Co teraz? Do diabła, co dalej?! Jasna cholera!

Dostrzegła stanowisko z dużym, jaskrawym napisem: „Informacja”, i młodą, rudowłosą kobietą w okienku. Kiedy tam podeszła, przeczytała na jej zielonej plakietce: „Cześć! Jestem Kerry”. Twarz dziewczyny budziła skojarzenia ze starymi widokówkami z Irlandii. Tymi w technikolorze, z piegawatymi dzieciakami z kręconymi włosami i osiołkiem w tle. Oparła walizkę o ścianę stoiska.

Dziewczyna przywitała ją uśmiechem.

– Może mi pani znaleźć jakiś nocleg? – rzuciła Iris. – Czy mogłaby mi pani pomóc? – Była spocona. Odgarnęła włosy z szyi, chłodząc w klimatyzowanym powietrzu spocony kark. – Niestety, niczego sobie nie zarezerwowałam. Nie było na to czasu.

– Pierwszy raz w Bostonie?

– Tak.

– Z przyjemnością pomogę. – Kerry obdarzyła ją kolejnym uśmiechem. Miała białe i idealnie równe zęby. A włosy raczej kasztanowe niż rude jak u Iris. – Coś w centrum?

– Może gdzieś w pobliżu St Botolph Street. Czy to w centrum?

Nie miała pojęcia, jak duży jest Boston, ani, idiotka, nie zdawała sobie sprawy, ile ta wyprawa będzie ją kosztować. Już wydała majątek na bilet *last minute*.

– Jasne, oczywiście. St Botolph Street? Hm. – Zmrużyła oczy, myśląc intensywnie. – No tak! Wiem, gdzie to jest. Ciągle tamtędy przejeżdżam. – Powiedziała to z taką satysfakcją, że Iris musiała się uśmiechnąć. – Sprawdź hotele na Copley Square. Może Copley Plaza? – Kerry wychyliła się z okienka. – Jedyńka? – spytała.

– Jedyńka – przytaknęła cicho Iris. – Nie wiem, jak mogłam nie pomyśleć o rezerwacji. – Zrobiła najgłupszą ze swych min kobiety w średnim wieku. – Ale to naprawdę była spontaniczna decyzja.

Dziewczyna uśmiechnęła się w odpowiedzi i pochyliła głowę. Stukając w klawiaturę poniżej blatu, jednocześnie śledziła ekran monitora.

– Hm... szkoda. W Copley nie mają nic wolnego. Jest weekend. – Zamyśliła się na

moment. – O jakim standardzie mówimy? Mamy tu sporo świetnych miejsc. Niektóre z nich są...

– Może jakiś mały hotelik – przerwała jej Iris, opierając dłonie na kontuarze.

– Nie ma problemu.

– Coś w rodzaju pensjonatu. Byle w okolicy St Botolph Street – szybko dodała.

– Pensjonat? Właściwie nie mamy... – Dziewczyna zastanawiała się chwilę, spojrzała na zegarek, a potem na Iris. – Chwileczkę. – Podniosła słuchawkę.

Iris oderwała wzrok od swoich dłoni i zatrzymała go na młodej twarzy Kerry. Tak bardzo chciała powiedzieć więcej, otworzyć się przed nią, jak czasem zdarza się ludziom w rozmowie z nieznanymi. Prawdę mówiąc, w tej chwili chętnie zwierzyłyby się każdemu, kto tylko zechciałby słuchać. Przez parę sekund widziała siebie, jak staje na środku hali pośród witających się i żegnających podróżnych. „Hej, słuchajcie! – zwraca się do nich. – Potrzebuję waszej pomocy. Muszę odnaleźć biologiczną matkę mojej córki”. Oczywiście nie zrobiła tego i strumienie podróżnych płynęły nieprzerwanie, a na każdej twarzy odbijała się własna historia; mały prywatny świat w wielkim świecie.

Cały lot z Shannon przebyła zamknięta w sobie. Przeglądała magazyny ogrodnicze i przerzucała filmy, których wcale nie miała ochoty oglądać. Od czasu do czasu coś podjadała, po starciu wypila dżin z tonikiem, a potem, gdzieś nad Atlantykiem, jeszcze dwie buteleczki pinot grigio, żeby się zmusić do drzemki. Osiem godzin w kokonie ciszy z nazwiskiem: *Hilary Barrett* i z diagnozą: *zaburzenie architektury*, kołaczącymi się w głowie. Wszystko dosłownie wisiało w powietrzu – wizyta w Klinice Piersi; spełnienie obietnicy danej Luke'owi i to, co właściwie powie Hilary, kiedy ją znajdzie. Przez osiem godzin siedziała w milczeniu na miejscu 16 D zajęta tymi myślami. A teraz rozpaczliwie pragnęła otworzyć do kogoś usta. Nic więcej. Po prostu porozmawiać. Obejrzała się na nieprzerwany strumień ludzi idących po wypolerowanej posadzce: rodziny, ich znajomi i pojedyncze osoby. Wszyscy zmierzali w konkretnym celu. Potem zadarła głowę i spojrzała przez okno na pierzaste obłoki na horyzoncie.

Kerry odłożyła słuchawkę i zanotowała coś na bloczku z nadrukiem: „Witamy w Bostonie”. Krótka obcięta paznokcie miały odcień ostrego fioletu. Wyjęła spod lady mapę i odrzucając włosy za ramię, przechyliła się do Iris.

– Tu ma pani namiary. Bardzo miłe miejsce – mówiła półgłosem, rozglądając się na boki i postukując końcem długopisu w punkt na mapie. – Akurat jest wolny pokój. U pani Hale.

– Dziękuję.

– Ale muszę uprzedzić – zniżyła głos niemal do szeptu – że ona nie ma zgłoszonej działalności. To znaczy, wynajmuje nieoficjalnie. Znam ją. Jest hm... Jest naprawdę sympatyczna. Myślę, że ją pani polubi.

Posłała rozmówczyni znaczące spojrzenie, jakby sprawdzając, czy dobrze ją zrozumiała.

Tymczasem Iris wodziła oczami po mapie, próbując ocenić, jak daleko jest z tego miejsca do St Botolph Street.

– W porządku. Wygląda nie najgorzej.

– No właśnie – przytaknęła Kerry z uśmiechem. – Proszę spojrzeć. Za ledwie parę przecznic dalej jest przystanek T. – Zakreśliła literkę długopisem. – Można stamtąd dojść pieszo i tu, i tam.

– T? – Iris odgarnęła włosy z twarzy, zastanawiając się, czy to uczucie gorąca nie jest przypadkiem skutkiem znużenia po locie.

– Tak nazywa się miejski transport – zaśmiała się. – Kolejka kursuje również sprzed lotniska. Sama często z niej korzystam. Może też pani wziąć taksówkę. Ale dziś piątek. No i teraz mamy godzinę szczytu.

– Czy to daleko?

– Kolejką? Nie. I o wiele taniej. Proszę niczym się nie przejmować. Znam panią Hale. To koleżanka mojej mamy. Grają razem w tenisa w Berklee.

– Berklee?

– Berklee College. Niedaleko South Endu. Niedaleko St Botolph Street, miejsca, o które pani chodzi. Proszę wsiąść do Silver Line... – machnęła ręką w kierunku przystanku T – ...i dojechać do Newton Street Station. Dalej pieszo. O, tu ma pani St Botolph Street. – Zaznaczyła ulicę długopisem. – Naprawdę o rzut kamieniem. – Podała mapkę Iris, nie wychodząc jednak ze swej budki.

– Dziękuję, Kerry.

– Pani jest Irlandką? – zapytała dziewczyna, jakby wyczuwając, że kobieta przed okienkiem czuje potrzebę rozmowy.

– Tak. – Iris się rozjaśniła.

– Ja też! Babcia pochodziła z County Kerry. – Wskazała plaketkę. – Stąd mam to imię. – Iris zauważyła, że dziewczyna mówi z wyraźnym bostońskim akcentem, połykając głoskę „r”. – Mam nadzieję, że kiedyś się tam wybiorę.

Właśnie tego jej było potrzeba, śladu powiązań dla poprawy nastroju. Kiwnęła głową.

– Na pewno. I bardzo dziękuję za pomoc.

Uśmiechnęła się najszczerzej, jak potrafiła, podniosła walizkę i ruszyła w kierunku Silver Line, zostawiając zapewne dziewczynę w okienku z marzeniami o dniu, kiedy odwiedzi miejsce narodzin babci w Krainie Kerry. W połowie hali jeszcze się odwróciła, żeby jej pomachać, lecz stoisko „Informacji” zdążył przesłonić pochód podróżnych.

*

Pani Hale mieszkała zaledwie kilka przecznic od stacji kolejki, lecz Iris z każdym krokiem była coraz bardziej zmęczona, wlokąc za sobą oporną brązową walizkę, której kółka jakby obrzękły od upału. Przystanęła na zakręcie i wyprostowała plecy. Tremont and West Newton. Boże, jak gorąco. Żar bił z chodnika i przez stopy wnikał aż do czubka głowy.

Czas powrotów z pracy. Przechodnie wypełniali ulicę. Elegancko ubrane kobiety w adidasach na nogach i mężczyźni z marynarkami przewieszonymi przez ramię i z poluzowanymi krawatami. Wachlując się mapą, przeszła parę kroków i skryła się w cieniu drzew, zdaje się klonów. Musiała chwilę odpocząć. Zadarła głowę i popatrzyła na niebieskie niebo przez baldachim z zielonych liści. Elementy układanki trafią na swoje miejsce. Musi w to wierzyć. Białe do wewnątrz, szare na zewnątrz. Woda do góry, ogień w dół. Odetchnęła, przeszła kolejną przecznicę i weszła na schodki przed domem z czerwonej cegły z fantazyjną drewnianą tabliczką: 116. Hale.

Zadzwoiła do drzwi i po chwili pojawiła się w nich kobieta w średnim wieku z krótkimi, utlenionymi niemal na biało włosami i najczerwieńszą z czerwonych pomadką na ustach. Musiała być dobrych kilka lat starsza od Iris.

– Dzień dobry! – przywitała ją z promiennym uśmiechem. – Zapraszam. Wchodź, kochana, do środka. Ale duchota, co? Tak. Strasznie gorąco. Mamy tutaj falę upałów.

Paplała jak nakręcona, jakby upał uderzył jej do głowy. Iris przestąpiła próg. Owionęło ją chłodne powietrze.

– Pani Bowen, tak? Dobrze usłyszałam?

– Tak. Zgadza się.

– Grace Hale. – Podała rękę. – Nie nawykła pani do takich upałów, co? Nawet my, bostończycy, kiepsko je znosimy. O matko, co ty, kobieto, masz na sobie! Na pewno przyda się szklanka lemoniady. A może woli pani coś innego?

Iris uściśnęła wyciągniętą dłoń, odnotowując jej przyjemny chłód.

– Z chęcią. Poproszę.

– Zaraz zajmujemy się tą walizką. Billy?! – zawołała, pochylając się po bagaż. Chyba akurat skądś wróciła albo gdzieś się wybierała. Różowe koniki morskie hasały po jej białych, sięgających kolan szortach, a z białych tenisówek wyzierały różowe skarpetki. – Billy?! Billy?! – krzyknęła w głąb chłodnego holu i odwróciła się do Iris, która nadal stała z walizką w ręku. – Och, niech ją pani postawi. Billy, mój pomocnik, wniesie ją na górę.

Poprowadziła Iris korytarzem z pomalowanymi na zielono ścianami. Wisiały na nich pejzaże i miejskie scenki oprawione w ramy.

Pani Hale wyjaśniła, że dostała telefon od Kerry i z radością zgodziła się wynająć pokój.

– Mamy taką małą umowę – mówiła do Iris, gdy pokonywały dwa biegi drewnianych schodów do małego pokoju na piętrze z tapetą we wzór w ptasie budki. – Kerry przysłała mi porządnych ludzi. – Starannie zasłane łóżko zdołały poduszki w lnianych poszewkach, a na komódce leżała niewielka sterta książek oraz prospektów. – Bo wie pani, ja nie mam zarejestrowanej działalności. – Wszystkie meble, poza głębokim skórzanym fotelem, były drewniane. – Może w przyszłym roku postaram się o licencję.

– Jestem bardzo wdzięczna – odezwała się Iris, wyczuwając, że powinna coś powiedzieć. Jednocześnie zastanawiała się, czy na pewno dobrze zrobiła, słuchając Kerry. Może należało wynająć pokój w którymś z hoteli Best Western albo jakiejś innej sieci.

Grace odsłoniła woalową firanę.

– Widok mamy taki sobie, na zaułek – tłumaczyła się – ale będzie pani zadowolona, bo rano jest bardzo cicho.

– Nie przyjechałam tu dla widoków.

Hale skwitowała tę uwagę uśmiechem, nie podejmując tematu.

– Znajdzie tu pani wszystko, czego szuka. – Ogarnęła pokój wzrokiem, jakby sprawdzała mentalną listę: świeże ręczniki, mydło, butelka wody, szklanka. Niczego nie brakowało. – A może pani coś przekąsi? Musi cię, kobieto, skręcać z głodu, no nie? Która to godzina? Przyniosę lekką kolację i coś do picia.

– Poważnie? Jeżeli to nie kłopot – ożywiła się Iris, myśląc o tamtej obiecanej lemoniadzie. – Dzięki.

– Rany. Żaden kłopot. Przecież nie będzie pani wychodzić w taki upał. – Wychyliła głowę za drzwi. – Billy?! – zawołała w stronę schodów i odwróciła się z powrotem. – Lemoniada? Czy... może coś mocniejszego? Jestem sławna z kanapek z kurczakiem. – Zaśmiała się, zanim Iris zdążyła pomyśleć i odpowiedzieć. Nie nadażęła za tą kipiącą energią kobietą. – Pasuje? Tak? Na toście? – Mówiła szybko, jakby nawykła do jednostronnych dialogów. – Przyniosę i potem zostawię panią w spokoju, chyba, że jest coś jeszcze...

Oj, jest – pomyślała Iris.

– Nie. – Uśmiechnęła się. – Wspaniale. Dziękuję, pani Hale.

Grace zawahała się przy drzwiach.

– Byłam panią Hale – powiedziała. – Mój mąż Bob zmarł jakiś czas temu. – Lekkie zmrużenie oczu i grymas rezygnacji wokół ust świadczyły, że wreszcie może pozwolić sobie na to wyznanie bez płaczu. – Proszę mi mówić Grace.

*

Wreszcie zjawił się czarnowłosy chłopak w czarnym T-shircie i spodniach khaki z jej walizką.

– Cześć, jestem Billy. Witamy w Bostonie. Gdyby pani czegoś potrzebowała, zazwyczaj

kręcę się na dole. Pomagam Grace w...

Nie dokończył, bo z parteru usłyszeli wołanie jego chlebobawczyni:

– Billy!

Wzruszył ramionami.

– To ja. – Niespiesznie ruszył po schodach. – Już lecę, pani Hale!

Iris zamknęła drewniane drzwi i przez chwilę stała zagubiona, po czym zabrała się do wyjmowania rzeczy. Oto dowód, że decyzja o wyjeździe była naprawdę błyskawiczna: nie spakowała nocnej koszuli, za to wrzuciła za dużo swetrów. Aż trzy.

– No, świetnie, Iris. Gdyby przypadkiem nastały mrozy, jesteś urządzona.

Zsunęła na bok firanę i przyglądała się ulicze, nasłuchując dźwięków z wnętrza domu i z zewnątrz. Gdzieś z oddali dochodziły stłumione odgłosy miasta. Ktoś przeszedł za jej drzwiami. Zaskrzypiała podłoga. Posykiwał klimatyzator nad drzwiami łazienki, lecz jej to nie przeszkadzało. Miała przyjemny chłód w pokoju. Zajrzała do łazienki i ucieszyła się na widok wanny. Biały bawełniany szlafrok wisiał na stojaku przy drzwiach. Z paskiem zawiązanym wokół pustej talii. Może w nim spać.

Na lotnisku nie miała zasięgu. Teraz też na jej starej komórce wyświetliło się: „brak zasięgu”. Przecież bateria jest do połowy naładowana. Krążyła po pokoju z telefonem w wyciągniętej dłoni, próbując złapać sygnał. Serce na sekundę zmyliło rytm, bo przyszła jej na myśl Rose. Czy słusznie postąpiła, nic jej nie mówiąc? Oczywiście, że tak. Za parę dni będzie z powrotem w domu. Jednak powinna się z nią skontaktować. Ha, i zepsuć jej nastrój przed końcowym przesłuchaniem? Nie. Nie ma mowy. Dobrze zrobiła. Zachowała się tak, jak powinna każda matka. Załatwić, co jest do załatwienia, i wrócić. Żyć normalnie. Nie robić zamieszania. Przecież nie chce wszystkiego zepsuć. Rose żyje własnymi sprawami i ćwiczy teraz jak szalona. W przyszłym tygodniu czeka ją ważne przesłuchanie. Będzie skupiona na sobie. Już taką ma naturę. Potrzebuje przestrzeni, a poza tym niedługo przyjedzie do domu na krótkie wakacje. Najlepiej nic jej nie mówić. Załatwić wszystko po cichu. Kupię kartę – zdecydowała – i wtedy zadzwonię do Tess i do kliniki.

Pukanie do drzwi. Otworzyła i zobaczyła Grace – tym razem w długiej, luźnej, kremowej sukni ściągniętej w talii skórzanym paskiem. Na nadgarstku połyskiwała szeroka kwadratowa złota bransoleta.

– Tost z kurczakiem na sałacie. Frytki. Herbata w imbryku. Pół butelki czerwonego wina. Co ty na to? Nieźle, nie? – Postawiła tacę na biurku.

– Super! – Ani śladu lemoniady.

– Zgodnie z zaleceniem lekarza – zażartowała, cofając się do drzwi. Poprawiła pasek i wyczekująco wpatrywała się w Iris, a ona nie była pewna, czy powinna w tej chwili, przy niej, skosztować tę słynną kanapkę.

– Wypijesz ze mną kieliszek? – zaproponowała w końcu.

Naprawdę nie wiedziała, czemu to zrobiła; była zmęczona i głodna, poza tym musiała skupić myśli na jutrzejszych poszukiwaniach Hilary. Lecz intuicja jej podpowiadała, że należało zaprosić Grace, a ona lubiła, kiedy wszystko jest jak należy. W końcu spotkał je podobny los, z tą różnicą że jej gospodyni była dziesięć lat starsza. Obie są wdowami. To je w jakiś sposób łączy.

– Och, tak, chętnie! – Grace rozbłysły oczy. – Zaczekaj! Zaraz wracam! – Zbiegła na parter i po chwili już była z powrotem z drugim kieliszkiem i z pełną butelką. – No! – Otworzyła ją i nalala wina do kieliszków. – To napoczęte zostaw sobie na później. – Przetawiła je na komódkę, po czym odsunęła krzesło od biurka i dość niezgrabnie na nim usiadła. – Grace Hale, gdzie twoje maniery? – zreflektowała się, zrywając się z miejsca. – Ty tutaj usiądź. Przecież będziesz jeść kolację przy biurku. A ja... – zawahała się – ...usiadę tutaj. – Wskazała skórzany

fotel i klapnęła na niego z impetem, przy okazji zrzucając na podłogę poduszkę z wyhaftowaną rakietą i piłką do tenisa.

Iris przestawiła krzesło przodem do swej towarzyszki. Zaczęła jeść kanapkę, myśląc przy tym, że rudowłosa Kerry z „Informacji” poleciła jej niewątpliwie niezwykłą kwatere.

– To był fotel Boba – wyszeptała Grace. Podniosła poduszkę z podłogi, przytuliła, po czym wetknęła ją sobie za plecy. – Pięć lat, a ja ciągle nie mogę się pogodzić, że go nie ma. – Podniosła oczy na swego gościa. – Wiesz, o czym mówię? – Iris nie zdążyła przytaknąć, że owszem, dobrze wie i doskonale ją rozumie, bo jej Luke też odszedł, a ona już mówiła dalej: – Bob zajmował się finansami. Ile ja się nasłuchałam o instrumentach pochodnych, funduszach hedgingowych, opcjach i transakcjach terminowych! – Zaśmiała się i wolną ręką klepnęła się po kolanie, jakby korzystanie z fotela zmarłego męża wymuszało przejście jego gestykulacji. Pomiędzy drobnymi łykami wina wspominała, jak Bob po powrocie do domu opowiadał jej wieczorami o tym, co działo się w firmie, a ona słuchała, jakby nie było ważniejszych spraw na świecie. W weekendy grali w parku w tenisa, a ponieważ sami nie mieli dzieci, odwiedzali siostrzenice i siostrzeńców. Krótko przed jego śmiercią popłynęli na Alaskę, no i widzieli tam niedźwiedzia i łososie.

– On był całym moim światem. – Westchnęła, oglądając się na otwarte drzwi, jakby lada moment miał w nich stanąć Bob. Kiedy Iris skończyła kanapkę i opróżniła kieliszek, Grace poderwała się z miejsca i dołała jej wina. – Sprzątnę to – powiedziała, wystawiając tacę na korytarz. – Herbata chyba wystygła. Zaparzyć ci świeżej?

– Nie. Nie potrzeba. Wystarczy mi wino.

Miała lekką głowę i wrażenie, że delikatnie unosi się w powietrzu.

– Chyba wypłam ciut za dużo – wyznała Grace, padając na fotel. – Od śmierci Boba kiepsko sypiam, chociaż w ogóle tego nie rozumiem, bo przecież on potwornie chrapał. Kapka czegoś mocniejszego dobrze mi robi na sen. – Usadowiła się wygodniej. – Czasami, kiedy musiał wcześniej wstać, spał w tym pokoju. Żeby mnie rano nie budzić.

Zadumała się po tym wspomnieniu, a Iris z ulgą przyjęła ciszę. Usiłowała wyliczyć, która godzina może być teraz w Irlandii. Zapewne minęła północ. Obejrzała się na foldery na biurku i pogładziła mapkę South Endu, którą dała jej Kerry. Zerknęła na swoją towarzyszkę, która chyba zaczynała drzemać. Na szczęście zjawił się Billy i widząc, co się dzieje, głośno zapukał do drzwi.

– Pani Hale, jest pani potrzebna na dole.

Posłał Iris porozumiewawczy uśmiech.

– Co? Co takiego?

– Trzeba na dół. Jest Hector.

– Ano tak. – Poderwała się z fotela. – Już idę. – Wyprostowała się, spojrziała do lustra i odwróciła się do Iris. – To był miły wieczór. – I przystając w drzwiach, dodała: – Cudownie, że cię poznałam.

*

O dziewiątej obudziło ją słońce za półprzejrystą firanką. Zamierzała wstać wcześniej, ale źle spała w nocy i zasnęła dopiero nad ranem. Pierwsze co zobaczyła, to mapka West Endu na biurku przy łóżku z zaznaczoną niebieskim tuszem St Botolph Street. Marzyła o filiżance herbaty. Rozejrzała się po pokoju. Inaczej niż w Irlandii – pomyślała. Nie ma czajnika. Może porozmawia z Billym. Wzięła szybki prysznic i ubrała się w jedyny „przyzwoity” ciuszek, jaki ze sobą zabrała – lnianą sukienkę bez rękawów w niebiesko-fioletowym kolorze, którą kupiła razem z Tess.

– Wybierzmy coś takiego, czym zaskoczysz Rose – poradziła jej wtedy przyjaciółka. –

Wiecznie widuje cię w wytartych džinsach i starej koszuli Luke'a.

Zdecydowały się na sukienkę z lnu, bo z butami na obcasie nadawała się na większe wyjścia, a z sandałkami można ją było nosić na co dzień. Dzisiaj wybrała czarne sandały. Dawno tej sukni nie miała na sobie i poczuła się jakoś nieswojo. Pakując się, złożyła ją starannie i owinęła w bibułkę, ale i tak się pogniotła. Kurczę! Stając przed lustrem, na ile mogła, wygładziła materiał i już była gotowa zejść na dół, gdy nagle poczuła się jak jakaś oszustka. (Jaki strój jest odpowiedni na spotkanie z kobietą, która urodziła twoje dziecko?). Przysiadła na brzegu łóżka i zmieniła sandały na szpilki. Chce wyglądać elegancko podczas rozmowy z Hilary Barrett. Sprostać oczekiwaniom, jakie zapewne miała wobec przyszłej matki swego dziecka, kiedy przed wielu laty oddawała je do adopcji. Bezskutecznie usiłowała zobaczyć siebie z tamtego dnia. Jak była wtedy ubrana?

Czy możliwe, że Hilary jeszcze ją pamięta?

W jadalni przy narożnym stoliku siedział samotnie opalony mężczyzna w koszuli w hawajskie wzory. Wyglądał na jakieś czterdzieści pięć lat. Iris skierowała się do jedyne go dwuosobowego stolika przy oknie. Mijając nieznanego, na wszelki wypadek przyjaźnie się uśmiechnęła, lecz on nawet na nią nie spojrzał. Siedział pochylony z głową nisko zwieszoną nad stołem. Talerz z resztką jedzenia stał odsunięty na bok. Coś pisał. Chyba nie słyszał, jak weszłam – pomyślała. W pewnej chwili usłyszała jakieś pomruki wyraźnie dochodzące od jego stolika. Mężczyzna nucił coś pod nosem, rytmicznie kiwając głową.

– Dzień dobry, pani Bowen! – Zaskoczona podniosła wzrok, bo nie zauważyła, kiedy Billy stanął przy stoliku. – Pani Hale ma nadzieję, że się pani wyspała.

– Proszę podziękować i przekazać, że owszem, tak – powiedziała cicho, nie odrywając oczu od mężczyzny w koszuli w niebiesko-zielono-białe wzory.

Cały czas trwało to dziwne mormorando.

– Kawa? A... może woli pani herbatę? – zapytał Billy, zupełnie nie zwracając uwagi na gościa przy stoliku w rogu. – Pani Hale mówi, że pani pewnie woli herbatę.

– Tak, jeśli można, poproszę herbatę – prawie wyszeptała.

– Już lecę. – Odwrócił się. – Dzień dobry, Hectorze – rzucił, mijając mężczyznę, a on odpowiedział mu nieznacznym skinieniem głowy.

Iris zza firanki włosów opadających na twarz obserwowała mężczyznę. Nie przestając nucić, kreślił teraz w powietrzu małe kółeczka dłońmi o smukłych palcach, których ruch przypominał drżenie skrzydeł motyla. Z jego ust wydobywało się ciche pam, pam, pam. W pewnej chwili podniósł głowę, spojrzał na Iris niewidzącym wzrokiem i wrócił do pisania.

– Jakie plany na dziś? – Billy przyniósł tosta i herbatę.

– Jeszcze nie zdecydowałam – odpowiedziała szybko.

– Mogę coś zasugerować?

– Tak?

– Proponuję Mapparium, o ile jeszcze pani tam nie była.

– Mapparium? – Udała zainteresowanie.

– No, jest niesamowite. Jest jak... właściwie trudno wytłumaczyć. To ogromny globus, z mapą świata namalowaną na szkle po wewnętrznej i zewnętrznej stronie, w którym chodzi się w środku. Człowiek się czuje, jakby znalazł się wewnątrz kuli ziemskiej i patrzył przez jej powłokę. Naprawdę czad. Akustyka jest niezwykła i...

– Hej Billy, może tak trochę ciszej, co? Muszę to skończyć – burknął właściciel „motylich dłoni”, nie odrywając wzroku od kartki.

– Rany, jasne, Hectorze. Sorry, stary. – Billy przestąpił z nogi na nogę, zasłaniając Iris widok na oryginała. Uniósł przy tym brwi i wzruszył ramionami. – Jest wysoki na trzy piętra –

podjął przerwany wątek, ścisząc nieco głos. – Składa się z sześciuset połączonych ze sobą szklanych paneli, z których każdy jest osobno oświetlony. W środku jest szklany podest i można po nim przejść z jednego końca kuli na drugi, no i...

– Pokazuje świat z tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego roku – wtrącił Hector. Podniósł się od stolika i zamaszystym krokiem ruszył do wyjścia. Po drodze spojrzął na Iris, a potem na Billy'ego. – I nie zapomnij dodać, że to szepcząca galeria – dorzucił i zniknął z głośnie trzaskiem zamykanych drzwi. Widzieli jeszcze przez szybę, jak idzie szybko ulicą, a jasne, rozwiane włosy niczym skrzydła wachlują jego uszy.

– Powiedzieliśmy coś nie tak? – spytała Iris, siląc się na lekki ton, bo odebrała tę sytuację jako raczej niezręczną.

– Niech się pani nie przejmuj. Czasami taki bywa, ten nasz profesor Sherr. To dobry znajomy pani Hale. Kalifornijczyk. Zatrzymuje się u nas kilka razy do roku. Potrafi być naprawdę ujmujący, kiedy nie komponuje.

– Muzyk?

– No. Dziś wieczorem gra w parku. – Wskazał przez salę na okno. – Jazz.

Iris poczuła, że nie wiadomo dlaczego się czerwieni. Billy rozpaplał się na dobre. Opowiadał, że latem, kiedy jest więcej gości, pomaga Grace. Jest na drugim roku w Boston University i chce wybrać specjalizację z informatyki.

– Mam kota na punkcie komputerów – wyznał.

– Musisz być mniej więcej w wieku mojej córki.

– We wrześniu skończę dwadzieścia lat.

– A moja córka dziewiętnaście pod koniec tego miesiąca.

*

Nie czekała, aż Billy przyniesie folder z Mapparium, który obiecał poszukać. Wróciła do pokoju, po raz drugi zmieniła buty i przycesała włosy. Przyglądała się sobie przez chwilę. Czy ona mnie skojarzy? Kilka minut później z mapą w ręku opuściła pensjonat i ruszyła w kierunku St Botolph Street. Na dworze już było gorąco. Przeszła wzdłuż parku z ogrodzeniem z żelaznych prętów. Dochodziły stamtąd dziecięce głosy. Po drugiej strony ulicy stały w szeregowej zabudowie kamienice z czerwonej cegły, takie same jak dom pani Hale, z dwuskrzydłowymi drzwiami i wykuszowymi oknami.

Czy Rose mieszkałaby w takim domu?

Bawiłaby się w tym parku?

Czy miałyby tu radosne dzieciństwo?

Powrócił niepokój, który na jakiś czas rozproszyło spotkanie oryginała w hawajskiej koszuli. Zaczęła szybciej oddychać, dokuczał ucisk w piersi. Co ona powie Hilary Barrett, kiedy ją odnajdzie? Z natury spontaniczna, zazwyczaj kierowała się intuicją, lecz czy tym razem w ogóle to przemyślała? Nie. Naturalnie, że nie. Oczywiście, Iris, w ogóle się nad tym nie zastanowiła. Przez moment żałowała, że nie może się teleportować do domu i budząc się we własnym łóżku, stwierdzić z ulgą, że to był tylko zły sen. Ech, nie. Za daleko zaszła, żeby się teraz wycofać. Przy końcu parku sparaliżował ją strach.

Dotrzymuję słowa, Luke.

Na skrzyżowaniu West Newton z St Botolph Street stał trzykondygnacyjny narożny budynek różniący się wyglądem od okolicznych domów. Zdecydowanie bardziej okazały, miał nawet ozdobną wieżyczkę na szczycie dachu. Iris przecięła jezdnię i stanęła przed drzwiami, do których prowadziło kilka ceglanych stopni.

St Botolph Street 99.

Numer i nazwa ulicy były wytrawione na szklanej płytce nad czarnym nadprożem. Jeżeli rzeczywiście to właściwy adres, nic nie wskazuje, że mogłaby tu mieszkać rodzona matka Rose. Być może kiedyś budynek był podzielony na mieszkania, lecz teraz nie sprawiał wrażenia czyjegoś „domu” – spekulowała Iris, stojąc nieruchomo na chodniku przed wejściem.

Wreszcie wspięła się po stopniach i zapukała do drzwi.

Cisza.

Zapukała jeszcze raz.

Nadal nic.

Odwróciła się i zrezygnowana oparła się plecami o drzwi. Miała wrażenie, że jej twarz i piersi płoną. Odciągnęła materiał przy dekolcie, czując, że kropelki potu zbierają się w fałdach skóry. Czy to możliwe, aby mieszkała tu Hilary Barrett?

Przecież to restauracja.

Odczekała chwilę, zeszła ze schodków i przeszła na drugą stronę ulicy. Ruszyła przed siebie oszołomiona, ze ściśniętym sercem, z trudem zbierając myśli. Nagły impuls kazał jej zawrócić. Dokładnie naprzeciw numeru 99 zobaczyła sklepik o nazwie Megaira's Market ze stoiskiem warzywno-owocowym na zewnątrz. Weszła do środka i pozornie zainteresowana wzięła „Boston Globe” ze stojaka przy drzwiach. Przez szpary pomiędzy półkami z puszkami pomidorów i fasoli, słoikami z gołąbkami i pudełkami ryżu przyglądała się restauracji.

– Kupuje pani? – warknęła zza lady siwa kobieta o małych ciemnych oczkach osadzonych w beznamiętnej twarzy.

– Słucham?

– „Globe” kosztuje dwa dolary. Bierze pani?

Iris podeszła do kontuaru i przez chwilę chłodziła się w strumieniu powietrza z wentylatora.

– Zamknięta – mruknęła sprzedawczyni, wyciągając szufladę kasy.

Iris spojrzała na nią pytająco.

– Botolph's. Otwierają dopiero w południe.

– Och. – Uśmiechnęła się blado.

– A pani nietutejsza?

– Przyjechałam z Irlandii. Jestem Irlandką.

– Irlandia? Nigdy tam nie byłam. Zawsze chciałam odwiedzić miejsca, gdzie się mówi w obcym języku.

Iris nie bardzo wiedziała, co na to powiedzieć. Sama mam wrażenie, że dzisiaj cały świat mówi w obcym języku, bo nic do mnie nie dociera – pomyślała.

Stara kobieta przyglądała jej się z zainteresowaniem ze swego miejsca za ladą.

– Rozgląda się pani za miejscem, gdzie można coś zjeść? – spytała współczująco, kiedy ich oczy się spotkały.

– Nie. – Iris odłożyła gazetę na ladę i otworzyła torebkę.

– Szuka pani pracy? Była pani na rozmowie kwalifikacyjnej? Jest pani z kimś umówiona?

– Nie.

– Ach, nie moja sprawa! – Sprzedawczyni zachnęła się nadąsanym tonem.

Iris już miała zapłacić, gdy jej wzrok zatrzymał się na widokówkach ze zdjęciami miejskiego parku.

– Poproszę te dwie pocztówki.

– Titus Sparrow Park.

– Ile kosztują?

– Sześć dolarów za pięć sztuk.

– Dziwna nazwa.
– Megaira’s Market? To z greckiego. – Przeczłapała kilka kroków za ladą i wydała z siebie dźwięk przypominający prychnięcie.
– Nie, przepraszam. Chodzi mi... o Titus Sparrow.
Jej uwagę przyciągnął jakiś ruch za plecami.
– Proszę się nie przejmować humorami pani Kostas – usłyszała. – Bywa zrzędliva pod koniec tygodnia. – W drzwiach, jedną nogą w sklepie, a drugą na zewnątrz, stał starszy mężczyzna w czerwonej bejsbolówce. – Dobrze mówię, Megairo?
– Ach, dobrze mówi! – Wzięła od Iris dziesięciodolarowy banknot i położyła widokówki na gazecie.
– Racja, szanowna pani. – Mężczyzna się uśmiechnął. – To niezwykła, ale też bardzo sympatyczna nazwa. – Zerknął na Megairę. – A i miejsce ma długą historię. Bo wie pani, ten Titus to nie żaden ptak. To był wspaniały człowiek. Dawniej, zanim jeszcze nazwano park jego imieniem, aby upamiętnić go za to, że uczył biedne dzieci grać w tenisa, Armia Zbawienia prowadziła tam dom dla samotnych matek i...
– Amos, stary nudziarzu, kupujesz coś? – przerwała mu Megaira.
– Dzisiaj tylko „Globe”. Poczytam o tym, jak moi Soxowie dołożyli Baltimore.
– W takim razie dwa dolary. I idź już sobie.
Na widok tego kibica Red Soxów twarz Megairy mimo woli złagodniała, a kąciki ust lekko się uniosły.
Iris przypomniał się dom. Była na poczcie świadkiem, jak Josephine zmywa głowę Tommy’emu Ryanowi, bo przyszedł po listy pięć minut później niż zwykle. A on powiedział ze śmiechem coś, co jeszcze bardziej ją rozsierdziło. Świat jest mały – pomyślała teraz. I może wcale nie taki obcy.
Amos uśmiechnął się i wykręcił zgrabnego pirueta.
– Jak już mówiłem... – nasunął czapkę na czoło i spod daszka spojrzął z ukosa na Megairę – ...mamy w dzielnicy park i oczywiście kort tenisowy, a także...
– Amos, już cię pytałam, kupujesz coś jeszcze?
– No... Wiesz co, chyba już nic. – Puścił oko do Iris i niespiesznie ruszył do wyjścia. – A jakby to panią interesowało – odwrócił się do niej – latem w piątki mamy w parku koncerty, dziś będzie jazz.
– Amos! Zmykaj!
Przekrzywił głowę i wyszedł. Iris usłyszała, jak idąc, podśpiewuje:
– *Tylko niebieskie ptaki, du... di... da...*
– Czasem mógłby kupić coś jeszcze oprócz „Globe” – mruknęła Megaira.
Iris dostrzegła przesuwający się cień w ciemnych oknach kamienicy po drugiej stronie jezdni. Wybiegła ze sklepu.
– Hej, proszę pani?! A „Globe”?
Usłyszała wołanie, lecz nie zawróciła. Przeszła przez ulicę, wspięła się po schodkach i tym razem dosłownie załomotała kołatką w drzwi. Otworzyły się gwałtownie i stanął w nich prawie łysy mężczyzna około sześćdziesiątki. Miał na sobie białą koszulę, czarne spodnie z czarnym skórzanym paskiem i czarne buty.
– Zamknięte, proszę pani – oznajmił krótko, bardzo rozdrażniony. Lecz w niej teraz buzowały emocje. Coś w zachowaniu tamtego fana baseballu dodało jej animuszu. Minęła rozmówcę, nie oglądając się za siebie, dopóki nie znalazła się w środku.
– O której otwieracie?
– Nie widziała pani tabliczki? W soboty na lunch, a w niedziele w porze brunchu. Dzisiaj

mamy? Piątek, tak? Proszę wrócić wieczorem. Zaczynamy o szóstej. – Oczami wskazał drzwi.

Nie zauważyła tego. Wyciągając rękę, przytrzymała się oparcia najbliższego krzesła. Bała się, że za chwilę zemdleje. Opuściła ją przebojowość. Starła się utrzymać równowagę. Jak przez mgłę widziała stoły nakryte białymi obrusami z wazonikami z pojedynczym kwiatem – margaretką, a może stokrotką. Dziwne, nie umiała skojarzyć ich nazwy, a przecież dobrze je znała. Nogi miała miękkie, a stoły zdawały się falować.

– Chyba... muszę usiąść.

Mężczyzna podszedł do niej.

– Ej, ej, ostrożnie. Proszę, tutaj.

Odsunął krzesło od stolika. Jak tylko usiadła, zniknął za wahadłowymi drzwiami. Kręciło jej się w głowie, puls dudnił w szyi. Panika mieszała się ze wstydem. A jeżeli Hilary Barrett tu jest, czy osunie się u jej stóp?

Mężczyzna wrócił ze szklanką wody.

– Proszę, niech się pani napije. Tylko powoli.

Wysączyła parę łyków.

– Przepraszam. Zaraz dojdę do siebie. – Przycisnęła dłonie do stołu, żeby opanować ich drżenie. Spojrzał na nią czujnie. – Nie, nie, już wszystko dobrze.

– Spokojnie. Proszę chwilę odczekać.

Odszedł w głąb sali, poprawił kilka obrusów, zerknął na nią. Plecy miał zaokrąglone, jakby często pracował pochylony. Zupełnie jak ogrodnik – przeszło jej przez myśl. Krzątał się po sali z rękawami białej koszuli podwiniętymi ponad nadgarstki. Wyjął z wiklinowego kosza serwetkę i złożył ją w wachlarz.

Iris westchnęła przeciągle, wyobrażając sobie, że biel obrusów wypełnia jej płuca, i wypuściła powietrze z płuc, widząc je jako szarą chmurę, która wnika w ciemne ściany restauracji.

– Kobieta z tego sklepu naprzeciwko powiedziała, że otwieracie w porze lunchu – powiedziała już spokojniejsza.

– Megaira? Co ona tam wie. Owszem, jak powiedziałem i jak jest napisane na drzwiach, otwieramy w porze lunchu w soboty, ale nie w tygodniu. Jeżeli szuka pani jakiegoś przyzwoitego miejsca, gdzie można...

– Nie, właściwie nie.

Kelner podszedł do wysokiej szafki i wyjął z szuflady kilka płóciennych serwetek.

– Ja szukam kogoś.

Nie zareagował. Nie podnosząc głowy, położył na jej stoliku serwetki poskładane w wachlarz. Nie była pewna, czy ją usłyszał.

– Nie będę jeść. Nie jestem głodna.

Przestał składać serwetki i podszedł bliżej.

– Szukam takiej jednej osoby.

– Czy wszyscy takiego kogoś nie szukamy?

Traciła cierpliwość, była o krok od wybuchu.

– Szukam Hilary Barrett – powiedziała dobitnie i poczuła się tak, jakby wyjawiała głęboko skrywaną tajemnicę. Teraz musi się coś wydarzyć: albo świat przestanie wirować, otworzą się jedne z jego drzwi, zakończą się jej poszukiwania, dotrzyma obietnicy danej Luke'owi i będzie tak, jak on chciał, albo...

– Hilary Barrett – powtórzyła.

Mężczyzna zastanawiał się przez chwilę (a może jej się wydawało). Spojrzał na nią, mrużąc oczy, a potem zapatrzył się w jakiś punkt ponad jej prawym ramieniem, jakby szukał

czegoś w pamięci lub czekał na wejście Hilary. Iris przestała oddychać.

– Znałem jedną Hil...

Wypuściła głośno wstrzymywane powietrze.

Kelner stanął nad nią i oparł ręką o stolik. Kiedy się nachylił, zobaczyła, że w lewym uchu ma aparat słuchowy.

– Na pewno dobrze się pani czuje?

– Tak, tak, nic mi nie jest. – Odruchowo przycisnęła dłoń do piersi. – Powiedział pan, że zna Hil...

Wyprostował się i cofnął o krok.

– A... czego pani od niej chce?

– To... osobista sprawa.

Poderwała się z krzesła. Teraz, gdy stała twarzą w twarz z człowiekiem, który być może okaże się łącznikiem pomiędzy nią a rodzoną matką jej córki, zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć. Miała pustkę w głowie.

– Jestem Iris. Iris Bowen. – Wyciągnęła rękę. – Z Irlandii.

Trochę potrwało, zanim się uśmiechnął. Zmarszczki ściągnęły jego opaloną twarz.

– Thornton Pletz. Polak. Rodzicom już na statku skrócono nazwisko Pleziński do Pletz – Ujął jej dłoń. – Jest pani kawał drogi od domu.

Odruchowo spojrziała za okno. Akurat z dachu sfrunął ptak.

– To prawda. – Zawahała się. – A ta Hil... – Z trudem przebrnęła przez imię. – Hilary... jak pan myśli, gdzie mogę ją znaleźć?

– Hm. Widzi pani... – Zadumał się. – Nie wiem.

– Czy... czy ona jest właścicielką?

– Właścicielką? Restauracji? Nie, proszę pani. Jestem tu od początku. Zaraz, niech pomyślę... – Ściągnął brwi. – Otwarcie było jakieś piętnaście lat temu.

– Ale ona tu kiedyś mieszkała... na Botolph Street 99! – Wyjęła z torebki kopertę.

Podsunęła mu. – Widzi pan, to jej pismo. O, a tu adres zwrotny.

Thornton dotknął koperty opuszkami palców, jakby to była posklejana cienka porcelana.

– Tu jest napisane „Barrett”...

– Barrett, tak. Hilary Barrett.

– Och, Barrett, a nie Barnett. Zrozumiałem, że pani powiedziała Barnett. – Pokazał palcem na uszy. – Przepraszam, trochę kiepsko słyszę. Znałem kiedyś Hildę Barnett. Wydało mi się dziwne, że pani mnie o nią pyta. O Hill. Teraz mieszka w Pittsburghu.

Iris patrzyła na niego beznamiętnie.

Pletz z Polski zerknął na zegarek, poprawił aparat w uchu, bo akurat coś w nim zaświszczało, i zastygł z wyczekującą miną, jakby zakładał, że ona coś jeszcze powie.

– Te kwiaty to... margaretki – odezwała się w końcu.

– Słucham?

– Przypomniałam sobie. Nazwę tych kwiatów.

– Taaak – mruknął i też na nie spojrział. – Margaretki. Możliwe.

Dosunęła krzesło do stolika i kiedy Thornton odwrócił się do wyjścia, podążyła za nim. Otworzył jej drzwi. Znowu nogi się pod nią ugięły. Odniosła wrażenie, jakby ich nie miała, a jednocześnie się trzęsły.

Zawahała się na szczycie schodków. Żar lał się z bezchmurnego nieba. Czowała na sobie wzrok Thorntona.

– Wie pani. – Dotknął jej ramienia, cały czas przytrzymując drzwi. – Niedaleko stąd, na Huntington – wskazał poza budynek – jest takie miłe miejsce, gdzie można odpocząć.

Miała wrażenie, że on coś jeszcze chce jej powiedzieć, lecz z jakiegoś powodu się powstrzymuje. Na wszelki wypadek spojrzała mu w oczy. Były szare. Jednak nie, nie zamierzał nic więcej dodać. Nie oglądając się, zeszła ze schodków na chodnik. Za jej plecami trzasnęły zamykane drzwi.

Na skrzyżowaniu z Huntington przystanęła obok niej kobieta mniej więcej w jej wieku z trzema małymi dziewczynkami w sukieneczkach. Czekają na zmianę świateł. Każda dziewczynka miała balon przywiązany sznurkiem do nadgarstka. Kiedy zapaliło się zielone światło, Iris odprowadziła spojrzeniem baloniki podskakujące w rytm ich kroków, gdy przechodziły przez ruchliwą jezdnię. Ona nie ruszyła się z miejsca. Poczekwała na następne zielone światło i dopiero wtedy przeszła na drugą stronę.

Skręciła w lewo, kierując się w stronę monumentalnej budowli podobnej do kościoła, zwieńczonej kopułą, górującej nad drugim końcem skweru. Jego jeden bok ograniczał rząd budynków w piaskowym kolorze, a drugi wytyczała długa aleja obsadzona lipami. Po placu kręcili się turyści i ludzie, którzy przyszli tu po zakupy. Kilku przechodniów przyglądało się grupce dzieciaków hasających pod strumieniami wody tryskającymi z okrągłej, płaskiej betonowej fontanny. Za fontanną prawie na całą długość skweru ciągnął się płytki basen.

Nie miała siły iść dalej. Przysiadła na twardym, zaokrąglonym ocembrowaniu basenu. Minęła ją starsza kobieta w niebieskim kostiumie i w białych butach, niosąc coś, co według Iris wyglądało na Biblię.

Nadal ścisnęła kopertę. Złożyła ją teraz pieczołowicie i schowała do torebki. (Widziała ten charakter pisma już wcześniej. Kilka miesięcy po oficjalnej zgodzie na adopcję ośrodek adopcyjny przesłał im list od biologicznej matki Rose. Znała go na pamięć: *Nigdy nie zapominaj, że jesteś podwójnie kochana. Przeze mnie i swoich rodziców*). A teraz to. Kolejna ślepa uliczka. A jednak desperacko czepiała się nadziei, że znajdzie Hilary, a ona... być może... hm, jeżeli nie ucieszy się na jej widok, to przynajmniej okaże... życzliwość.

Zanurzyła dłoń w wodzie. *Zabrania się brodzenia w basenie*, przeczytała na tabliczce. I właśnie ten napis sprawił, że zapragnęła unieść suknię do kolan i przejść aż na drugi koniec sadzawki. Na chropawym dnie migotały miedziaki. Zdjęła sandały i weszła do basenu. Przez chwilę stała w płytkiej, chłodnej wodzie z suknią podciągniętą ponad kolana i przesuwiała stopą monety. Jak bardzo chciałaby być teraz daleko stąd, na plaży w Doughmore, z Rose i z Lukiem. One obie stałyby po kostki w lodowatej wodzie i chichotały, patrząc, jak Luke nurkuje w fale i wynurza się, pokrzykując z zimna. Czemu świat jest taki okrutny? Czemu nie może pozbyć się wrażenia, że zawiodła ich oboje? Dlaczego musi żyć w strachu przed wizytą w klinice? Czemu musi żyć ze znakiem zapytania odciśniętym na piersi? Dlaczego wszystko sprzysięgło się przeciw niej? Przesuwając monety palcami stopy, ułożyła je w jednej linii, przekonując się w duchu, że od tej chwili wszystko zacznie się układać.

Kątem oka zauważyła, że mężczyzna w mundurze, wymachując rękami, daje jej znaki z drugiego końca skweru. Zlekceważyła jego gniewne gesty. Wyszła z wody dopiero wtedy, kiedy stawiając długie kroki, ruszył w jej kierunku.

– Matko jedyna, Francis, mam nadzieję, że chociaż tam będzie chłodno. Co za skwar! – usłyszała znajomy akcent.

Mijała ją czwórka turystów: matka, ojciec i dwóch chłopców w zielono-białych piłkarskich koszulkach. Wszystkie cztery twarze były czerwone i lśniące od potu. Iris otrząsnęła stopy z wody, wsunęła je w sandały i poczłapała za nimi. Swędziała ją wysychająca na tydkach skóra. Rodzina zmierzała w stronę frontonu budowli z kopułą – później miała się dowiedzieć, że była to światowa siedziba Mother Church of Christian Scientists. W ogromnym kompleksie mieściły się także sale konferencyjne, czytelnia i biblioteka. I zgodnie z tym, co głosił napis, to

tam znajdowało się owo Mapparium. Iris przez cały czas trzymała się blisko tamtej rodziny, jakby była jednym z jej członków.

Potrzebowała chwili bezruchu w tym świecie, który zdawał się wirować poza jej kontrolą. Gdy weszła do wielkiego, majestatycznego budynku, gdzie spokojnie zmieściłaby się jej wioska z zachodnich rubieży Irlandii, przywitała ją cisza. Głucha i głęboka.

Wejście do Mapparium prezentowało się bardzo skromnie, natomiast wewnątrz ogromnej szklanej kuli mocno nasyconej kolorami nie mogła się oprzeć wrażeniu, że nagle zawisła gdzieś ponad tęczę. Świat wchłonął ją całą.

Billy wcale nie przesadzał. Wrażenie rzeczywiście było niesamowite. To jedyne odpowiednie słowo: niesamowite. Kładka ze szkła na wysokości równika zdawała się unosić w powietrzu. Francja była zielona, Hiszpania pomarańczowa, Alaska żółta. Wielka połać Afryki na północnej półkuli zwiężała się w stożek zakończony Przylądkiem Dobrej Nadziei na półkuli południowej. A wszystko na bardzo niebieskim tle symbolizującym wodę.

– Hej Colin, popatrz! – wyszeptał młodszy z chłopców, zadzierając głowę. – Biegun półno... – urwał, zaskoczony mocą swego głosu, gdy odbił się echem po całej kuli, docierając aż do rodziców, którzy stojąc na drugim końcu mostka, podziwiali błękitny Atlantyk.

– No! Fajne, co! Słyszysz mnie? – zadudnił głos drugiego chłopca.

– Ciii... Robercie – uciszył go ojciec.

Jego szept prześliznął się po szklanych ścianach i powrócił wzmocniony i czysty. Śmiech matki zadźwięczał jak toczące się szklane kulki.

Iris, wpatrzona w Irlandię, krwistoczerwoną plamkę na bezmiarze morza, śmiech tych ludzi spłynął na serce jak balsam. Hector nazwał to miejsce szepczącą galerią. Może powinna o tym wspomnieć tej rodzinie. Uśmiechnęła się do dzieci i ich rodziców z policzkami ciągle jeszcze wilgotnymi od łez. Gdy sięgała po chusteczkę, rzecz ostatnio bardzo przydatną, wszystko, co miała w torbie: karta pokładowa, pomadka, paszport, stary paragon, notatka z bloczka Kerry z nadrukiem *Witamy w Bostonie*, koperta Hilary i mapka wysypały się na pomost. Natychmiast przykucnęła, żeby pozbierać te drobiazgi, które ułożyły się w swoistą mapę na szklanej podłodze.

– Poczekaj, kochana, pomogę – zaferowała się zaróżowiona matka w środku szklanej kuli. Przycupnęła obok, pogładziła Iris po ramieniu i zajęła się zgarnianiem rozsypanych rzeczy.

– Dziękuję.

Ta dziwna synchroniczność dwóch Irlandek w sercu tego, jakby stworzonego z kryształu świata przyniosła Iris chwilową ulgę. Zaróżowiona matka uśmiechnęła się do niej. Podnosząc kartkę z *Witamy w Bostonie*, niechcący strąciła z krawędzi kładki kopertę z adresem Hilary. Iris cicho krzyknęła. Przy akompaniamencie echa rozpaczliwego westchnienia koperta poszybowała w dół niczym bladożółty motyl, mijając po drodze San Francisco, Meksyk oraz region Bernarda O’Higginsa w środkowym Chile i w końcu opadła na dno szklanego oceanu gdzieś na końcu świata.

Rozdział siódmy

Hector Sherr po raz pierwszy miał okazję widzieć Iris Bowen, gdy zeszła na śniadanie w tamten poranek w drugiej połowie czerwca na początku fali upałów. Nietypowych jak na tak wczesne lato. Pochłonięty komponowaniem, nie od razu zwrócił na nią uwagę, lecz później pozostał mu w pamięci zapach jabłek unoszący się powietrzu. Choć był skupiony na pracy nad nowym utworem, coś w wyglądzie tej kobiety go poruszyło. Wydawała się jakaś spięta. Jej szaroniebieskie oczy nerwowo omiatały salę. Przypomina czujnego ptaka – pomyślał, obserwując ją kątem oka. Nie miała pojęcia, że się jej przygląda. I chociaż uważał się za kogoś, kto bez oporów potrafi podejść do zupełnie obcej osoby i zapytać: „Hej, czy mogę ci w czymś pomóc?”, tego akurat dnia nie był do końca sobą.

Billy wypełnił ciszę entuzjastyczną paplaniną o Mapparium, godną absolwenta wydziału turystyki. Pani Bowen, jak ją nazywał, słuchała go cierpliwie. Hector pochylony nad kartką starał się skupić na pracy, lecz po dwóch minutach wstał od stołu i opuścił pensjonat. Prawdę mówiąc, to jego wyjście nie było zbyt grzeczne i natychmiast tego pożałował. Przecież nie należał do takich facetów.

Zawsze robił wszystko na ostatnią chwilę. Tamtego wieczoru miał zagrać jeden z własnych utworów na koncercie w Titus Sparrow Park, a tymczasem finalny riff nadal czekał na dokończenie, a w dodatku on sam już był spóźniony na zajęcia ze studentami w Berklee College of Music. (Od dziesięciu lat prowadził tam letnie kursy i zawsze zatrzymywał się u swej przyjaciółki Grace, gdy przyjeżdżał tu ze swego domu w Kalifornii).

Grace i Hector poznali się przed dwudziestu pięciu laty. Przyjechał studiować muzykę w Berklee i wynajął u niej pokój. Grace odziedziczyła ten dom na West Newton po dziadkach. Poznał ją, gdy zobaczył na drzwiach ogłoszenie: „Pokój do wynajęcia”, i od tamtej pory, kiedy opuszczał rodzinne pielesze, jej kamienica z czerwonej cegły stawała się jego domem. Bardzo współczuł Grace po śmierci Boba. Właściwie to on ją przekonał, żeby pomyślała o oficjalnym wynajmowaniu pokoi dla sporadycznych gości uiszczających opłatę. Cieszył się, że posłuchała jego sugestii, a teraz nawet zastanawiała się nad urządzeniem pensjonatu. („Boże, Grace, świetny pomysł!” – pochwalił ją, kiedy zaczęła robić plany, nie pamiętając, że to Hector zaszczerpił jej tę myśl).

Czekał niedokończony utwór, czekali studenci. Hector przeszedł przez Huntington. Coś się dzieje – pomyślał. Coś ze mną. Niespodziewanie nowy rytm pojawił się w jego głowie i kobieta w niebieskiej sukni przesłoniła mu niebo. Ostatnia rzecz, jakiej dziś potrzebował. Musiał dokończyć tamten kawałek. Musiał dotrzeć do czekających studentów. Stał na skrzyżowaniu z Massachusetts Avenue i wysilił umysł, chcąc przywołać melodię *Sparrow in Summer*. Tymczasem ona ją zmaćla. Stała się jakimś nachalnym motywem. Niebieską nutą. Niebieskim kwiatem. Niespodziewanie w środku jego kompozycji pani Bowen pojawiła się jako improwizacja.

Co ta kobieta miała w sobie takiego? Jej włosy były jak... jak co?

Jak cynamon.

Wbiegł po schodach do klasy dziesięć minut spóźniony. Wszyscy studenci cierpliwie czekali. Przywykli, że bywa rozkojarzony, że czasem myli klasy i że zapomina ich imiona, nazywając ich „Klarnetem jeden” czy „Saksofonem dwa”. To wszystko nie zmniejszało ich szacunku dla niego. Był przecież Hectorem Sherrem.

– No dobra – zaczął, przeciągając dłońmi po udach. – Jak wiecie, grałem już w parku wcześniej, w dziewięćdziesiątym dziewiątym i w dwa tysiące czwartym. Za każdym razem w tercecie: saksofon, gitara basowa i ja na pianinie. Oba wieczory bardzo udane. Teraz dla odmiany postanowiłem poprosić dwóch studentów, żeby wystąpili ze mną na estradzie. – Zauważył nerwowe poruszenie swych podopiecznych.

– Słuchajcie, to improwizacja. Nie ma się czym przejmować. – Wyluzowany, wszedł w swoją rolę profesora oryginała. – Bo widzicie, według mnie ludzi można podzielić na trzy typy. Na tych, co tłamszą swą kreatywność, bo boją się siebie wyrazić. Takich, którzy spontanicznie się uzewnętrzniają, nie zastanawiając się nad formą czy treścią, oraz takich, którzy poddając się twórczej inwencji, wsłuchując się w nią, swobodnie wyrażają emocje. I to jest właśnie jazz, moi kochani. Tego szukam. Rozumiecie?

Podzielił ich na trzy grupy, wytłumaczył, o co mu chodzi, podał tonację oraz akordy, po czym wysłał ich do sal ćwiczeniowych, żeby tam popracowali nad improwizacjami. Teraz, gdy został sam w studiu, usiadł do pianina i skupił się nad zakończeniem *Sparrow in Summer* (jak się okazało, swobodne wyrażanie emocji wcale nie jest takie proste). Pracował do pierwszej, od czasu do czasu robiąc przerwy, żeby zajrzeć do studentów, i wracał do pianina zelektryzowany koniecznością mobilizacji. Wreszcie, tuż przed lunchem, dopeścił kompozycję.

– Mam! Jest! – mruknął pod nosem. – Tak, tak, tak. – Zagrał całość jeszcze raz, żeby zatrzymać niuanse w pamięci. – Dzięki ci, pani Bowen!

Po szybkim lunchu złożonym z jabłka oraz jogurtu, podebranych przed wyjściem z lodówki Grace, wrócił przesłuchiwać studentów. Ich uwadze nie uszedł jego animusz. Domyślali się, że udało mu się skończyć jakiś kawałek. Do wieczornego koncertu wyznaczył Caseya i Bellettiego, chwalać ich za wyjątkową grę, a pozostałym wyznał z żalem, że najchętniej wszystkich wzięłby na estradę, bo jest z nich bardzo dumny.

Wyszedł na słoneczny dzień w radosnym nastroju, bo ukończył swe dzieło, które w tej chwili wydawało mu się naprawdę wyjątkowe. W głowie mu szumiało, serce zdawało się wyrwać z piersi. Patrząc na niego, można by odnieść wrażenie, że ten człowiek niemal świecił.

Na Massachusetts Avenue, zanim się zorientował lub raczej zanim przyznał się do tego przed samym sobą – zboczył w kierunku okazałych drzwi Mary Baker Eddy Library i Mapparium, żeby sprawdzić, czy przypadkiem pani Bowen nie posłuchała sugestii Billy'ego. Mało prawdopodobne, ale przecież taki bywa świat. Tak czy owak, zajrzy tam. Mapparium od zawsze należało do ulubionych miejsc spotkań studentów Berklee.

Niewątpliwie ta kobieta pomogła mu napisać ostatni kawałek. Chciał ją odnaleźć. Może nawet jej podziękuje, a także przeprosi za opryskliwe zachowanie rano.

Tak to sobie tłumaczył. Taki właśnie wymyślił pretekst. Bo przecież wcale nie chodziło o to, że ona była piękna i zwyczajnie chciał ją znowu zobaczyć. Ujrzeć te rude włosy, te cynamonowe loki.

Odnalazł wejście do Mapparium i wszedł do środka przez Ocean Indyjski. Dwaj chłopcy w zielono-białych piłkarskich koszulkach z numerami 6 i 8 rozmawiali szeptem.

– Hej Colin, popatrz, biegun półno... – zaczął młodszy i urwał zaskoczony, bo jego głos, mocny i dźwięczny, przetoczył się echem po kuli.

– No! Fajne! Słyszysz mnie? – wyszeptał starszy.

Ich śmiech był jak dźwięk wodospadu, jak muskanie przez Arta Tatumę palcami klawiszy, gdy grał *Tea for Two*.

– Ciii... Robercie – uciszył go ojciec, zniżając głos. Po chwili on też już się śmiał, podobnie jak jego zaróżowiona od upału żona.

Na końcu szklanej kładki, jakieś dziesięć metrów od niego, stała Iris, niebieska na

niebieskim tle. Odwrócona plecami, szukała czegoś w torebce. Nie widziała go. W pewnej chwili zawartość torebki wysypała się na pomost. Różowa mama przykucnęła obok Iris i do Hectora z drugiego końca świata dobiegła ich rozmowa – cichy szmer spotęgowany pogłosem w szepczącej galerii.

– Poczekaj, kochana, pomogę.

Różowa mama dotknęła ramienia Iris. A potem, podnosząc się z kucek, lewą stopą niechcący nastąpiła na ostatni drobiazg, zdaje się jakiś świstek, który zsunął się na skraj pomostu i sfrunął w dół. Iris jęknęła, bezskutecznie próbując go pochwycić. I ona, i Hector patrzyli, jak kartka, opadając powoli niczym liść niesiony wiatrem, mija Amerykę Środkową, Kostarykę, Peru, Chile, dryfuje wzdłuż wybrzeża Pacyfiku i w końcu ląduje dziesięć metrów niżej, nieco na zachód od bieguna południowego.

Hector podniósł wzrok i zobaczył, jak Iris szybkim krokiem opuszcza Mapparium.

*

Stał na dworze w oślepiającym słońcu, szukając jej wzrokiem w falującym tłumie. Gumowe podeszwy butów kleiły się do rozgrzanego chodnika. Po niebieskim chłodzie Mapparium upał dokuczał jeszcze bardziej. Ruszył przez plac prosto do fontanny. Strumienie wody większymi i mniejszymi łukami tryskały z otworów w płaskiej betonowej podstawie. Z typowym dla siebie luzem bez skrępowania przeszedł fontannę wzdłuż, wywołując tym ogólną wesołość i radosne okrzyki dzieciaków.

Coś się działo, zdecydowanie coś się działo, lecz jeszcze nie potrafił tego nazwać. Strząsając krople wody z włosów, nagle sobie przypomniał.

– Jezu, Hectorze! – jęknął i z tylnej kieszeni spodni wyjął kopertę, którą ona upuściła. (Poprosił człowieka z obsługi, żeby wydobył ją z dna szklanego świata). Nie zamokła w fontannie, ale na wszelki wypadek powachlował nią przez moment w powietrzu. Co prawda to była tylko poźółkła, pusta koperta z odręcznym adresem, lecz chciał oddać ją Iris w nienaruszonym stanie. Idąc Huntington do domu Grace, pochylił się i nie zwalniając kroku, zerwał stokrotkę, która wystawała zza ogrodzenia parku. Napędzało go jakieś niewyraźne wrażenie, że niezależnie od swej woli i planów musi się poddać biegowi wypadków. Nie czuł się tak od... od... Ech, nie miał ochoty do tego wracać

Dotarł do Grace, niemal parując. W klimatyzowanym domu wilgotne ubranie zmieniło się w lepki, zimny okład. W paru susach pokonał schody na piętro. Marzył o prysznicu i drzemce, lecz najpierw musiał się wyciszyć. Zadzwoił do Billy'ego po kawę i lemoniadę. Wstawił stokrotkę do wody, umieścił szklankę na biurku, a obok położył kopertę. Przeczytał adres: Ośrodek Adopcyjny, Merrion Square, Dublin, Irlandia. W lewym górnym rogu nadawca: Hilary Barrett, St Botolph Street 99, Boston, MA. Data na znaczku: 21.08.1991.

Jaka historia się pod tym kryje? O co w tym chodzi? Czyżby na dnie szklanego morza leżało więcej pogubionych drobiazgów? Czy ten kawałek papieru na pewno należał do Iris? Może pracownik podniósł nie to, co trzeba?

Pukanie do drzwi. Stał w nich uśmiechnięty Billy. Hector otworzył mu w samych bokserkach. Słońce padało na wytatuowanego orła na jego prawym ramieniu.

– Cześć, profesorze! – Billy wniósł szklankę z lemoniadą i filiżankę z kawą. – Pani Hale powiedziała, że później do pana zajrzy. Liczy, że pamiętał pan o bilecie...

– Oczywiście, że tak. Nawet o dwóch. – Hector puścił do niego oko.

– Fajnie. To się ucieszy.

– Słuchaj, czy pani Bowen już wróciła? To znaczy, czy zamierza tu nocować?

– Odpowiedź brzmi: jeszcze nie, tak. Powiedziałem jej o Mapparium. I dałem namiary na

bibliotekę publiczną. Chciała skorzystać z internetu. Więc może...

– W porzo. Rozumiem. Jest, ale jej nie ma.

Hector może nie tyle wypchnął Billy'ego za drzwi, ile przytrzymał je dla niego i natychmiast za nim zamknął. Ugasił pragnienie lemoniadą, wysączył kawę i wyciągnął się na łóżku, lecz z drzemki nic nie wychodziło. W głowie grał mu *Sparrow in Summer*, a przed oczyma stała pani Bowen. Absolutnie nie ma mowy, aby w tej sytuacji zasnął.

Obudził go trzask zamykanych drzwi. Piąta dwadzieścia siedem. Studenci zaprosili go na kolację do Botolpha na szóstą.

Ogolił się, uładził włosy, narzucił hawajską koszulę w białe hibiskusy i zbiegł na dół. Nie znalazł Grace we frontowym pokoju. Zajrzał do kuchni. Pusto. Nigdzie ani śladu Billy'ego i pani Bowen. Znalazł w holu brązową kopertę, wsunął w nią dwa bilety, napisał na wierzchu: *Grace, dla Ciebie i dla pani Bowen*, położył kopertę na stoliku i wyszedł.

Szybkim krokiem pokonał West Newton i stanął na narożniku jak wryty, bo pierwszy raz zwrócił uwagę na numer domu na Botolph, w którym mieściła się restauracja. Zaglądał tu od... ilu? Chyba od jakichś piętnastu lat. Jak tylko ją otworzyli. Nad drzwiami szklana tabliczka z wytrawionymi fantazyjnie dwiema dziewiątkami. Hm... Ile razy tu bywał? Z Grace, ze studentami, ze znajomymi?

Teraz dopiero dostrzegł to 99.

Nie wiadomo, o co w tym wszystkim chodzi, lecz nie potrzeba geniusza, żeby się domyślić, iż to miejsce ma jakieś znaczenie dla pani Bowen. Już rano wyczuł, że tę kobietę coś nurtuje. To była tylko intuicja, wrażenie, które tchnęło strumień inspiracji w *Sparrow in Summer*. Lecz nie miał wątpliwości, że kryło się za tym coś poważnego.

*

Po lekkiej kolacji z chaotycznymi monologami i chwilami ciszy, które Casey i Belletti starali się wypełnić nerwowo opowiadanymi dowcipami, Hector wraz ze studentami przeszedł do Titus Sparrow Park. Spora liczba widzów z piknikowymi koszami zdążyła się już rozsiaść na rozłożonych kocach i kolorowych plażowych krzesłach. Letnie koncerty tradycyjnie zaczynały się o zmierzchu. Hector rozejrzał się wokół siebie. Światła reflektorów przesączały się przez gałęzie drzew, wydobywając barwy kwiatowych rabat. Niebo miało wszystkie odcienie szafiru. Wkrótce pojawi się reszta muzyków i wieczór stanie się magiczny.

Lecz zanim ta magia zacznie działać, artyści muszą się rozgrzać. Za sceną Hector przebiegał w myślach riffy, zmiany rytmu i synkopy. Szykował się do występu. Przechadzał się sprężystym krokiem, gimnastykował mięśnie barków i karku, spoglądał na niebo z towarzyszącą mu jak lejtmotyw myślą, że chciałby powiedzieć tej kobiecie o imieniu Iris, iż niebieski to kolor o niesamowitej witalności, symbol nadziei. Lepiej tego ująć nie potrafił. Wyjrzał przez szczelinę w kurtynie. Grace jeszcze się nie pojawiła. Zarezerwował dla niej dwa krzesła w pierwszym rzędzie.

Skończył rozgrzewkę, przywołał Belletiego i Caseya i zaprowadził ich do mężczyzny, który siedział w rogu, obejmując oburącz gitarę.

– Panowie, poznajcie Amosa McGee, drugiego takiego nie ma na świecie. Najlepsza gitara basowa pod słońcem. Gdy będzie grał, zamknijcie oczy, a wyda wam się, że słyszycie dzieciaki. Amos, przedstawiam ci Caseya i Belletiego.

– Cześć, dzieciaki, witam na pokładzie – odezwał się Amos, podbijając palcami daszek bejsbolówki i nasuwając ją z powrotem na czoło. Potem podniósł się i wyszedł na scenę. Przywitały go oklaski, bo Amos McGee był legendą w Bostonie. Zaczynał grać mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Dizzy Gillespie odnosił sukcesy na South Endzie. Teraz w czapeczce

Red Soxów wmaszerował swobodnie na estradę, przystanął na moment i wykręcił zwyczajowego pirueta.

Gromkie brawa wzbily się z trawnika pod opalizujące niebo. Hector podszedł do mikrofonu i przedstawił zespół:

– Wszyscy znacie Amosa McGee. – Kolejna burza oklasków. Amos skłonił się, uderzając palcami w struny gitary. – A oto dwaj prymusi z Berklee: Mossy Casey i Gino Belletti. Będą wspierać Amosa i kto wie... zobaczymy... może pokażą parę ciekawych riffów i dadzą czadu. – Dla lepszego efektu zawiesił głos. – Panie i panowie, w ten c...uuu...downy wieczór zagramy wam *Sparrow in Summ...eee...r!*

Usiadł, skupił się i już po chwili jego palce z wielką swobodą biegały po czarnych i białych klawiszach. Krótkie ostre dźwięki przypominały ptasi śpiew. Świergot przeplatany wibrującymi trelami. W pewnej chwili dał znak Amosowi, a on – to szarpiąc, to uderzając w struny – dołożył ćwierkanie wróbla, dokładnie tak, jak Hector sobie wymarzył. Potem obaj zamilkli, a Casey i Belletti wystąpili na przód sceny i na gitarach basowych zagraли wcześniej przećwiczoną improwizację metodą klangu.

Hector, patrząc na tłum, chłonał atmosferę. Przy pianinie czuł, że naprawdę żyje. Wszystko w nim przekładało się na muzykę. Wiedział, że dawno nie grał tak dobrze jak dziś. Spojrzał na atramentowe niebo. Kurczę – pomyślał – to jest jak mały raj, jazz jest boski. Tu dźwięków nic nie ogranicza; mogą się mieszać, kolidować ze sobą, współgrać, stapiać się, równoważyć, klócić się i łączyć. To akustyczna Arkadia, luz, odprężenie, zawrót głowy, pełnia szczęścia.

Wypatrzył na widowni Grace. A obok niej siedziała Iris Bowen. Spoglądały na niego najsmutniejsze oczy, jakie w życiu oglądał. Wiedział, wiedział wyraźnie, że zaszła w nim jakaś zmiana. Jeszcze nie miał dla niej nazwy, za to miał swoją muzykę.

Grał dla Iris Bowen.

Po ostatnim bisie, kiedy już wróbel odleciał, Hector, nadal naładowany, w tym szczególnym stanie umysłu, jaki daje jazz, gdy z pozornego zamętu rytmów i akordów tworzy się harmonia i wydaje się, że świat ma więcej sensu, a przynajmniej w jego przypadku tak się działo, wrócił do domu i znalazł Grace w kuchni. Było już dobrze po północy.

– Cześć, Grace – przywitał ją z energicznym ukłonem i rozejrzał się wokół.

– Hectorze, to było cudowne! – Zerwała się z krzesła i go wyściskała. – Poszło wspaniale, nie? Jestem z Ciebie taka dumna. Tak tu sobie siedzę i myślę, że Bob byłby zachwycony. Prawda?

– Taaak, Grace. Dzięki. Mam totalny odlot.

– Napijesz się czegoś?

– Nie, nie. Muszę się wyciszyć.

Stali przez chwilę w milczeniu. Hector się zastanawiał, czy może napomknąć o pani Bowen.

– Iris... – zaczęła Grace.

– Właśnie miałem zapytać, czy...

– Tak, podobało jej się.

– Naprawdę?

– Och, tak.

Spojrzała na niego i już odgadła. Coś się zmieniło.

– Super.

Tylko tyle z siebie wydusił. Jedno słowo. Odwrócił się, gotów wyjść, lecz Grace to nie zadowoliło.

– Cieszę się, że zostawiłeś dwa bilety. Musisz ją poznać.
– Chciałbym ją poznać – niemal wybąkał, potwierdzając przeczucie Grace, że coś się dzieje.

– Może rano będzie okazja, chociaż... ona... nie wiem, jak to ująć... wydaje mi się, że coś ją dzisiaj zdenerwowało. Nie była zbyt rozmowna. Kiedy jej powiedziałam o bilecie na wieczorny koncert, nie chciała go wziąć. Ale czułam, że przyda jej się odmiana. A ty, Hectorze, wiesz, że potrafisz być przekonująca.

Wyjął z kieszeni kopertę i podał ją Grace. Miał ją przy sobie cały wieczór jak jakiś talizman.

– Wypadła jej w Mapparium. – Spuścił głowę, jakby chciał ukryć twarz przed swoją rozmówczynią. – Byłem tam, ale mnie nie widziała. Wyszła, zanim zdążyłem pomóc ją odzyskać. Poprosiłem pracownika, żeby ją odszukał.

– Aha. – Obróciła ją w dłoniach. – To tylko zwykła koperta. – Rzuciła okiem na adresata, sprawdziła nadawcę. – Ośrodek adopcyjny? – Zawiesiła głos. – Hm, ciekawe, co to może znaczyć. – Zamyślona bębniła palcami lewej dłoni po stole. Przez chwilę słychać było jedynie postukiwanie paznokci o blat. – Dziwne. Hectorze, to zastanawiające. – Zadumana, zapatrzyła się w niewidoczny punkt na prawo od niego. – Hilary Barrett. Chyba kojarzę to nazwisko.

– Poważnie?

Odbicie jakiegoś wspomnienia przemknęło przez jej twarz. Na moment zmarszczyła czoło, zacisnęła usta.

– A Botolph Street 99? – podsunął Hector.

– No, nie wiem. Nie zawsze tam była restauracja. Tylko tyle potrafisz powiedzieć. – Zamilkła na chwilę. – Nie pamiętam! – Tupnęła sfrustrowana.

– Nie przejmuj się. Nie ma problemu. Idę spać.

Grace nie ruszyła się z miejsca. Myślała o czymś intensywnie.

– Przykro mi. – Pokręciła głową. – A wydawałoby się, że mam taką dobrą pamięć do twarzy.

Rozdział ósmy

Rowan Blake pędził niebieską taksówką korporacji Lucky Express Town Car z Nowego Jorku do Westchesteru, krainy swego dzieciństwa. Po godzinie jazdy na północ spojrzął za okno. Podmiejskie dzielnice ustąpiły miejsca lasom, w których rosły klony, brzozy, dęby i sosny. Tu i ówdzie połyskiwały jeziora i czarne rozlewiska. Lśniły granitowe głazy. Teraz, w czerwcu, zieloną ścianę lasu gdzieniegdzie rozjaśniały baldachy kwiatów derenia. Ich białe płatki zdawały się świecić w półmroku. Rowan w Westchesterze zawsze robił się sentymentalny. Od dwudziestu lat, czyli odkąd założył niewielką pracownię projektowania architektury krajobrazu, mieszkał w Long Island Sound, lecz za każdym razem, gdy zaglądał do Westchesteru, budziły się wspomnienia.

Czasami bolesne.

Gdy samochód, minąwszy Northern Westchester, zbliżał się do enklawy Heritage Hills, Rowan usiłował stłumić niepokój. Podejmował klientów w nowo otwartym Standard Grill i brunch przeciągnął się do popołudnia. Po drinkach Mimoza pili jeszcze martini. Dopiął umowę na duży projekt w Sag Harbor, lecz kiedy sprawdził komórkę, wyświetliło mu się pięć nieodebranych połączeń od matki i jeden dość niemiły esemes, w którym brat kazał mu odbierać cholerne telefony, bo sprawa była pilna.

Nie czuł się na tyle trzeźwy, żeby dojechać samochodem z West Side na dworzec Grand Central – nawet na myśl o jeździe taksówką robiło mu się niedobrze. W dodatku był to drugi czwartek czerwca. Wszędzie ruch jak cholera. Zresztą nie ma mowy, żeby zdążył na pociąg o czwartej pięćdziesiąt siedem, a czekając na następny, straciłby kolejne pół godziny. Ponieważ za projekt dla Sag miała mu wpaść niezła kasa, pozwolił sobie na ekstrawagancję, jaką był samochód z kierowcą. Zdobył ten kontrakt dzięki zaproszeniu do hotelu Standard w charakterze konsultanta przy finalizowaniu projektu dla High Line. Przypomniało mu się teraz, jak jego dziadek Burdy zachęcał go, żeby „absolutnie nie odpuścić”, i chociaż jego praca nie została zakwalifikowana, komisji spodobały się jego sugestie dotyczące pewnych zmian w końcowym projekcie i w ten sposób został honorowym gościem. Ekscytowała go wizja aranżacji parku wzdłuż linii kolejowej powyżej ulic West Side. Właśnie takie projekty najbardziej kręciły go w Nowym Jorku. Obaj z dziadkiem wstąpili do Koła Miłośników High Line i uczestniczyli w akcjach wiosennego i jesiennego sprzątania.

Rowan Blake miał czterdzieści cztery lata. Ktoś, kto zobaczyłby go w wynajętym samochodzie pędzącym autostradą międzystanową 684, mógłby pomyśleć, że należy do osób wpływowych i uprzywilejowanych, i w pewnym sensie miałby rację. Jednak ten przystojny mężczyzna siedział sam za przyciemnionymi szybami wynajętego samochodu. Nie miał żony, współnika ani grona przyjaciół. Może nie należał do tuzów, lecz był wziętym „rzemieślnikiem” z własną firmą i garstką pracowników. Dzięki dziadkowi dużo wiedział o różnych sprawach i potrafił rozmawiać na wiele tematów: począwszy od licytacji w brydżu po dywagacje, dlaczego Jacka Nicklause można uważać za najlepszego golfistę wszech czasów. Przeczytał *Źródło* Ayn Rand i *Portret artysty z czasów młodości* Joyce’a. Prenumerował „New Yorkera”. W ostatnich miesiącach nabierała się sarta egzemplarzy czekających na przeczytanie, a jeden, ten z Obamą przebranym za Waszyngtona na okładce, od czterech miesięcy leżał na nocnej szafce, trochę pomarszczony, bo potracając szklanę, ochlapał go koniakiem Hennessy. Rowan był, niestety, facetem znerwicowanym.

Niepokój ścisnął mu serce, gdy drogą wijącą się pośród pagórków przejechali obok pola golfowego. Kiedy kierowca skręcił w Greenview Drive, zobaczył matkę nerwowo drepczącą przed swoim dwupokojowym domkiem z przenośną słuchawką stacjonarnego telefonu przy uchu. To do niej niepodobne tak się wystawiać na widok publiczny. Ciekawe, czy wszyscy sąsiedzi zdążyli usłyszeć o Burdym, zanim do niego dotarła wiadomość. Matka kręciła się po podwórku w mokasynach, a spod rozkloszowanej wzorzystej spódnicy wystawały opalone, gołe nogi. Ona, dama, która normalnie nawet do gry w golfa wkładała sznureczek pereł, bo w każdej sytuacji należało wyglądać elegancko!

– Mamo... – Głos mu się załamał, kiedy wysiadał z samochodu. Louise Blake, rozsiewając zapach perfum, podbiegła i padła sobie w objęcia; przywarła do niego drobną sylwetką, tuląc ciepłą twarz do jego piersi. – Mamo... – Nic więcej nie był w stanie z siebie wydusić. Głos miał ochrypliwy od alkoholu wypitego do południa. Stali tak objęci, kiedy kierowca wykręcił na ślepej alejce wzdłuż rzędu domków przytulonych do wzgórza i odjechał.

– Rano grał w golfa. Po prostu upadł. I było po wszystkim. Tak, po prostu. Przy siedemnastym dołku.

Rowan wiedział, że Burdy nie chciałby inaczej zejść z tego świata, lecz nie powiedział tego głośno. Smutek przepelniał mu serce. Żałował, że jakimś cudem się tu w porę nie znalazł. Mógłby po raz ostatni zaliczyć z dziadkiem kilka dołków lub coś w tym rodzaju.

Louise, jakby słysząc jego myśli, wysunęła się z jego objęć.

– Skarbie, nie rób sobie wyrzutów. Skąd mogłeś wiedzieć. To stało się tak nagle.

– Tak, ale w zeszłym tygodniu nie zrobiłem rundki z dziadkiem. Musiałem odwołać nasze spotkanie. Coś mi wypadło. I... i...

Popatrzyła mu w załzawione, brązowe oczy, takie same jak jego ojca, i dostrzegła w nich znużenie. Rowan, otaczając matkę ramieniem, skierował ją do domu i wprowadził do białej, nieskazitelnie czystej kuchni z koronkową firanką w paprotki w oknie.

– Próbowałam się z tobą skontaktować. – Spojrzała czujnie na syna, tak jak to robią niektóre matki, uważając, że tylko one potrafią dojrzeć prawdę. – Miałaś wyłączoną komórkę? Dostałaś moje wiadomości? Musiałam się zająć przygotowaniami do pogrzebu. Mistrz ceremonii już zabrał ciało...

– Mamo, proszę...

Usiadła przy stole z dobrze mu znanym wyrazem twarzy.

– Martwiłam się, że nie odbierasz. – Zamilkła, rezygnując z dalszego ciągu. – Tylko tyle.

– Przepraszam. Przepraszam, że zostałam sama z tym wszystkim.

Przez jakiś czas siedzieli w ciszy. Rowan oparł splecione dłonie na stole. Zamknął oczy i zwiesił głowę. Nadal był w swoim biznesowym garniturze z granatowej wełny wysokiej jakości. Kołnierzyk białej koszuli miał rozpięty. Krawat leżał zwinięty w kieszeni. Matka sięgnęła po paczkę papierosów, wyciągnęła jednego i zapaliła srebrną zapalniczką.

– Kawa! – przypomniała sobie, zrywając się od stołu po trzech zaciągnięciach. Podeszła do zlewu i odkręciła wodę. Rowan w tym czasie wyszedł z kuchni.

*

Pierce Blake, starszy brat Rowana, prawnik, specjalista od show biznesu, był w drodze z Los Angeles. Louise posłała po niego samochód na lotnisko. Po nieudanym małżeństwie on również funkcjonował teraz jako singiel.

Louise planowała zrobić swoim chłopcom kolację (polędwica wołowa, pieczone ziemniaki i sałatka z cytrusów z sałatą masłową, ulubiony zestaw również Burdy'ego).

– Jak za dawnych czasów – powiedziała do Rowana, kiedy wrócił do kuchni. Zdążył

obmyć twarz, przyczesać ciemne, dobrze obcięte włosy, no i zdjął marynarkę. Rękawy koszuli miał podwinięte do połowy przedramion. Na stole czekał na niego kubek czarnej kawy.

– Napij się, może to cię postawi na nogi. Zaparzyłam cały dzbanek.

Zignorował jej uszczypliwy ton i podniósł kubek.

– Mamo, w czym mogę pomóc?

– W tej chwili w niczym... skarbie. Zrobiłam listę ludzi, których należy zawiadomić.

Poczekajmy na Pierce'a.

Cały czas stała odwrócona do niego plecami.

– Przepraszam... za wcześniej. Miałem wyciszony telefon. Podejmowałem klientów...

– Tak, wiem. Rozmawiałam z twoją praktykantką... – Zrobiła pauzę, nadal stojąc do niego tyłem. – Powiedziała, że nie ma cię w biurze – dokończyła, zawieszając głos, jakby chciała dać mu szansę, z góry wiedząc, że i tak z niej nie skorzysta. Znała syna na wylot. Była pewna, że jest na najlepszej drodze, by zostać alkoholikiem, o ile już nim nie był. Znała objawy, miała okazję widzieć je u własnej matki i u siostr. Skończyła mieszać sałatkę i uderzała drobną zaciśniętą dłonią o blat, jakby chciała rozmiażdżyć na papkę rosnące przygnębienie i wrzucić je do młynka na odpadki w zlewozmywaku.

Rowan się nie odzywał. Dopił kawę, zamierzał podejść do matki, lecz rozmyślił się w połowie drogi i skręcił na dwór. Odczuwał potworne znużenie. Otworzył drzwi z metalowej siatki prowadzące na patio i po chwili znalazł się na polu golfowym. Przystanął na greenie przy szesnastym dołku, żałując, że nie może cofnąć się do czasu niewinności, gdy życie wydawało się pełne obietnic.

– Ro, wszystko polega na znalezieniu równowagi – tłumaczył dziadek. – Rozluźnij chwyt, synu. Swobodnie trzymaj kij. I uważaj na wysoką trawę przy fairwayu. – Było wiosenne popołudnie. Miał dwanaście lat. Burdy w żółto-brunatnym swetrze, lnianych spodniach, z mlecznobiałą, miękko układającą się czupryną tłumaczył mu technikę gry. – Dobrze odmierzone odbicie piłki to połowa sukcesu. Musisz wyobrazić sobie jej drogę. Obejrzyj dołek pod każdym kątem. Tu potrzeba dużo wyczucia.

Ustawił się za Rowanem.

– Tak jest. Stań bokiem do kierunku przyszłego lotu piłki. Rozluźnij ramiona. Zamach kijem zza głowy, razem z ćwierćobrotem w pasie. I jak się czujesz?

– Chyba dobrze.

– Zuch chłopak. – Burdy roześmiał się i cofnął kilka kroków. – Wychodzi ci. Pamiętaj, idealne uderzenie przypomina ruch wahadła.

Rowan znieruchomiał i obejrzał się na dziadka.

– Nie. Nie odrywaj oczu od piłki. Pamiętaj, jak wahadło. Bokiem do zamierzonego lotu piłki. – Burdy miał specjalny wskaźnik, starą irlandzką monetę – trzypensówkę z zajacem i harfą. To był jego amulet. – Popatrz, pokażę ci. – Podniósł piłkę Rowana, położył tam monetę i rzucił obok własną piłkę. Zajął pozycję i huśtając kijem, oceniał położenie piłki od dołka, po czym złożył się i uderzył ją od tyłu, a ona potoczyła się po niewidocznej linii i wpadła prosto do dołka. – To tyle, Ro, jeśli chodzi o równowagę.

Tyle, jeśli chodzi o równowagę, Ro. Niestety, Burdy nie żył, a równowaga była czymś ostatnim, na co Rowan Blake mógł liczyć w życiu.

*

Pół godziny później następny samochód zajechał przed Greenview Drive 316. Wysiadł z niego mężczyzna pod pięćdziesiątkę i zapłacił kierowcy. Pasażer był wysoki, trzymał się prosto, miał długi, a przy tym zgrabny nos, pełne wargi i brązowe oczy, takie jak u brata.

W jednej ręce trzymał bukiet piwonii, w drugiej skórzany pokrowiec z garniturem. Louise, widząc go przez kuchenne okno, wybiegła na dwór.

– Skarbie! Pierce... kochany. Jesteś!

Tak samo jak wcześniej do Rowana, przyłgnęła do pierworodnego, bardziej przypominając dziecko niż matkę.

– Już dobrze, wszystko dobrze, mamó. – Tulił ją do siebie, gładząc po plecach. Obaj synowie byli wyżsi od Louise o trzydzieści centymetrów. – Przyszedł czas na Burdy'ego. Miał wspaniałe życie.

– Wiem – przyznała. – Wiem. Tylko że... to stało się... tak nagle. Nie byłam gotowa. – Mówiła i pochlipywała jednocześnie. Rowan wyłonił się z drzwi. – Dobrze, że jesteś – wyszeptala do Pierce'a.

– Rowan! Cześć! – głęboki głos Pierce'a zadudnił ponad jej głową. – Jak się masz, braciszku?

Louise puściła syna i usunęła się na bok. Bracia wymienili krótki, a jednocześnie przyjazny uścisk. Pierce też był w białej koszuli. Tak się nosili wszyscy Blake'owie. Obowiązkowo śnieżnobiałe koszule. Obaj należeli do osób, które zauważa się na ulicy – słusznego wzrostu, zadbani, sprawiający wrażenie pewnych siebie, co dość typowe dla wysokich mężczyzn.

– I co, zostaliśmy sami przeciwko całemu światu? – zauważył cicho Pierce i wszyscy zadumali się na chwilę. Każde gdzieś się zapatrzyło – na setki drzew, które nienachalnie ograniczały przestrzeń, tworząc wrażenie intymności.

– Och! – Pierce się ucieszył, wchodząc do kuchni. – Różowy grejpfrut z pleśniowym serem! – Louise zdążyła już nakryć do stołu i umieściła swą sławną sałatkę na samym środku. – Nikt nie robi jej tak jak ty, mamó. – Mrugnął do Rowana i wręczył jej kwiaty. – Coś mi mówi, że będą też steki i ziemniaki Idaho.

– Pierce, jesteś niemożliwy. Próbujesz mnie rozbawić. – Była bliska łez.

– Nie potrzebnie zwracałaś sobie głowę – skarcił matkę, ujmując jej dłonie w swoje ręce. – Zamówilibyśmy coś.

– Musiałam znaleźć jakieś zajęcie, czekając na... na was.

Pojawienie się Pierce'a ożywiło Louise. Rowan poczuł ukłucie żalu, patrząc, jak układa piwonie w wazonie. Podstawiła steki pod rozgrzany ruszt. Ziemniaki owinięte w aluminiową folię czekały na talerzach. Przez jakiś czas rozmawiali na błahe tematy, jakby nic się nie wydarzyło. Bracia stali obok siebie oparci o kuchenny blat, z rękami splecionymi na piersi. Pierce zagadnął Rowana o interesy.

– W Los Angeles jest teraz moda na oświetlanie drzew miękkim światłem. W ogrodach buduje się fontanny, kaskady i oczka wodne, a rośliny ustawia w minimalistycznych donicach. A jak to wygląda w Nowym Jorku? Nadal kombinujesz z czerwonym piaskowcem do aranżacji tych ogrodów na Brooklynie?

Wydawał się szczerze zainteresowany. Cokolwiek by mówić, był jego starszym bratem. Rowan wyjaśnił, że właściwie obecnie pochłania go przeprojektowanie Paley Park na Pięćdziesiątej Trzeciej Wschodniej.

– Dereń, bukszpan, a tu i ówdzie nisko rozgałęzione brzozy pożyteczne.

– Stary, najwyższy czas, żebyś zajrzał do Brentwood i zrobił coś z moim ogrodem.

Dziewięć metrów na dziewięć wysypane żwirem. Co powiesz na to, żeby zmienić go na basen? – Pierce zachichotał i klepnął brata po plecach.

Ich rozmowa zdawała się kojąco działać na Louise. Poprosiła ich do stołu, a kiedy usiedli, wzięli się za ręce nad blatem, zgodnie ze zwyczajem panującym w domu Blake'ów. Louise

spojrzała na młodszego syna.

– Rowan, proszę, odmów modlitwę dziękczynną.

*

Po kolacji, którą zjedli, choć tak naprawdę żadne z nich nie miało apetytu, zaczęli do Louise zaglądać sąsiedzi. Zrobiło się późno. Rowan z Pierce'em taktownie wymknęli się na taras. Świetliki migotały bezgłośnie. Lekki wiatr poruszał koronami drzew, przynosząc ulgę w gorącą noc.

– Może weźmiemy samochód mamy i wyskoczmy do Muscoot's? – podsunął Rowan.

– Do tej zapyziałej dziury? Ro, tam nie ma czym oddychać. – Pierce klasnął w dłonie i roześmiał się serdecznie. – Przejdźmy się. Nie sądzisz, że wyrosliśmy już z odwiedzania spelunek z piwem?

Szli w milczeniu, wsłuchani w cykanie świerszczy. Kilka gwiazd wisiało nad trawą w pobliżu szesnastego dołka. Rowan się nie odzywał. Buzowały w nim emocje. Na gwałt potrzebował drinka. Od czasu do czasu zerkał na brata, zastanawiając się, czy według niego zaszły w nim jakieś zmiany od zeszłego lata.

– No, rozchmurz się – odezwał się Pierce. – Opowiedz, jak się żyje w Wielkim Jabłku. Zdaje się, coś cię gryzie. Chodzi o Burdy'ego? Czy jest coś jeszcze?

Nie coś jeszcze. Tylko wszystko razem. Zajmował się zdobywaniem nowych kontraktów, prowadzeniem projektów, szkoleniem nowych pracowników. Tyrał do późna. Nie miał czasu na rozrywki ani na randki. Wracał do domu wieczorem wykończony, a jednocześnie nakręcony. Musiał się wyciszyć, no i ostatnio coraz częściej upojony alkoholem katapultował się z życiowej huśtawki i lądował na plecach kilka centymetrów od rynsztoka. A jednak każdego dnia się podnosił i wracał do gry, niestety, coraz bardziej poobijany.

– Chyba nie powiesz nie na martini, co? – Rowan pochylił się ku bratu. – Po powrocie do domu.

– Jak tylko mama się położy, muszę zadzwonić do paru klientów w Los Angeles.

– Jasne. Ja też muszę zadzwonić w kilka miejsc.

Po wyjściu znajomych Louise znalazła synów w wyplatanych fotelach na tylnym tarasie.

– Jesteście okropni, chłopcy – wytknęła im. – Tak mnie zostawić. – Jednak z wyrazu jej oczu wyczytali, że dobrze ich rozumie. – Dobranoc! – Ucałowała ich w czubki głów.

Kiedy Louise znikła w sypialni, obaj weszli do środka i Rowan zrobił drinki z dżinu i wermutu. (Matka zawsze miała w barku butelkę dżinu Bombay Sapphire i irlandzką whiskey Jameson). Zdążył dopić drugie martini, zanim brat wrócił od telefonu.

– No to powiedz mi – zaczął Pierce – co jest grane?

Rowan podążył za jego wzrokiem, który wymownie zatrzymał się na pustym kieliszku, po czym wyzywająco spojrzał mu prosto w twarz.

Pierce wzruszył ramionami.

– Po prostu z tym uważaj.

Rozmowa zeszła na jego ostatnią sprawę dotyczącą naruszenia praw autorskich, po czym Pierce po jednym tylko martini poszedł spać.

*

Rowan czuł się jak dryfująca boja urwana z cumy. Noc zamykała się nad nim jak czarny ocean, głowa mu ledwo wystawała nad wodą. Ani śladu lądu na horyzoncie. Nie miał pojęcia, w którą stronę powinien płynąć. Już samo myślenie o tym go obezwładniało. (A przecież, do cholery, był dobrym pływakiem).

To dziadek Burdock Emmet obudził w nim zainteresowanie architekturą. Burdy wziął go pod skrzydła, gdy ojciec ich zostawił, wyjechał i ożenił się z kobietą z Singapuru, która miała tam firmę eksportową. Louise przez wiele lat nie potrafiła się otrząsnąć z rozgoryczenia. Synowie także bardzo mocno to przeżyli i od tamtej chwili prawie nie utrzymywali z nim kontaktów. Burdy najlepiej jak potrafił starał się zastąpić im ojca, dbał o ich rozwój, a Rowanowi opowiadał o zaletach i pięknie architektury. W święta pod choinkę trafiały takie pozycje, jak *Wielkie chwile w architekturze* Davida Macaulaya czy *Michał Anioł: sześć wykładów* Wilde'a uzupełnione książkami o Irlandii.

– Nigdy nie wolno ci zapomnieć o swoich korzeniach, Ro. I wiesz, na twoim miejscu – rzucił Burdy pewnego razu, gdy spacerowali po polu golfowym – pomyślałbym poważnie o zawodzie architekta. O wznoszeniu pięknych domów w dobrych dzielnicach. Co ty na to?

Rowan zastanawiał się przez chwilę.

– Chciałbym zostać muzykiem. Ale mama mówi, że powinienem ciebie słuchać.

Burdy się roześmiał. Oczy mu rozbłysły.

– A powinienesz, chłopcze, powinienesz. Ćwicz dalej na tym swoim saksofonie, graj w golfa, studiuj, a zostaniesz prawdziwym człowiekiem renesansu.

Położył mu lekko dłoń na ramieniu, a on poczuł się tak, jakby to ojcowska ręka tam spoczęła.

Teraz, kiedy został sam i jako jedyny jeszcze nie spał na Greenview 316, zatęsknił za dotykiem tej dłoni. Za oknem ciemny trawnik opadał po łagodnym zboczu. Świerszcze cykały coraz ciszej. W niebieskiej butelce zostało jeszcze trochę dżinu. Rowan obrócił ją, trzymając pod światło. Była prawie pusta.

*

Louise z Pierce'em, biorąc na siebie organizację pochówku Burdy'ego, zdecydowali, że podczas kremacji w domu pogrzebowym będzie obecna jedynie najbliższa rodzina, czyli ich troje. Sąsiadów i przyjaciół powiadomili o nabożeństwie żałobnym, które miało zostać odprawione dwa dni później w klubie na polu golfowym. Mieszkańcy Hills, jak potocznie nazywano tę enklawę, byli ze sobą bardzo zżyci i należało się spodziewać, że weźmie w nim udział sporo znajomych Burdocka Emmeta i Louise. A po uroczystości rozsypią prochy Burdy'ego na polu golfowym. Ponieważ matka poprosiła Rowana, żeby zagrał dziadkowi na saksofonie, wziął jej samochód i pojechał do siebie do Stamford, żeby trochę poćwiczyć.

*

– Początek lata – zauważył Pierce, spoglądając na zagajnik klonów cukrowych z koronami połyskującymi w popołudniowym słońcu. – Idealny czas na uczczenie dobrze przeżytego życia.

Matka i synowie siedzieli na tarasie klubu golfowego i sączyli Arnolda Palmersa – czyli lemoniadę wymieszaną pół na pół z mrożoną herbatą, a w tym samym czasie w Healy Room trwały przygotowania do uroczystości żałobnych.

– Widziałam nekrolog w porannych gazetach – powiedziała Louise. Siedziała ze zwieszonymi ramionami, a jej smutek wydawał się wręcz namacalny. Na uroczystość przebrała się w czarną sukienkę. – Ludzie na pewno przeczytają... Czy zaprosiliśmy Wilsonów? A co z Morganami? Nie pominęliśmy chyba jego dawnej sekretarki? Tata miał tylu znajomych. – Bawiła się sznurkiem pereł na szyi. Rowan dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo będzie jej ciężko i pusto bez ojca. Był egoistą, skupiając się wyłącznie na własnym żalu i myśleniu o tym, jak śmierć Burdy'ego wpłynie na jego życie. Wyciągnął rękę i zamknął w niej dłoń matki.

Uśmiechnęła się słabo. – Dziękuję, skarbie. Dam radę. – Pierce spojrział na młodszego brata i z aprobatą skinął głową.

Rowan zamyslił sobie teraz, że prawdopodobnie spotka tu dziś wielu dawnych znajomych. W przeciwieństwie do Pierce'a nie był mistrzem w prowadzeniu rozmów o niczym, szybko więc odsunął tę myśl, bo właściwie ci ludzie niewiele go obchodzili. Liczyli się Burdy, matka i ta pustka, jaką dziadek po sobie zostawił. No i świadomość, że niedługo będzie mógł wypić martini. Tylko jedno. Przecież obiecał Pierce'owi.

W przeszklonej ścianie Healy Room było wyjście na taras z widokiem na pole golfowe. Po krótkim nabożeństwie personel zaczął krążyć wśród tłumu gości, roznosząc na tacach drinki i miniaturowe kanapki. Arnold Palmers po dodaniu dżinu i limoncello zmienił się w Leland Palmers. Miękkie światło zmierzchu kładło się na trawie, oświetlając pojedyncze źdźbła. Louise nie żądała od Rowana zabawiania gości. Poza tym zrobił już, co do niego należało. Udało mu się tak zagrać *Cudowną Bożą łaskę*, że o wiele bardziej wzruszył żalobników niż Pierce swą mową pogrzebową.

– Dziękuję, synku. Tylko tego dla ciebie pragnę – powiedziała matka, patrząc mu wymownie w oczy. Dobrze wiedział, o co chodzi; słowa „Boża łaska” pozostały przemilczane.

Rowan oparł się o żelazną balustradę ze słupkami podtrzymującymi zadaszenie tarasu i przyglądał się zgromadzonym. Wszyscy mieli jakiś związek z Burdym. Zjawili się tłumnie jego przyjaciele, podstarzali partnerzy od golfa i brydża, wolontariusze z hospicjum, w którym się udzielał. Rowan kojarzył wiele twarzy, rozpoznał nawet kilku współpracowników ich ojca z dawnych lat. (Jak powiedział Pierce'owi, kiedy ten przekazał mu wiadomość, nie był w stanie w tak krótkim czasie przylecieć z Singapuru, lecz gdy następnym razem znajdzie się w Nowym Jorku, na pewno skontaktuje się z Louise i Rowanem. Pierce częściej, choć nieregularnie, się z nim widywał, bo z Singapuru do Los Angeles było znacznie bliżej. Obu braciom nieszczerze zależało na tych kontaktach z racji, delikatnie mówiąc, miernego zainteresowania ojca ich losem).

Wybór utworów na uroczystość należał do Rowana. Kiedy słuchał trio skrzypcowego, jakaś pani około siedemdziesiątki, ubrana w różową garsonkę z czarną lamówką, lawirując wśród gości ze srebrną kopertówką w jednej ręce i szklanką w drugiej, podeszła do tarasu.

– Uwielbiam tę starą pieśń spirituals – odezwała się, stając przed Rowanem. – Bardzo dobrze ją zagrałeś.

– Dziękuję.

– *Kiedys się zagubiłam, a teraz odnalazłam.* – Zakołysała szklanką. Kostki lodu zderżyły się z cytryną i listkiem mięty. – Szkoda, że nie mieliśmy słów, żeby z tobą zaśpiewać – westchnęła. – Lubię takie wspólne śpiewanie. Ale teraz nie jest w modzie, prawda? Nie wypada. Co też mi przychodzi do głowy. – Mówiąc, nieco przeciągała słowa. – Za dużo Lelanda w stosunku do Arnolda. – Zaśmiała się z samej siebie, potrząsając siwą ondulacją.

Rowan odszukał wzrokiem Pierce'a. Kim jest ta kobieta? Niestety, brat był pochłonięty rozmową z jakimiś ludźmi, których w ogóle nie kojarzył. Spojrział na matkę, lecz ją z kolei otaczał wianuszek pań, zapewne koleżanek z klubu twórczego pisania, jogi czy jeszcze innego kółka zainteresowań. Ich zachowanie cechowała zażyłość, typowa dla kobiet w pewnym wieku, które „łączą wspólne doświadczenia”. Nie miał co liczyć na pomoc w przywołaniu nazwiska stojącej przed nim damy. Chcąc zyskać na czasie, przechylił kieliszek, a potem uśmiechnął się czarująco. Przyszło mu na myśl określenie Burdy'ego: „ta kobieta to trzpiotka”. Patrzył na jej wąskie, poruszające się usta, z których zapewne wydobywały się jakieś dźwięki. Nie odzywał się, tylko stał i patrzył. Jaka błoga jest cisza – pomyślał i roześmiał się w duchu. Zdążył już wypić trzy martini i powoli odpływał. Skinął na kelnera.

– Och, wiem. Takie smutne okazje sprzyjają nadużywaniu alkoholu. Ale nie powinniśmy dzisiaj wpadać w rozpacz. Pan Emmet był zawsze taki pełen życia. Niech Bóg ma go w opiece i pozwoli spoczywać w pokoju.

„Pan Emmet”, no tak, teraz sobie przypomniał.

– Pani Dillon! Pełen życia, tak. Ma pani rację. Proszę wybaczyć, że nie od razu skojarzyłem.

– Tak mi się zdawało, że mnie nie pamiętasz. – Z fałszywą skromnością sączyła alkohol drobnymi łyżkami.

– Chwilowe zaćmienie. – Uśmiechnął się. – Tylko chwilowe. Trudno zapomnieć taki wdzięczny śmiech. Przepraszam. Jak się pani żyje?

– Ach, powolutku. Bardzo mnie zmartwiła wiadomość o panu Emmecie. Będzie ci go bardzo brakować? – Delikatność nie była jej mocną stroną.

– Tak. – Cóż więcej mógł powiedzieć?

Burdy zawsze go upominał: zachowuj się elegancko, rozmawiając ze starszymi od siebie. Poczul się teraz jak dwunastolatek, bo przypomniał sobie, że pani Dillon była sekretarką dziadka. Kiedy dwadzieścia lat temu przeszedł na emeryturę, ona zrobiła to samo. Pochodziła z Irlandii, interesowała się... czym? Co to było? Och, no tak! Przepowiadała przyszłość z herbacianych fusów! Kiedy odwiedzał dziadka w biurze, ona czasami robiła mu herbatę, a potem „czytała” z liści. Bywało, że widziała coś bardzo pozytywnego w układzie listków przyklejonych do dna filiżanki. „Jak dorośniesz, zostaniesz astronautą. A może architektem. W każdym razie kimś na «A». Będziesz sławny i bogaty. No i oczywiście któregoś dnia polecisz do Irlandii i znajdziesz tam miłą dziewczynę. A w twoim życiu zajdzie wielka zmiana”. Dużo czasu upłynęło, zanim w końcu wykombinował, że te przepowiednie nieodmiennie wyrastały z ziarna, które wcześniej zasiał dziadek.

– Mój drogi, wiele lat się nie widzieliśmy. Wątpiłam, czy mnie sobie przypomnisz, chociaż po cichu miałam taką nadzieję.

– Ależ pamiętam panią. Oczywiście, że pamiętam. Była pani Dziewczyną z Galway dziadka. Czyż nie tak właśnie Burdy nazywał panią? No i przyszła pani do mojej szkoły na uroczystość rozdania świadectw.

Odetchnął z ulgą; pamięć powróciła, urywki wspomnień wylaniały się jak zza kurtyny.

– To prawda. Ale to było dawno temu. – Dopięła drinka. – Wtedy chyba widziałam cię po raz ostatni.

Na tle nocnego nieba rząd drzew na skraju pola golfowego przypominał statek na czarnym morzu.

Peggy Dillon oblizwała usta z resztki ginu z limoncello i błędząc myślami gdzieś daleko, zbierała się do odejścia.

– A dziecko? Kim jest teraz? – Obejrzała się jeszcze, zatrzymując wzrok na twarzy Rowana.

Patrzył na nią osłupiały.

Otworzyła szeroko oczy, zmrużyła je i na moment zacisnęła, jakby prowadziła jakiś wewnętrzny dialog.

– Jakie dziecko? – Przytrzymał ją za ramię.

Widziała napięcie na jego twarzy.

– Wiesz, ja ją widziałam – powiedziała cicho. – Wtedy w Dublinie. Pojechałam tam z Przyjaciółmi Świętego Patricka. Na paradę. Byliśmy w Trinity College, żeby obejrzeć Ewangeliarz z Kells. I wtedy ją zobaczyłam. Minęła mnie, a ja do niej pomachałam, ale tego nie zauważyła. Powiedziałam do moich przyjaciół: O, popatrzcie, to ta sympatyczna dziewczyna,

z którą zaręczył się Rowan Blake.

– Pani się myli. Ona nie miała dziecka.

– Nieee... – przyznała. – Nie miała. Ale... hm... była w ciąży. Było już widać, nie mam wątpliwości, że...

Rowan już jej nie słuchał. Ominął stół z kanapkami, przecisnął się pomiędzy Wilsonami i Morganami, wybiegł przez przeszklone drzwi na taras, a stamtąd na pole golfowe, odprowadzany niespokojnym spojrzeniem Pierce'a. Nie mógł słyszeć, jak Joyce'owie pytają Louise, czy syn nie zechciałby jeszcze raz im zagrać, a ona odpowiada, że on bardzo cierpi po śmierci Burdy'ego, ani nie mógł widzieć, jak Peggy Dillon, stając przed stołem z pamiątkowym zdjęciem zmarłego, szepce:

– Powiedziałam mu, Burdy. Dobrze zrobiłam?

Rozdział dziewiąty

Rose budzi jazgot mew, a może to dźwięk telefonu? Zrywa się z łóżka. Która godzina? Jaki dzień? Głowa jej pęka z bólu. Rozsuwa zasłony, otwiera okno, wiatr przewraca kartki z nutami na pulpicie i podrywa w górę te porozrzucane na podłodze. Komórka pika przenikliwie. Przespała kilka telefonów od Rogera. W duszy! Nie ma ochoty z nim rozmawiać. Wychodzi na balkon. Telefon znowu dzwoni. Odczekuje kilka sygnałów i jednak odbiera.

– Rose! Wczoraj przez cały dzień próbowałem się z tobą skontaktować! Wszystko u ciebie w porządku? – Słyszysz, jak Roger nerwowo oddycha. – Już myślałem, żeby zadzwonić do twojej matki, ale nie mam numeru. Gdzie się podziewałaś? Muszę się wytłumaczyć. Przeprasić...

Rose mruży oczy, bo oślepia ją słońce. Na myśl przychodzi piosenka o słońcu i złocistych kwiatach wiosienki.

– Rose? Rose, jesteś tam?

Wodzi oczami po drzewach i ścianach budynków z czerwonej cegły po drugiej stronie kanału. Barka tnie dziobem warstwę jedwabście zielonych alg.

– Jestem – mówi cicho.

– Przesłuchanie. To bardzo ważne, abyśmy to sobie wyjaśnili.

Ona milczy. Wpatruje się w szlak ze wzburzonej wody za barką, która powoli się wygładza.

– Widzisz, moja córka Victoria. Przyjechała się ze mną zobaczyć. Jej matka i ja... jesteśmy rozwiedzeni. Victoria też jest muzykiem... w Nowym Jorku. Przyjechała powiedzieć, że kończy z graniem. Kończy, rozumiesz?! Próbowałem jej wczoraj przemówić do rozumu. Ale nie chce słuchać. Twierdzi, że to cholernie ciężki kawałek chleba. Tyle wysiłku z jej strony, a teraz chce wszystko rzucić. Bo ona nie jest taka jak ty. Ona musi się napracować, żeby się rozwijać. Ty masz wrodzony talent. To dar; tego nie można nauczyć.

Rose słucha uważnie, ale się nie odzywa. Dar, tego nie można nauczyć.

– Rose? Słyszysz mnie?

– Tak.

Dzisiaj od kanału zalatuje kwaśny zapach. Czasem tak bywa w upał. Drobne fale przy odpływach ściekowych uderzają o brzeg.

– Byłem nieprzyjemny, przyznaję. Przepraszam cię, Rose. Słyszysz? Naprawdę jest mi głupio. Oberwałam za niewinność. Nie mogłem się uwolnić od myśli o Victorii – kaja się. – Posłuchaj, wezmę taksówkę na Primrose Hill. Spotkajmy się w The Engineer za godzinę i spokojnie o tym wszystkim pogadamy. Zgoda?

– Zgoda, Roger. Może.

Przyciska ikonkę z czerwoną słuchawką. Mały smartfon w jej dłoni zdaje się ważyć tonę. Ma ochotę go wyrzucić. Zwiesza rękę poza balustradę i sekundę później telefon znowu dzwoni.

– Roger, powiedziałam, że się zastanowię, czy...

– Rose... Rose Bowen?

Nie kojarzy tego męskiego głosu.

– Tu Conor. Conor Flynn.

Przyciska podbródek do szyi, zamyka oczy, nie może się skoncentrować.

– Conor?

– No. Jak się czujesz?

- Hm, raczej kiepsko. Nie mam ochoty rozmawiać.
- Zrozumiałe. Tak myślałem, że możesz być w raczej... sraleckim nastroju.
- Co?
- Bo czy przypadkiem czegoś nie zgubiłaś?
- O Boże!
- Z tego, co słyszałem, to nie do końca był przypadek...
- Conor, powiedz, co wiesz.

Odwraca się na balkonie, traci równowagę, telefon omal nie wypada jej z dłoni. Przyciska go do ucha obiema rękami. Dygocze na całym ciele.

– Zadzwoił do mnie jeden gość. Widać porządny facet. Zwrócił na ciebie uwagę w metrze we wtorek wieczorem. Powiedział, że zostawiłaś futerał ze skrzypcami na ławce i wysiadłaś. Podobno patrzyłaś, jak pociąg odjeżdża. Wysiadł na następnej stacji i cofnął się do twojego przystanku. Ale...

- Conor!
- Spokojnie... on je ma. Albo raczej miał.
- Co?! – Głos Rose wznosi się o oktawę wyżej.
- Wyluzuj, nie ma powodu do nerwów, Rosie.
- Mówi na nią Rosie. To brzmi tak melodyjnie w jej uszach. Rosie.
- Co to znaczy: „miał”?

– Miał, a teraz... – Conor robi pauzę. – Jeżeli chcesz je dostać z powrotem, musisz przyjechać do Clare. Skrzypce są w drodze. Poprosiłem go, żeby przesłał je kurierem. Wrócą tam, skąd się wzięły, jak irlandzki bumerang. W piątek powinny już być.

Rose nie ma siły otworzyć ust. Łzy płyną po policzkach i toczą się po podbródku. Pada ciężko na krzesło.

- Przepraszam – reflektuje się Conor. – To nie jest zabawne.
- Oboje milczą przez jakiś czas.
- Rosie. – Conor pierwszy przerywa ciszę. – Co się dzieje?
- Dziewczyna nie może wydobyć z siebie słowa.
- Przyjadę do domu.

Milknie. Na dole przy Pirate Castle grupka wiosłarzy z Canal Clubu wybiera się do Little Venice. Mocują kamizelki ratunkowe i wsiadają do kolorowych kajaków. Kiedy odpływają, Rose myśli o mężczyźnie, który uratował skrzypce. Musiał znaleźć wizytówkę Conora w obciążonej aksamitem skrytce w futerale.

- Conor? – szepce.
- Tak?
- Dziękuję.

*

W sobotę jest na Heathrow i czeka na popołudniowy samolot do Shannon. Bezskutecznie po raz trzeci tego dnia próbuje skontaktować się z matką. Nagrywa dwie wiadomości: jedną na telefon domowy, a drugą na komórkę Iris, a potem pisze esemesa do Tess:

Cześć, nie mogę złapać mamy. Mogłabyś odebrać mnie z lot. Shan. dziś o 4? J Buziaczki. Rosie.

Przychodzi jej na myśl Roger. Wystawiła go. Oczami wyobraźni widzi, jak czeka na nią przy stoliku w The Engineer. Najlepiej, żeby tam tkwił do skichanej śmierci, lecz w końcu przyzwoitość bierze górę i wysyła mu esemesa:

Poleciałam do domu, do Irlandii, skontaktuję się w przyszłym tygodniu. PS Powodzenia

z *Victorią. Ufaj w ład we wszechświecie, Rogerze.*

Dołącza uśmiechniętą buźkę.

Kiedy wchodzi do sali przylotów, Tess wraz z dwoma synkami już na nią czeka. Uśmiech na jej twarzy nie zgadza się z wyrazem oczu.

– Jest Rosie! Cześć!

Chłopcy natychmiast podbiegają do niej, a ona przykuca, puszcza torbę i ściska ich delikatnie.

– Dzięki, że przyjechałaś!

Staje przed Tess tyłem do chłopców zajętych walką o jej bagaż.

– Gdzie mama?

– To dość tajemnicza sprawa, ale nie przejmuj się, kocie. Na pewno nic złego się nie dzieje.

– O co chodzi? Nie ma jej w domu?

– Nie.

Rose zastyga.

– Nic nie rozumiem. Gdzie ona może być?

– Nie mam pojęcia. – Tess kładzie dłoń na plecach Rose i lekko popycha ją do wyjścia. – Jak znam twoją matkę, może oglądać jakieś ogrody w Dublinie albo wybrała się na parę dni na północ i zapomniała zabrać komórkę.

Rose nie wygląda na przekonaną.

– Nie przejmuj się. Widziałam się z nią w poniedziałek wieczorem. Nic złego się nie działo. – Wychodzą na wietrzny parking lotniska. – Wiedziała, że przyjeżdżasz?

– Nie. Myśli, że przygotowuję się do końcowego popisu z moim opiekunem.

– Aha. – Tess rzuca jej baczne spojrzenie. – Rozumiem, że wszystko idzie jak po maśle.

Żeby zamknąć temat, Rose odwraca się do chłopców i pyta, jak im idą treningi piłkarskie.

Docierają do samochodu. Chłopcy siadają z tyłu i ustawiają pomiędzy sobą torbę Rose.

– A gdzie skrzypce?! – woła nerwowo ich matka. – Boże, chyba nie zostały w samolocie?

– Nie, nie. Nie zostały. Spokojnie.

Tess zerka na Rose, unosi brwi i otwiera usta, jakby chciała coś powiedzieć, lecz się powstrzymuje.

– No... dobrze.

– To długa historia – mówi Rose.

– Super. Uwielbiam długie historie. W takim razie odwiedź cię do domu czy wolisz zatrzymać się u nas?

– Poproszę do domu, dobrze?

*

Kiedy pod kopułą nieba, fiołkowo-niebieskiego i bezchmurnego, jadą z Shannon do Ashwood, Rose chłonie wzrokiem pofałdowane, zielone wzgórza poznaczone białymi plamami stad owiec i brązowymi krów. Wszystkie zwierzęta poruszają się w jednym kierunku jak członkowie tej samej kongregacji. Uświadamia sobie, że tęskni za Clare tylko wtedy, gdy tu powraca. No tak. Dom. Nosi go głęboko w sobie i tęsknota jak tybetańska grająca misa pobrzmiwa w niej całej, dopiero kiedy czuje na twarzy powiew zachodniego wiatru.

Gdy samochód zatrzymuje się na podjeździe, Cicero wychodzi im na spotkanie. Chyba jest głodny, bo miauczy rozpaczliwie. Tess wyjmuje klucz ukryty pod niebieską doniczką i wpuszcza ich do środka. Chłopcy na chwilę znikają w kuchni, a ona włącza ogrzewanie. Jeżeli ten stuletni wiejski dom, o ścianach grubych na metr, stoi dłużej niż jeden dzień, nawet

teraz, w lecie, zagnieżdża się w nim wilgotny chłód. Rose otwiera okno i karmi kota na zewnętrznym parapecie. Rośliny w doniczkach przy frontowej ścianie przywiędły. Co się tu dzieje? Rose spogląda z niepokojem na przyjaciółkę matki, która właśnie odsłuchuje wiadomość na komórce nagrany po nieodebranym połączeniu.

– To klientka, Rose, nie mama. Przykro mi, kocie.

– Tess?

– Wiem... wiem, jak to wygląda, lecz... nadal nic. Powinna do tej pory zadzwonić. Od czwartku zostawiłam jej z pół tuzina wiadomości.

Rose kieruje się do drzwi prowadzących do ogrodu.

– Dokąd idziesz?

– Sprawdzę, czy są jakieś listy. Będziemy wiedzieć, ile dni jej nie ma.

Wraca po niecałej minucie.

– Co to? – Trzyma w ręce kopertę z logo Kliniki Piersi. – Tess, co jest grane?

Tess, doświadczona terapeutka, niełatwo daje się zbić z tropu, lecz teraz pod czujnym spojrzeniem Rose traci opanowanie. Stanowczym głosem nakazuje chłopcom wrócić do samochodu i tam na nią zaczekać.

– Za chwilę do was dołączę.

Rose i Tess odprowadzają ich wzrokiem, kiedy posłusznie biegną do auta.

– To prawdopodobnie nic poważnego. Zwykle wezwanie na rutynową mammografię.

– Otworzymy?

– No... sama nie wiem. List jest zaadresowany do twojej mamy...

Rose rozrywa kopertę i czyta.

Szanowna pani Bowen,

pragniemy przypomnieć o badaniu kontrolnym wyznaczonym na 12 czerwca. Ponieważ nie udało nam się z Panią skontaktować ani telefonicznie, ani mejlowo, prosimy o potwierdzenie wizyty lub jej przełożenie, gdyby nie mogła się Pani stawić w wyznaczonym terminie. Jak wyjaśniliśmy w poprzednim piśmie, badanie ultrasonograficzne, którego wynik omówi z Panią nasz konsultant jeszcze tego samego dnia, w większości przypadków nie stanowi powodu do niepokoju, natomiast jest niezbędne, gdyby zaistniała konieczność wykonania biopsji...

Rose przerywa i patrzy na przyjaciółkę matki.

– Wiedziałas o tym? Czy mama dobrze się czuje? Termin wyznaczono na wczoraj. Spójrz na datę.

– Widzę. – Tess kręci głową. – Tak naprawdę to nie wiem. To znaczy, wiem tyle, że skierowano ją na dodatkowe badanie. – Bierze Rose pod rękę i prowadzi do kanapy stojącej przodem do okna z widokiem na ogród. Stolik z kutego żelaza i takie same dwa fotele rzucają cień na trawnik w gasnącym słońcu. – Siadaj. Musimy pogadać.

– Po prostu mi powiedz. – Usta Rose drżą.

– Dwa tygodnie temu Iris zrobiła mammografię.

– I co?

– To wszystko. Wezwali ją na dodatkowe badanie. Czasami tak bywa. Tylko tyle. Z treści pisma wynika, że najwyraźniej nie potwierdziła terminu...

– Nie potwierdziła? Ona się nie stawiła!

– No tak. Nie pojechała. Ale ja jej ufam. Naprawdę nie sądzę, aby był powód do niepokoju. Coś musiało jej wypaść. Wiem, że twoja mama nie zbagatelizowałaby takiej sprawy.

– W takim razie gdzie ona jest?

Tess spogląda na kuchenne okno. Widzi, że chłopcy ganiają Cicero wokół samochodu.

– Posłuchaj, kocie. Podrzucę dzieciaki do domu i zaraz wracam. A przy okazji przywiozę

coś do jedzenia. – Podnosi się, gładzi Rose po dłoni i całuje ją w czubek głowy. – Wytrzymasz chwilę beze mnie? – Patrzy jej przeciągle w oczy. – Tak?

Rose chce wierzyć, że nic złego się nie dzieje. Nie ma prawa się dziać. To byłoby zbyt okrutne. Bóg nie jest taki. Tess ma rację, mama prawdopodobnie zapomniała telefonu. A badanie kontrolne to rutynowa procedura. Tak jest. Iris po śmierci taty zrobiła się trochę niedbała. Rose wychodzi do ogrodu nasyconego barwami mimo zmierzchu. Prawie już zapomniała, jak jasne są wieczory na zachodzie Irlandii. Podnosi wąż, ciągnie go przed dom i podlewa kwiaty w doniczkach, żeby zająć czymś ręce do powrotu Tess. Ogród Iris to bogactwo kolorów. Nie pamięta nazw, ale są tu te kwiaty podobne do niebieskich gwiazd i te przypominające czerwone jęczyczki, no i tamte na srebrzystych łodyżkach z żółtymi, płasko rozłożonymi płatkami. Cicero przybiega do niej przez nieskoszony trawnik i ociera się o nogi. Bierze go na ręce i razem obserwują jaskółki, które na zmianę wlatują do altany z kamieni, w której brakuje drzwi, i wylatują z niej. Rose z kotem na kolanach przysiadła przy drewnianym stole na werandzie.

Z uliczki za żywoplotem dochodzi warkot silnika. Aha, szybko się uwinęła. Rose jest głodna i marzy o filiżance herbaty. No i może Tess ma jakieś wiadomości. Gdziekolwiek Iris pojechała, zabrała samochód. W prześwitach w żywoplotcie miga coś czerwonego. Warkot cichnie, trzaskają drzwiczki i jakaś sylwetka pojawia się na tle ciemnego otworu altany.

Conor Flynn niesie skrzypce w futerał. Idzie prosto do niej, trzymając go nad głową.

– Dzisiaj przyjechały, całe i zdrowe!

Rose wyciąga ręce po instrument. Jej włosy muskają chłopaka po twarzy. Na moment podnosi ramiona wyżej, a potem je opuszcza, jakby chciał ją objąć, lecz w ostatniej chwili traci odwagę i podaje jej skrzypce.

– Dziękuję. – Rose przyciska je do piersi.

Zmienił się – myśli, patrząc na Conora. Spowaźniał, ale nadal nosi tę śmieszoną wełnianą czapkę.

– Obciąłeś włosy? – reflektuje się.

– Tak. Miałem przez nie kiepskie dni. Wnosiłem do domu za dużo morza. Drewno tego nie lubi.

Rose nic nie rozumie.

– Przez surfowanie miałem bałagan na głowie i w warsztacie. – Śmieje się dźwięcznie jakby w tonacji C-dur.

Rose wzdycha.

– No co? – pyta Conor. – Powiedz, że nie lubisz surferów.

– Poznałam tylko jednego i wyrok jeszcze nie zapadł.

– Łamacz serc?

– Coś w tym rodzaju.

Słońce zaszło już za linię drzew i ogród oblał chłodny cień. Owady, dotąd ukryte w wysokiej trawie, wirują w powietrzu. Rose i Conor stoją jak dwoje nieznanym w wagonie, których szarpnięcie pociągu albo zbliży do siebie, albo oddali. Ruch należy do Rose. To jej dom. Jej skrzypce. Powinna przynajmniej zaprosić go do środka.

– Mogę? – Conor pyta już w kuchni i nie czekając na odpowiedź, wyjmując skrzypce z futerału. Stroi je, bierze smyczek, zaczyna grać irlandzki reel, ornamentując melodię i wariantując rytm.

– Nigdy nie wspominałeś.

– O czym? – Unosi smyczek.

– Że jesteś dobrym skrzypkiem.

– Wielu rzeczy o mnie nie wiesz.

Niebieskie oczy odrywają się od dłoni ze smyczkiem i zatrzymują się na jej twarzy. Gra dalej. Muzyka wypełnia kuchnię. Zdaje się odbijać echem od ścian, uwalniając wspomnienia o rytmach wybijanych do tańca na *bodhranach* i drewnianych łyżkach podczas *céilis* i *seisiúns*, na które skrzykiwano się w tym starym domu na długo przed narodzinami Rose.

– Dar, którego nie można nauczyć – mówi cicho Rose.

– Co takiego?

– Nie, nic.

Conor oddaje jej skrzypce.

– Czemu je zostawiłaś w metrze?

Ona wpatruje się w okno poza nim, w powojnik o niebieskich kwiatach, który pnie się po drzwiach altany i je podtrzymuje na zawiasach. Przypomina sobie, jak razem z tatą je malowali.

– Żeby sprawdzić, czy do mnie wrócą.

– Dlaczego?

– Myślałam, żeby to rzucić – wyznaje drżącym głosem.

On przyjmuje jej słowa do wiadomości, ale nic nie mówi. Na zewnątrz gęstnieje mrok.

– Jestem zmęczona.

– Jasne – reflektuje się Conor. – Czas na mnie. – Podnosi się z miejsca.

– Nie to miałam na myśli. Chodzi o to... Och, jak to możliwe, że w jednej chwili życie może się tak skomplikować?

Policzki jej płoną, obiema rękami odgarnia z twarzy ciemne włosy, które dzisiaj się trochę kręją. Pada ciężko na krzesło.

– Powiedz mi – prosi Conor.

Spogląda na niego. Widzi niebieskie, pełne zrozumienia oczy. Opowiada mu o popisie, o Rogerze, o matce, która gdzieś zniknęła. O liście.

– Tess sądzi, że pojechała oglądać jakieś ogrody i nie zabrała ze sobą telefonu. Sama nie wiem. Na pewno zadzwoniłaby do mnie. To do niej niepodobne.

– Jestem pewien, że wszystko dobrze się skończy – uspokaja ją.

Rose zrywa się z krzesła.

– Dlaczego wszyscy powtarzają to samo?! Skąd ty to możesz wiedzieć?! Jakim cudem ktokolwiek to wie?! – Krąży nerwowo po kuchni. – I gdzie jest Tess?! Powiedziała, że zaraz wróci!

Podchodzi do szafki i dopiero teraz dostrzega na blacie rozsypane, pomarszczone czerwone płatki i nagie łydki z zawiązkami makówek. Wybuch płaczem.

Conor podchodzi, przytula ją, a ona kładzie mu głowę na piersi.

*

Jakiś czas później przyjeżdża Tess. W plamie światła z okna widzi Rose grającą na skrzypcach i stojącego obok mężczyznę. Patrzy na niego wymownie, a on podchodzi i się przedstawia.

– Dowiedziałas się czegoś? – pyta niespokojnie Rose. W jej oczach widać strach.

– Właściwie tak. – Tess nie odrywa wzroku od Conora, usiłując dociec, kim jest ten nieznajomy. – Twoja mama jest w Bostonie.

– Co?!

– Wiem. Szalona Iris.

– Dość daleko jak na oglądanie ogrodów – zauważa Conor. Głęboko oddycha i odwraca się do Rose. – Wiesz co, jej komórka tam może nie działać.

– No właśnie – przytakuje Tess. – Powiedziałam jej, że przyjechałaś do domu i...

– Co z nią?

– Nic złego się nie dzieje, Rose. Przepraszam cię. – Tess bierze ją za rękę. – Niedługo do ciebie zadzwoni. Z telefonu w hotelu. Kiedy jej powiedziałam, że jesteś w domu, bardzo się przejęła. Chodzi o jakiś ważny popis, który masz w przyszłym tygodniu?

– Tak. – Rose kiwa głową. – Miałam go we wtorek. Nie powiedziałam mamie, że przesunięto termin. Ale co ona mówiła o tym piśmie? I o wizycie w klinice?

– Słowem nie wspomniała, a ja nie... – Tess urywa, bo właśnie dzwoni telefon. Cała trójka kieruje wzrok na aparat.

Rozdział dziesiąty

Hector ponownie zobaczył Iris przed południem w dzień po koncercie. Siedziała na ławce w Titus Sparrow Park. W słońcu na jej włosach igrały miedziane refleksy. Wydała mu się smutna, lecz on, zajęty kombinowaniem, jak by tu się jej pokazać z jak najlepszej strony, nie zwrócił uwagi na białą chusteczkę w jej dłoni. Nie był jeszcze gotowy na oficjalną prezentację, więc nie zatrzymując się, przeszedł na drugą stronę ulicy i przyspieszył kroku. Na końcu kwartału skręcił nad rzekę. W głowie dźwięczały mu słowa pieśni gospel: *Down to the River to Pray*. Po mniej więcej dziesięciu minutach znalazł się nad Charles. Stał na nabrzeżu twarzą do rzeki, przyjął pozycję drzewa i z zamkniętymi dla równowagi oczami oczekiwał na inspirację jak spragniona wody roślina. Znad rzeki zawiewała silna bryza.

Wrócił myślami do snu z nocy po koncercie. Niczym rycerz w srebrnej zbroi oddał w nim uratowaną kopertę w ręce właścicielki. Niestety, na jawie tak się nie stało. Medytacja przyniosła mu bardzo pozytywną wizję siebie: uskrzydłonego i anielskiego. A czemu by nie – pomyślał. Niby dlaczego nie może mieć w sobie co nieco z anioła? Ech, daj spokój, Hectorze. Skup się na oddechu.

To przypominało początek pracy nad nową kompozycją; uchwycił już frazę, kilka nut, lecz nie miał pojęcia, jak utwór rozwinie się dalej. Wiedział jedynie, że tonacja będzie minorowa i zacznie w d, a może g-moll. Zrezygnował z pozycji drzewa i potruczał po esplanadzie. Na ciemnej, pomarszczonej wodzie chygotały się żaglówki, a ich białe trójkątne żagle trzepotały jak łabędzie skrzydła. Chłodna zieleń trawy łagodziła lejący się z nieba żar, a chmury płynące staccato od czasu do czasu przesłaniały słońce. Przebiegnięcie prawie dwóch kilometrów nie pomogło mu wyzbyć się napięcia, postanowił więc wrócić na South End i pogadać z Grace.

Natknął się na nią, ubraną w strój do tenisa, we frontowych drzwiach.

– Och Hectorze, mamy problem – odezwała się pierwsza.

– Co takiego?

– Sama nie wiem. Chodzi o panią Bowen... znaczy, Iris.

– Tak, wiem. Widziałem ją w parku, siedzi...

– Nie, nie, już wróciła. Jest w kuchni. Jej komórka nie działa, no to poradziłam, żeby skorzystała z telefonu domowego. Słyszałam, jak z kimś rozmawiała. Z jakąś Tess. A potem chodziła w kółko po kuchni. Ta Tess musiała chyba ją czymś zdenerwować. – Podniosła na niego orzechowo-brązowe oczy. – Hectorze, coś mi się zdaje, że ona płacze – wyszeptwała.

Grace powiodła go do swego gabinetu, z którego do kuchni prowadziły drugie drzwi. Wyraźnie słyszeli, że Iris znowu z kimś rozmawia.

– Halo, skarbie.

Długa cisza, a po niej szurgot przesuwanego krzesła.

– Och Rosie... kochanie... tak mi przykro. Myślałam, że ten popis masz w przyszłym tygodniu. Dlaczego mi nie powiedziałaś o zmianie terminu? Skarbie? To okropne.

Przyjechałabym. Chciałam przyjechać. Rose... – Długie pauzy przerywane wzdychaniem Iris. – Powiedz, co się stało.

– Rozmawia z kimś o imieniu Rose – szepnęła Grace.

– Ależ z ciebie superdetektyw! – zachichotał Hector, chcąc się pozbyć napięcia, chociaż wiedział, że w tych okolicznościach ten żart był nie na miejscu.

– Ciii... – uciszyła go. – Kim jest ta Rose?

– Wygląda na to... że córką.

Przeblýsk zrozumienia pojawił się na skupionej twarzy Grace.

Nasłuchiwali oboje, wychwytyjąc jedynie połowę rozmowy; byli jak stare, bezdzietne małżeństwo, któremu obcy jest język rodzicielskich dyskusji.

Z tych urywków po mniej więcej dziesięciu minutach dowiedzieli się, że Iris nie powiedziała córce o wyjeździe do Bostonu. A Rose miała jakiś popis, na którym chyba nie najlepiej wypadła.

– O co chodzi z tym popisem? – spytała szeptem Grace.

– Ciii...

– Coś jej nie poszło, tak?

Hector pamiętał Iris z poprzedniego dnia. Zrobiła na nim wrażenie pogrążonej w smutku, a to, co się teraz działo, na pewno jeszcze pogorszy jej nastrój. Wstał i zajrzał do kuchni przez szczelinę w drzwiach. Z łokciem opartym o stół i oczami osłoniętymi dłonią kiwała się na krześle na boki. Tłumaczyła ze śpiewną irlandzką intonacją, która w uszach Hectora brzmiała jak muzyka, że przyjechała do Bostonu na imprezę ogrodniczą. W ostatniej chwili dostała zlecenie na reportaż z jednej z brytyjskich gazet. Wczoraj próbowała się skontaktować, ale jej komórka nie miała zasięgu.

– Zaraz po przyjeździe chciałam zadzwonić do ciebie, ale nie udało mi się połączyć. Tak. No właśnie. Dlatego zatelefonowałam na domowy do Tess.

– Impreza ogrodnicza? Hectorze...?

– Tak, wiem. Też o tym myślę, Grace.

Przyjaciel Hectora, muzyk, powiedział mu kiedyś, że najczęściej się dzieje w ciszy pomiędzy dźwiękami.

– Och... otworzyłaś?

Długa przerwa.

– Nie powiedziałam ci – odezwała się Iris – bo nie chciałam cię martwić. Skarbie...? Nie płacz. Rose...? Proszę. Jestem pewna, że to nic takiego. Naprawdę. Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz. Obiecuję. Doktor O'Reilly powiedziała, że nie mam się czym przejmować. Słowo. Proszę cię, Rose, nie dramatyzuj. – Pauza. Westchnienie. – Wiem. – Iris zniżyła głos. – Wiem, że wczoraj. Umówię się na nowy termin, jak tylko wrócę do domu. Nie. Jest weekend, nie mam po co dziś do nich dzwonić. Dobrze. Tak. Zadzwonię. W domu będę za kilka dni. Przyrzekam.

Grace otworzyła usta i czym prędzej zakryła je dłonią, żeby stłumić głos.

– Boże, to... – sapnęła.

– To nie jest taka zwykła sobie rozmowa pomiędzy matką i córką – dokończył za nią Hector.

– Całuję cię, kochanie.

Znowu odgłos przesuwanej krzesła i brzęknięcie odkładanej słuchawki. W drodze na piętro Iris przemknęła obok gabinetu, jakby chciała pozostać niewidzialna. Po chwili kroki ucichły i skrzypnęły zamykane drzwi.

– Powinnam do niej zajrzeć czy nie? – odezwała się Grace.

– I co jej powiesz? Byłam wścibska i podsłuchałam twoją rozmowę? Nie sędzę.

Zdecydowanie nie, Grace. Oto, co zrobimy. Zapukam do niej pod pretekstem zwrotu koperty. I przy okazji sprawdzę, jak się czuje.

Odczekał jakiś czas i ruszył schodami na górę, lecz zamarł z nogą uniesioną nad ostatnim stopniem, bo usłyszał szloch. Tego się nie spodziewał. Okazał się bezmyślny. Widział siebie w roli rycerza ratującego Iris. A tymczasem ten płacz uświadomił mu realizm sytuacji. Stał przed jej drzwiami w zielonym jak las korytarzu, który zdawał się wokół niego zamykać. Czuł się

zagubiony. Wyrzucony na mieliznę poza strefę dobrego samopoczucia.

Minał na palcach drzwi Iris i wrócił do swego pokoju w głębi korytarza. Wyrwał kartkę z zeszytu nutowego i zaczął pisać:

Droga Iris.

Przekreślił.

Cześć Iris

Kolejne skreślenie.

Szanowna Pani Bowen.

Nie bardzo wiedząc, jak ubrać w słowa to, co czuje, odłożył pióro. Do diabła, był muzykiem, a nie pisarzem. Wziął czystą kartkę i zaczął od nowa.

Pani Bowen,

mam nadzieję, że podobał się Pani wczorajszy koncert. Dziękuję, że zdecydowała się Pani przyjść. Miło mi było Panią widzieć.

Zalączę kopertę, którą Pani zgubiła w Mapparium. Wypadła Pani z torebki. Wszedłem tam akurat, gdy Pani już wychodziła.

Liczę, że spotkamy się jeszcze,

: -)

Hector Sherr

Pokój 12

PS Mam nadzieję, że Pani dobrze się czuje...

Wsunął kopertę w złożony list i przycisnął go do piersi. Miał ochotę złożyć na nim pocałunek i na chwilę stał się tamtym jedenastoletnim chłopcem, który tak właśnie zrobił w walentynki w szkole podstawowej Woodside w Kalifornii, gdzie dorastał.

Staął przed pokojem Iris, wsłuchując się w ciszę. Kilkakrotnie podnosił rękę, żeby zapukać, lecz za każdym razem zabrakło mu odwagi. W końcu wsunął list przez szparę pod drzwiami, prędko zszedł na dół, czerwieniąc się jak uczeń, i wybiegł na ulicę.

Czy nie był zbyt obcesowy? *PS Mam nadzieję, że Pani dobrze się czuje.* Domyśli się, że ją podsłuchiwali? Och! Po co dodał to postscriptum! Czy zawsze musi być taki wyrywny?

Wszedł na plac. Fontanna nie działała. Paru przechodniów siedziało na szarym rancie i chłodziło stopy. Hector przystanął, przymknął powieki i wsłuchany w poranny ruch uliczny mieszający się z gwarem rozmów, krążył myślami wokół Iris i *Sparrow in Summer*. Wszystko razem tworzyło dziwną harmonię, barwną jak tęcza.

– Panie Sherr?! – usłyszał zadyszany głos gdzieś za sobą. W pierwszej chwili wziął to wołanie za grę wyobraźni.

– Panie Sherr?!

Obejrzał się. Serce jakby nagle zerwało się z uwięzi i poszybowało ku niej. Ku Iris.

Z jego listem w ręce.

– Dziękuję. Za list.

– Nie ma sprawy.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Znaczy...

– ...i za... – urwała. Uśmiechnęła się niepewnie. A potem nastąpiła długa cisza. Zdaje się, że ani ona, ani on nie mieli pomysłu, czym ją wypełnić. Hector pierwszy raz znalazł się tak blisko niej. Błyszczące oczy i cienkie kreseczki zmarszczek od ich kącików ku skroniom; znak, że płakała. Błede piegi na nosie. Włosy zapewne spięte w pośpiechu. Właśnie usiłuje założyć za

uszy niesforne pasma wijące się przy twarzy i szyi. Ma na sobie białą bawełnianą bluzkę i niebieskie dzinsy. Wygląda zjawiskowo. Kiedy spojrział w dół, zobaczył, że wybiegła z domu bosy.

Już się odwracała, by odejść.

– Proszę zostać – wybąkał, przytrzymując ją za ramię. – Przejdźmy się. Napijmy się kawy. Rzućmy okiem na rzekę – jąkał się, machając rękami.

Albo jego niezdarne zachowanie umknęło jej uwadze, albo nie miało dla niej znaczenia. Spojrzała wymownie na swoje stopy, a on zagarnął ją ramieniem i skierował z powrotem do Grace, a ona, o dziwo, nie oponowała. Gdy poszła do pokoju po buty, Hector został na dworze, nie chcąc, aby prysł czar sprzed chwili. Wróciła na dół w sandałach i z okularami słonecznymi na czubku głowy.

Skręcili na północ, przecięli Prudential Centre Plaza i przeszli kilka kwartałów. Żadne z nich się nie odzywało. Znaleźli się na Gloucester Street, ulicy z ozdobnymi ulicznymi latarniami i rzędem wiktoriańskich kamienic z brunatnego piaskowca z ołowiowymi szybami w oknach o ciemnych ramach. Stamtąd wyszli na szeroką Commonwealth Avenue z dwukierunkową jezdnią. Iris spojrzała w głąb tunelu z zielonych koron drzew.

– Przysiadzimy?

– Świetny pomysł.

Hector obrócił się wokół własnej osi, rozglądając się za wolną ławką, i długimi krokami ruszył do najbliższej. Padł na nią energicznie, jakby w ten sposób obejmował ją we władanie dla damy swego serca. A Iris, właścicielka niebieskiej sukienki, usiadła obok z rękami splecionymi na podolku.

– Magnolie – powiedział, wodząc oczami po obsadzonej drzewami promenadzie z budynkami z czerwonej cegły w tle.

– Słucham?

– Te drzewa, na które patrzysz, to magnolie pośrednie. To miejsce jest z nich sławne. Na początku maja ulice wyglądają jak obwieszone małymi różowo-białymi balonikami.

Był dumny z siebie i żywił nadzieję, że zrobił na niej wrażenie. Co prawda sam miał raczej blade pojęcie o drzewach, ale podobno wszyscy w Bostonie wiedzieli o kwitnących wiosną magnoliach na Commonwealth Avenue.

– Podobał mi się wczorajszy koncert – zagadnęła go po chwili. – Z przyjemnością słuchałam, jak grasz...

– Dziękuję. Publiczność była wspaniała.

Wyprostował swe długie ciało i rozpostarł ramiona na oparciu ławki.

– U nas nie ma zbyt wielu koncertów na świeżym powietrzu, ale...

– W Irlandii, tak? – Entuzjastycznie wszedł jej w słowo i z miejsca tego pożałował.

– ...natomiast każdego lata odbywa się festiwal muzyczny.

– Tak. No jasne. Wszyscy słyszeli o Cork Jazz Festival. To znaczy: wszyscy w jazzowych kręgach.

– Jest jeszcze jeden, blisko miejsca, gdzie mieszkam. W Doonbeg.

Uniósł brwi, co miało wyrażać i zdziwienie, i podziw, lecz zanim zdążył o cokolwiek zapytać, dodała:

– Moja córka też jest muzykiem.

– Przepraszam – bąknął, myśląc o podsłuchanej rozmowie. – To znaczy, na czym gra? Spojrzała na niego nieco podejrzliwie.

– Na skrzypcach. Koncertowych.

– Moje uznanie.

Nie miał pojęcia, co jeszcze mógłby dodać, bo poczucie winy musiał mieć wypisane na twarzy. Teraz zapewne ona powie, jak córka ma na imię.

– Ma na imię Rose.

Czas, by się odezwał. Ale co powiedzieć? Wymyśl coś pozytywnego.

– Podoba mi się twoje uczesanie.

Spojrzała na niego i się roześmiała. Głośno i szczerze. Ten śmiech jak rzeczna fala wylał się na ścieżkę i wzniósł ku czubkom drzew dźwiękiem dzwoneczków. Hector, nie mogąc się opanować, zawtórował jej.

Zerwał się z ławki i wyciągnął do niej rękę. Podała mu dłoń, lecz zaraz ją cofnęła. A po chwili, już jakby mniej onieśmielona, ruszyła przed siebie. Pokonali kilka przecznic i mostem dla pieszych ponad arterią Storror Drive dotarli na esplanadę wzdłuż nabrzeża rzeki Charles. Hector, zdumiewająco jak na siebie beztroski, nucił coś pod nosem, a Iris, cicho stąpając, machała w powietrzu zerwanym po drodze długim źdźbłem trawy. To był jeden z takich niemal idealnych letnich dni z błękitnym niebem i pełnym słońca. Hector na moment dał się ponieść wyobraźni. Oto dwoje zakochanych, którym dano drugą szansę, spaceruje w letni dzień po jednej z najpiękniejszych promenad na całym wschodnim wybrzeżu Ameryki.

– Hectorze? – zwróciła się do niego z wahaniem głosem o ton wyższym niż normalnie. – Możesz mi pokazać, gdzie jest biblioteka publiczna?

– Biblioteka? Jasne. To niedaleko stąd, ale musimy się cofnąć.

Przystanęła.

– Muszę kogoś odszukać.

– W... bibliotece?

– Billy powiedział, że można tam korzystać z internetu. To prawda?

– Tak. Ale nie potrzebujesz biblioteki. Mam laptopa w pensjonacie. Jeżeli chcesz, możemy wrócić i sprawdzisz, co chcesz, na laptopie.

Zastanawiała się przez moment.

– No dobrze.

Po drodze powiedziała mu, że Rose studiuje w Royal Academy of Music w Londynie.

– Ha, jestem pod wrażeniem. – Wyznał, że prawdopodobnie większość Amerykanów nigdy nie słyszała o tej uczelni, ale on ją zna, bo uczy kompozycji na Berklee. – No wiesz, mamy w Stanach Juilliard i Oberlin, a tam, o... – machnął ręką w kierunku Huntington – ...jest New England Conservatory. Lecz Royal Academy of Music? Musi być naprawdę dobra.

Iris przyspieszyła kroku.

*

Hector wrócił myślami do Hilary Barrett z St Botolph Street 99, no i do obietnicy przesunięcia jakiejś wizyty. Jeszcze jedna myśl go uderzyła. Niemiły dysonans. Jak to możliwe, że nie przyszło mu to do głowy wcześniej? Ano dlatego, że był samolubnym sukinkotem. Zerknął na jej dłoń.

– Ty i... uhm... pan Bowen musicie być z niej bardzo dumni.

– Tak. Bardzo. To prawda.

– Zapewne...

Przystanęła, a on się zląkł, że może ją czymś dotknął.

– Luke, jej ojciec, zmarł przed dwoma laty – powiedziała, uciekając spojrzeniem w bok. I ruszyła przed siebie.

Paskudna sprawa, gdy człowiek z jednej strony odczuwa smutek, a drugiej skacze w duszy z radości.

– Przykro mi.

Cóż więcej mógł powiedzieć?

Ostatnie kilka minut przeszli w milczeniu. W pensjonacie rozeszli się do swoich pokoi, umawiając się za pół godziny na dole w starym saloniku Grace. Hector nie tracił czasu; zmienił jedną hawajską koszulę na inną, tym razem na oliwkową w niebieskie kwiaty, wziął laptopa pod pachę i pogalopował na parter.

Billy wyrzwał z kuchni.

– Cześć, Hectorze!

– Billy! – Hector dosunął dwa fotele do ławy. – Czy Grace jest u siebie?

– Nie. Gra w tenisa z seniorkami.

– To dobrze! To znaczy: dobrze dla Grace. Dla pani Hale. Wszyscy powinniśmy uczyć się od niej entuzjazmu, no nie? Słuchaj, młody, chcemy tu z panią Bowen trochę popracować.

– Tak?

– Pani Bowen musi wysłać kilka mejli. Użyczam jej mojego laptopa.

Chłopak rzucił mu porozumiewawcze spojrzenie.

– No dobra, wzięło mnie. Nie będę ukrywał. Ale to tak między nami.

Jakiś czas później zeszła na dół Iris. Ona też się przebrała i umyła głowę. Kropelki wody spadały z wilgotnych włosów, poskręcanych w pierścionki, i wsiąkały w bawełnianą bluzkę.

Billy ponownie wyłonił się z kuchni, a ona poprosiła o imbryk z herbatą.

Hector odwrócił ku niej otwarte laptopa.

– Proszę. – Cursor migał na pasku wyszukiwarki.

– Nigdy wcześniej tego nie robiłam.

– Naprawdę?

Przysunął do niej fotel. Czuł chłód bijący od niej po prysznicu i zapach jabłkowego szamponu.

– Nigdy nie „szukałam” osoby.

Wstukała: „Hilary Barrett”. Hector nie odezwał się słowem.

Po szesnastu sekundach wyświetliło się blisko sześć milionów haseł. Odwróciła się do Hectora z przerażeniem w oczach.

– Niemożliwe, aby aż tyle osób miało takie samo nazwisko! Nigdy jej nie znajdę.

– Spróbuj wrzucić hasło: „Bostońska książka telefoniczna” – poradził.

Na jej twarz wystąpiły kolory.

– Co? Dlaczego akurat Boston?

– Tak... było na kopercie... St Botolph Street 99 – wyjąkał. – Przepraszam. Przecież to tuż za rogiem.

Zamyśliła się na chwilę.

– No tak. Koperta. Oczywiście.

Przymknęła szare oczy.

– Przepraszam. Nie powinienem się wtrącać – pokajał się ze wzrokiem wbitym w park za oknem.

Długo milczała.

– To skomplikowana sprawa – odezwała się w końcu. – Nie znalazłam tej osoby. Poszłam tam wczoraj. To adres restauracji, wiesz?

Odwróciła się z powrotem do laptopa i wpisała w wyszukiwarkę: „Bostońska książka telefoniczna”. Przebiegła wzrokiem pierwszą stroną wyników. Na samej górze widniał adres: „Białe strony.com”.

W tej samej chwili w drzwiach stanęła Grace z tacą. Nadal była w spodenkach

tenisowych, a złoty łańcuch częściowo ginął pod koszulką polo.

– Iris! Co słyszeć? Billy powiedział, że masz ochotę na herbatę. Proszę bardzo.

Stawiając tacę, odwrócona półprofilem od Iris, posłała Hectorowi spojrzenie spod uniesionych brwi.

– Hectorze... – Gracie, Gracie, Gracie. Jak udał się mecz?

– Wspaniale... a więc widzę, Iris, że poznałaś w końcu naszego Hectora? Dobrze się zachowuje? Bo wiesz, z nim tak naprawdę nigdy nie wiadomo. Nie mam racji, Hectorze?

Podeszła bliżej i wysilając wzrok, starała się odczytać tekst na monitorze. Zrezygnowała zniechęcona, a jej czerwone usta poruszyły się bezgłośnie, gdy niewypowiedziane pytanie zawisło w powietrzu.

– Próbuję odnaleźć starą znajomą – wyjaśniła w końcu Iris. – Poznałyśmy się dawno temu w Dublinie. Wtedy mieszkała w Bostonie.

– Aha.

– Niejaka Hilary Barrett.

– Hil...

– Przeglądamy białe strony w necie – przerwał jej warkliwie Hector.

Iris wyczuła, że chyba chciał zamknąć Grace usta w obawie, iż jest gotowa rozwinąć jakiś poboczny wątek. I zaraz dla złagodzenia sytuacji osłodził uśmiechem nieprzyjemny ton.

– Jasne. Oczywiście – przytaknęła Grace. – Dobry pomysł. Białe strony. Nigdy nie wiadomo, prawda? Zawsze najlepiej zacząć od książki telefonicznej.

Wychodząc z pokoju, przystanęła jeszcze przy drzwiach. Iris nie mogła widzieć, że szeroko otwartymi oczami spojrzała pytająco na Hectora, rozkładając przy tym ręce, jakby chciała coś w nie złapać. Zapewne chodziło jej o odpowiedź na pytanie: Dowiedziałeś się czegoś? Hector powstrzymał ją nieznacznym machnięciem ręki.

Na monitorze wyświetliło się trzynaście Hilary Barrett; poczynając od Bend w Oregonie do Clearwater na Florydzie. Znalazło się też kilka na stronach Massachusetts. Lecz tylko jedna według Iris była w odpowiednim wieku: Hilary Barrett w Becket w Massachusetts.

– Nie, to chyba nie ona. – Zamyśliła się. – Gdzie jest to Becket? Może się tam przeprowadziła? – Zamilkła na chwilę. – Przecież nie mogę tak prostu do niej zadzwonić! – Westchnęła, kręcąc głową

– Ależ możesz! Na pewno cię pamięta. Bo... takiego głosu jak twój łatwo się nie zapomina.

Hectorze, rany, co ty wygadujesz?

Iris nie odrywała wzroku od ekranu.

– Nie – zaczęła, oblewając się rumieńcem. – Tak naprawdę to my się nie znamy. Ona nie jest przyjaciółką z dawnych lat – wyznała. Przygryzła mocno dolną wargę. Rozejrzała się po pokoju, zatrzymując spojrzenie na zamkniętych drzwiach. – To biologiczna matka Rose.

Hector padł na oparcie z półotwartymi ustami. Nie ukrywał zaskoczenia. Co prawda brakujący element układanki trafił na swoje miejsce, lecz nie tego akurat się spodziewał.

– Rose jest moją adoptowaną córką.

Iris zamknęła laptopa. Z zaciśniętymi dłońmi na kolanach opowiedziała o przyrzeczeniu danym Luke'owi i o tym, jak parę dni temu wykradła kopertę z nazwiskiem i adresem z ośrodka adopcyjnego. Powiedziała o wczorajszej wizycie na St Botolph Street 99 i o tym, że człowiek, z którym tam rozmawiała, nigdy nie słyszał o żadnej Hilary Barrett.

– Jak sam widzisz, nie mogę do niej zadzwonić, nawet jeżeli jest tą Hilary, której poszukuję.

Nawet w rozpaczę potrafiła zachować klasę. Panowała nad sobą. Ta kobieta jest silna.

Zastanowiło go, czy ona jest tej swojej siły świadoma. Jej historia łamała mu serce, lecz parafrazując irlandzką piosenkę, to serce szło za własnym głosem, wiodąc go w niebezpieczne rejony. Potrzebował więcej czasu. Na zrozumienie, dokąd to wszystko zmierza, i wymyślenie sposobu, jak jej pomóc.

– A może cię tam zawiozę? – wyrwało mu się w przypiływie emocji.

– Co?

– No pewnie. Czemu nie? Plan B. Okazja, żeby uciec przed miejskim upałem i zwiedzić okolicę.

– Czy to daleko?

– Becket? Nie za bardzo. Jakies dwie godziny jazdy. Na zachód. W hrabstwie Berkshire.

U stóp Appalachów i naprawdę...

– Sama nie wiem.

– Zapytam Grace, czy pożyczyłaby samochód.

– Proszę, tylko nie mów jej...

– Nie, nie. Naturalnie.

– ...po co tam jedziemy – dokończyła. – Prawdopodobnie nic z tego nie będzie. Jak dotąd raczej nie miałam szczęścia.

Nakrył ręką jej dłonie

– Jasne. Rozumiem. Twój sekret jest..

Spojrzała na niego i gwałtownie cofnęła ręce, jakby użądliła ją pszczoła.

– Przepraszam. Niezbyt dobrze radzę sobie ze słowami – tłumaczył się. – Miałem na

myśli...

– W porządku. Wiem, co chciałeś powiedzieć.

– Ja tylko... chcę ci pomóc. – Sięgnął po jej dłoń i przytrzymał ją przez moment w uścisku. – Chciałem ci to powiedzieć wczoraj przed koncertem, lecz cię nie widziałem. Chcę ci pomóc, bo ty... mi pomogłaś.

– Co? – Zrobiła duże oczy.

– No tak. Rano. Udało mi się skończyć kompozycję, ponieważ mnie... zainspirowałaś.

Grupka roztrajkotanych nastolatków przejechała rowerami przed domem. Hector patrzył, jak Iris odprowadza ich wzrokiem. Gdy znikli z widoku, podeszła do okna. Po chwili cofnęła się w głąb pokoju.

– No dobrze – powiedziała, dotykając przelotnie jego ramienia. A potem wyszła frontowymi drzwiami, kierując się prosto do parku.

*

Hector znalazł Grace i Billa w gabinecie, a gdy zapytał, czy mógłby pożyczyć od niej samochód, żeby zawieźć Iris do Berkshire, zarzuciła go pytaniami:

– Czego się dowiedziałeś? Umówiła się tam na spotkanie? Kogo ona właściwie szuka?

Czy chodzi o tę kobietę z koperty? Odnalazłeś ją?

– Nie ma żadnego spotkania, nie, nie odnalazłem.

– Hectorze! Nie bądź taki tajemniczy!

– Grace, to jak szukanie igły w stogu siana. Namierzyliśmy jedną Hilary Barrett w Becket. Ale jaka jest szansa, że to o nią chodzi? Prawda, Billy?

– Hilary Barrett, Hilary Barrett – zamyśliła się Grace, zaciskając okrągłe jak paciorki oczy. – Znam skądś to nazwisko. – Billy i Hector czekali, aż przypomni sobie coś konkretnego. – Nie, nie kojarzę – stwierdziła, kręcąc głową z zamkniętymi oczami. – Och..! – Rozzłoszczona przestąpiła z nogi na nogę.

– Może ja jakoś pomogę – odezwał się Billy. Grace z Hectorem zawiesili na nim wzrok. – No tak, komputer nie ma przede mną tajemnic. Co wiemy?

– Jasne! Billy! Komputer! – wykrzykiwała coraz bardziej piskliwie podekscytowana Grace.

– Tylko tyle, że jest biologiczną matką córki pani Bowen – wyjawiał Hector.

Billy uniósł brwi.

– To niewiele.

– I że ta Hilary Barrett mieszkała kiedyś na Botolph Street 99. – Hector zwrócił się do Grace: – W tej chwili może mieć jakieś... no, nie wiem. Jak sądzisz? Na ile szacujesz Iris?

– O rany, ona jest taka ładna. Hm... Według mnie będzie ciut po czterdziestce.

– Też tak mi się wydaje. A więc jej córka ma... ze dwadzieścia lat?

– Nie, dopiero dziewiętnaście – sprostował Billy. Grace i Hector popatrzyli na niego zaskoczeni. – Pani Bowen powiedziała mi wczoraj podczas śniadania i...

– No dobrze. – Hector miarowo kiwał głową. – Okej. W takim razie ta Hilary będzie mieć jakieś czterdzieści, czterdzieści pięć lat. Prawda? – Zaczął do rytmu kołysać się na piętach. – No to, młody, zobacz, może uda ci się coś znaleźć.

– Spróbuję.

Jak na komendę każde z nich udało się w swoją stronę: Grace poszła do kuchni zająć się dzisiejszą kolacją, Billy zniknął ze swoim laptopem, a Hector wrócił do pokoju i wyciągnięty na łóżku nasłuchiwał powrotu Iris.

Rozdział jedenasty

Iris Bowen chętnie rozmawiała z ludźmi, nawet z nieznajomymi. Gdyby pogawędka o Hilary Barrett z Thorntonem Pletzem, amerykańskim kelnerem o polskich korzeniach, nie utknęła w martwym punkcie, prawdopodobnie zapytałaby go o rodzinę w Europie. Czy nadal żyją tam jacyś jego krewni? Czy ma dzieci? Zapewne zupełnie inaczej rozwinęłaby się rozmowa z Kerry na lotnisku, gdyby nie była wtedy taka zagubiona i przytłoczona poczuciem misji. Na pewno zapytałaby dziewczynę, z której wsi w hrabstwie Kerry pochodziła jej babcia.

W domu, w Clare, też wdawała się w pogawędki ze sprzedawcami. Z handlarzem, u którego w środowe popołudnia kupowała kwiaty na rynku w Ennis, ze sprzedawcą ryb, jasnowłosym Słowakiem, który zawsze ją pytał, kiedy przyjedzie Rose, na co ona nieodmiennie odpowiadała: „za parę tygodni”. (Zawsze w piątki kupowała u niego dzwonko halibuta i ta rozmowa weszła do tradycji, budząc w sklepie ogólną wesołość).

Takie drobiazgi stanowiły podporę, pomagając jej uporać się ze stratą. Dzięki nim czuła się mniej samotna.

Przed zakupem kwiatów czy ryb często umawiała się z Tess na lunch w Old Ground Hotelu. W zimie wybierały przepastne fotele przy kominku w holu, tuż za głównym wejściem. Latem siadywały na ogrodowych krzesłach pod starym bukiem na omszałym patio. Należały do najbardziej wiernych ze stałych klientów i Allen, właściciel hotelu, a zarazem miłośnik sztuki, znał je obie z imienia. Nigdy nie zapominał spytać, co słyhać u Rose. Zaprzyjaźnił się również z Lukiem, bo on z kolei lubił tam zaglądać w dni bez rozpraw. Kiedy Luke trafił do szpitala, Allen przysyłał mu posiłki z hotelowej kuchni. Któregoś dnia osobiście przywiózł do Ashwood słodki pudding z chleba z masłem, ulubiony deser pana mecenas.

O tym wszystkim Iris myślała następnego dnia rano, stojąc w oknie pokoju w domu Grace Hale i zastanawiając się, czy nie powinna ponownie zadzwonić do Tess. Grace na pewno nie miałaby nic przeciwko temu, żeby skorzystała z telefonu. Wsłuchiwała się w obce jej odgłosy porannego Bostonu: szum samochodów, popiskiwanie autobusów i łomot śmieciarek. Amerykańskie miasta tak wcześnie się budziły. Ona była przyzwyczajona do śpiewu ptaków oraz warkotu traktorów, a także do coraz rzadszego o tej porze roku nawoływania kukulek.

Nerwowo przeczesywała włosy palcami. Zdążyła się już dwukrotnie przebrać. W niczym nie wyglądała dobrze. Siedząc na łóżku i zapinając sandały, przypomniała sobie, co przyśniło jej się nad ranem. W tym śnie był Luke. Wyłonił się z morza ze szkatułką w dłoniach. Szedł ku niej, lecz przyплыw przesunął się wraz z nim i ciągle dzieliła go od brzegu taka sama odległość. Nie zmagął się z falami, szedł spokojnie po kostki w wodzie ubrany w garnitur. Uśmiechał się. Niestety, nie widziała, co niesie w tamtej szkatułce.

Iris tęskniła też za ogrodem, swoim ogrodem, dzikim, a jednocześnie uładowym. Podskoczyła nerwowo, słysząc pukanie do drzwi. Otworzyła. Hector stał z tacą, na której oprócz imbryka z herbatą i grzankami znalazła się stokrotka w szklance z wodą.

– Pomyślałem, żeby uwinąć się ze śniadaniem i ruszyć w drogę, jak tylko będziesz gotowa – powiedział, stawiając tacę na zasłanym łóżku. – Odsunął się kilka kroków, jakby dumny był ze swego dzieła. – Chyba się nie rozmyślałaś?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Zejdę na dół... – zawahała się – ...za chwilę. Daj mi pięć minut.

– Świetnie. – Zatarł dłonie. – W takim razie idę wyprowadzić samochód.

Popatrzyła na stokrotkę. Brakowało kilku płatków. Jakby ktoś je powyrywał.

*

Grace zgodziła się pożyczyć swego leciwego jaguara na wypad do Berkshire Mountains, żeby Hector mógł pokazać Iris kawałek Ameryki. Przynajmniej tak o tym wyjeździe myślała dzień wcześniej, kiedy zasiedli we trójkę do klopsa z surówką w jej kuchni.

– Chcesz ją obwieźć po moim ukochanym Massachusetts, tak?

Na stole nakrytym lnianymi serwetkami i zastawionym porcelaną kostną paliły się kolorowe świece.

– Poprosiłam Billy’ego, żeby przyszykował samochód na jutrzejszą wycieczkę – powiedziała, obciążając luźną hawajską suknię ściśniętą w talii złotym paskiem. Te słowa skierowała do Hectora, a on, lekko przygryzając usta, posłał jej spojrzenie, którego znaczenia Iris nie potrafiła rozszyfrować. Grace wytrzymała jego wzrok i jak gdyby nigdy nic, zwróciła się do Iris: – Bob kochał ten samochód. Spodoba się wam. Jeździ jak ta lala. Wiem, że ma swoje lata...

– Grace, jesteś romantyczką – powiedział szybko Hector, wysuwając dla niej krzesło. Napełnił jej kieliszek, spoglądając przy tym na nią w sposób, który Iris wydał się zagadkowy.

Grace jednym długim łykiem opróżniła połowę kieliszka.

– Lepiej uważaj na niego, Iris, bo to niezły czaruś.

Iris, patrząc, jak Grace kroi klopsa w plastry, odniosła wrażenie, że w tym ostrzeżeniu kryje się jakiś dziwny podtekst.

Podczas kolacji udało jej się uniknąć rozmów na swój temat. Na szczęście nikt nie wspomniał o telefonie do Irlandii. To ona przejęła pałeczkę i zadawała pytania. Usłyszała o renowacji South Endu – którą Grace pasjonowała się od dwudziestu lat. Dowiedziała się, że kiedyś Hector odpowiedział na ogłoszenie o wolnym pokoju i jako student Berklee zamieszkał na stacji u Hale’ów, i że okolice St Botolph stały się znane dzięki muzykom jazzowym.

– W tamtych czasach Hector nosił kucyk – rzuciła Grace z roztargnieniem.

Hector spojrzał na Iris z ukosa i się uśmiechnął.

– Wiesz, święty Botolph jest patronem Bostonu – mówiła dalej. – Miastu nadano nazwę od jego imienia na początku siedemnastego wieku, kiedy przybyli tutaj pielgrzymi. Dobrze mówię, Hectorze?

– Mniej więcej, Gracie.

Iris zrobiło się smutno, że siedzi tutaj i słucha o rzeczach, które o wiele bardziej interesowałyby Luke’a. Przypomniało jej się, jak opowiadał Rosie, że jeden z przodków Bowenów był pasażerem na „Mayflower”, przetrwał podróż i zszedł na ląd przy Plymouth Rock. Rose chodziła wtedy do szkoły podstawowej i musiała narysować drzewo genealogiczne. Dobrze zapamiętała tamtą sytuację, bo córka bardzo to przeżywała. „Czy oni też są moimi przodkami?” – dopytywała się.

– Oczywiście! Co moje, to twoje, *ma petite chou* – uspokoił ją Luke.

Rose ta odpowiedź zadowolila. Jeżeli kiedykolwiek nurtowała ją sprawa jej pochodzenia, dobrze to ukrywała. Może zamknęła ją szczelnie w specjalnym pudełku. Iris nie była tego do końca pewna.

– No tak, teraz sobie przypominam. – Grace się ucieszyła. – Chodziło o jakiś kamień, klasztor i benedyktyńskiego opata w Anglii, który miał na imię Botwulf. Anglicy dopłynęli tutaj i nazwali to miejsce Bostonem. Nie bardzo kojarzę związek. Ale mam to gdzieś zanotowane. – Zamilkła na moment. – Jeżeli jesteście ciekawi, mogę poszukać. – Nagle urwała, zatrzymując spojrzenie na Iris. – Wiesz, ja cię w ogóle nie spytałam, co cię przywiodło do Bostonu.

– Grace! To chyba nie twoja sprawa.

– Piszę artykuł o bostońskich parkach miejskich – odpowiedziała pospiesznie Iris, nie patrząc na Hectora.

– Tak? – Grace zakołysała winem w kieliszku. – To ciekawe.

Przez jakiś czas jedli w milczeniu.

– Nie, już dziękuję. – Hector zakrył dłonią kieliszek, kiedy Grace chciała mu nalać wina z trzeciej butelki. Gdy spojrzała na Iris, ona także pokręciła głową.

– Dzięki. To był bardzo miły wieczór. – Uśmiechnęła się.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparła Grace, zacinając się nieznacznie na „ś”. – Przepraszam, że podałam zwykłego klopsa. Ale nie mam weny do gotowania, odkąd Bob... – zawiesiła głos i odwróciła się do Iris. – To już nie to samo. Ale damy radę. Pozbieramy się.

Podniosła się od stołu i przez chwilę niepewnie patrzyła na drzwi. Hector zerwał się z krzesła, objął ją ramieniem, cmoknął w policzek i wyprowadził z kuchni. Powiew wywołany jego energicznymi gestami wprowadził w drganie płomyki świec. Na ścianach zatańczyły cienie. U Iris poczucie winy za okłamanie Grace walczyło z myślą o tym, jak ma jutro rozmawiać z Hilary Barrett z Becket w Massachusetts.

*

Teraz, w słoneczny poranek, zamknęła pokój na klucz i zeszła na dół. Zajrzała do jadalni, lecz tam był jedynie Billy. Podawał śniadanie jakimś dwóm młodym parom. Kolejni goście z polecenia Kerry? Słyszała, jak opowiada im o Mapparium.

Hector stanął w drzwiach frontowych, blokując sobą światło.

– Gotowa?

Do środka wpadł podmuch gorącego powietrza.

– Tak.

– Poczekajcie! – dobiegł ich z korytarza głos Grace. Dogoniła ich z koszykiem w rękę, nadal w białym frotowym szlafroku. – Macie tu kanapki z kurczakiem i lemoniadę. Na drogę.

– Jesteś kochana. – Iris, odbierając koszyk, przytuliła ją wolnym ramieniem.

– Dzięki, Gracie. – Hector szerzej otworzył drzwi, marszcząc niecierpliwie brwi.

Iris przeszła obok niego i zbiegła po schodkach do samochodu.

– Jedną chwilę! Coś mi się przypomniało! – zawołała Grace.

– Co takiego? – spytał Hector.

– Ten święty Botolph – zwróciła się do Iris, nie zwracając uwagi na Hectora – był patronem podróżnych i wędrowców.

Iris oddała koszyk Hectorowi, wbiegła z powrotem na schodki i uściskała Grace.

– Jesteś skarbem, jak mówimy w Irlandii. Prawdziwym skarbem.

– Oooch – sapnęła Grace ze łzami w oczach i ściągnęła mocniej pasek szlafroka. – Mam nadzieję, że wszystko pójdzie po twojej myśli. Wiesz, że tak bywa. Czasami. No nie?

*

Jakie to wszystko wydawało się jej surrealistyczne. Nasycony błękitem dzień, upał, bajerancki samochód, no i ten mężczyzna, który siedział obok, nucąc coś pod nosem. Zdziwił ją jego kapryśny sposób bycia. A nawet fascynował. Od śmierci Luke'a tak naprawdę nie była sama w towarzystwie mężczyzny. Nie w taki sposób. Nie w takich okolicznościach. Odbijając od krawężnika, Hector nerwowo zerkał we wsteczne i w boczne lusterko. Nie należał do opanowanych kierowców.

Kiedy jechali St Botolph Street, spojrzała na ciemne okna restauracji. Była niedziela, Thornton niedługo otworzy ją na brunch. Przypomniała sobie minę Grace, kiedy odjeżdżali. Na

jej twarzy malowało się tysiąc emocji, których Iris nie rozumiała, i wcale nie była pewna, czy powinna się nad nimi zastanawiać.

– Czy Grace dobrze się czuje?

– Grace? Tak. Chyba była trochę niedysponowana. No wiesz, za dużo wina. Przejdzie jej.

Hector jechał na zachód Huntington Avenue. Samochód szarpał, bo na zmianę naciskał i zwalniał pedał gazu. Trochę ją to denerwowało. Po pewnym czasie wyjechali na szerszą ulicę. Iris się domyślała, że Hector szuka w myślach tematu, który mógłby poruszyć z kobietą, którą ledwo znał, i jednocześnie zrobić na niej wrażenie. Czekwała cierpliwie, aż odezwie się pierwszy. Minęli gmach Mary Baker Eddy Library i Iris przypomniała się zaróżowiona irlandzka rodzina z Mapparium. Ciekawe, gdzie dziś się prażyli. Najrozsądniej byłoby spędzić taki dzień na plaży. Na moment zrobiło jej się żal, że nie jest z nimi, bezpieczna pomiędzy krajanami.

– To Berklee – odezwał się Hector. – O tam. – Wskazał palcem. – Moje najlepsze czasy...

– Naprawdę? – podchwyciła z większym zapalem, niż zamierzała, odwracając się ku niemu.

Rozzłościła się na siebie za tę entuzjastyczną reakcję. Co ona wyrabia? Złapała w garść włosy. Nie wiadomo dlaczego zaplotła je dziś w luźne warkocze. Jak jakaś pensjonarka. Zaczęła je rozplatać. Szuka Hilary Barrett – i tylko to ją interesuje. Skup się, Iris.

Ktoś za nimi skarcił ich klaksonem. Hector nerwowo rozejrzał się na boki i zerknął za siebie przez prawe ramię. Byli na niewłaściwym pasie. Wyrzucił kierunkowskaz, wjechał gwałtownie pod wielką zieloną tablicę z napisem: Massachusetts Turnpike, i ostro skręcił na zjazd na autostradę. Wszystko działo się tak szybko, że Iris nawet nie zdążyła się przestraszyć. Hector, kręcąc głową, mamrotał coś pod nosem. Iris rozcierała łokieć, który obijała sobie o okno.

– Boli?

– Nie, nie bardzo.

– Naprawdę przepraszam. Boże! Tak w ogóle jestem dobrym kierowcą. Chyba trochę wyszedłem z wprawy. – Zwolnił i zjechał na środkowy pas. – Tam, gdzie mieszkam, zwykle jeżdżę do pracy rowerem.

– Tak?

– Uhm. Uczę kompozycji w konserwatorium w San Francisco. W Bostonie bywam tylko latem.

Spojrzał na nią tak, jakby zamierzał coś jeszcze dodać i szukał odpowiednich słów, lecz się rozmyślił.

Jechali na zachód międzystanową autostradą, zostawiając za sobą przedmieścia z soczystą zielenią cedrowych lasów.

– Opowiedz mi o Berklee – poprosiła Iris, chcąc uwolnić się od myśli o Hilary Barrett.

Nie wahał się długo.

– Naprawdę chcesz?

– Naprawdę. Mam jakieś pojęcie o uczelniach muzycznych.

– No jasne. Pewnie. Zapomniałem. Rose. No cóż... Dla mnie liczy się jazz. Nie muzyka klasyczna. Sorry. Żyję jazzem. Berklee jest najlepszym miejscem dla młodych jazzmanów w tym kraju. A może i na świecie. – Zamilkł na moment. – Słyszałaś o Quincym Jonesie? To stare czasy, ale on mnie zainspirował. „Wyśnij wielki sen, a jeśli choć połowa się ziści, i tak poczujesz się spełniony”. Cały Quincy. Kiedy byłem studentem... – zaśmiał się – ...a dokładniej, gdy mieszkałem u Hale’ów w tym samym pokoju co teraz ty, w bezsenne noce myślałem, jak będzie wyglądać ten mój wielki sen.

– Czemu nie uczysz tutaj przez cały rok?

Gdy to powiedziała, doznała olśnienia. Boże, on ma żonę. Utkwiła wzrok w bocznej szybie. Stąd tamta mina Grace!

Odwróciła się do niego.

– Jesteś żonaty?

– Nie. Nie jestem. – Zerknął na nią. – Byłem. Kiedyś.

– Dzieci?

– Nie.

W tej chwili nic więcej nie chciała wiedzieć, chociaż owo kiedyś zawisło w powietrzu jak echo.

Hector włączył radio. Grała orkiestra jazzowa Erica Jakiegoś Tam i wkrótce już bębnił palcami po kierownicy. I o wiele lepiej prowadził zanurzony w muzyce. Stara klima w wiekowym jaguarze co chwila dramatycznie posykiwała, wyłączyli ją więc i odkręcili szyby. Iris na powrót związała włosy, bo przeciąg zawiewał je na twarz.

– Jeśli chodzi o twoje pierwsze pytanie – obejrzał się na nią – uwielbiam zajęcia w Berklee. Dzieje się tam dużo fantastycznych rzeczy i wiele ważnych spraw właśnie stamtąd wzięło swój początek, ale kocham Kalifornię. Jeszcze bardziej.

Jego opalona twarz wyglądała niemal przystojnie i tylko oczy nadal miały nieśmiały, speszony wyraz. Wyczytała z tego spojrzenia, że nie jest mu obojętna. Podobne sygnały odbierało jej ciało, śląc w górę i w dół impulsy podobne do promieni słońca w ciemności.

Uśmiechnęła się, odwróciła twarzą do okna i zapatrzyła się na migające drzewa. Rola pasażerki działała na nią kojąco. Cała odpowiedzialność spoczywała na kierowcy. Właśnie tego jej brakowało – bycia pasażerką. Tylko tyle. Coś, o czym w ogóle się nie myśli, kiedy się jest we dwoje. Teraz sama musiała prowadzić. Luke w niedzielę jeździł z Rose nad morze i do Black Head na zachodnim wybrzeżu.

Wystawiła dłoń za okno. Powietrze prześlizgiwało się między palcami jak jedwabiste fale.

– Słyszałaś kiedyś o *Prawdziwym zbiorze*? – zapytał Hector po dłuższym czasie.

– Nie... lecz to jest prawdziwie interesujące. Roześmiała się. Ułożyła grę słów. Taki żarcik. Hector wyzwał w niej to wszystko, co pozostawało stłumione. Owszem, był nieco ekscentryczny, ale też cechowała go pewna żywiołowość, którą ją zarażał. Z jednej strony broniła się przed jego wpływem, a nawet miała wyrzuty sumienia, z drugiej była zadowolona. – Przepraszam. Powiedz, o co chodzi z tym zbiorem.

– Na pewno?

– Nie.

– Oj.

– Żartuję. Mów.

– Jazzu nie da się z niczym porównać, prawda? – zaczął, zerkając na nią dla pewności. Potwierdziła skinieniem głowy. – Kiedyś się grało ze skopiowanych kart Tune-Dex. Ale tam było pełno błędów. Później powstała kompilacja pod nazwą *Prawdziwy zbiór*, ponieważ to, czym wcześniej dysponowali muzycy, było...

– Niech zgadnę – weszła mu w słowo, rozbawiona jak pensjonarka. – Falszywym zbiorem!

Hector, teraz zrelaksowany, też się roześmiał. Głośno i szczerze. Jakże się różnił od tamtego opryskliwego nieznanego z jej pierwszego poranka w Bostonie, kiedy naburmuszony opuścił jadalnię pensjonatu pani Hale. A przecież to było zaledwie kilka dni temu.

– Rzeczywiście ... – kontynuował.

Iris spoważniała.

– Pod koniec studiów w Berklee spiknąłem się z dwoma facetami, a dokładniej: z wykładowcami, którzy poskładali coś, co w kręgach jazzowych zaczęło funkcjonować jako *Prawdziwy zbiór*. Każdy z jazzmanów musiał mieć egzemplarz. – Oczy Hectora błyszczały, mówił coraz szybciej: – Istnieją setki niespisaných kawałków oprócz tych utrwalonych w nieformalnych zbiorach...

– A więc... istniały lewe zbiory?

– No tak. I żeby jeszcze bardziej zamieszać, *Prawdziwy zbiór* tak naprawdę też jest lewy. – Zaśmiał się.

– Rozumiem. (Nic nie rozumiała, lecz podziwiała jego entuzjazm).

– To wszystko jest bardzo poplątane. Goście, których utwory trafiały do tych lewych zbiorów, nie dostawali tantiem. A z kolei dla młodych muzyków jazzowych to był podstawowy materiał do nauki, ćwiczeń i prób improwizacji. Nazywano je fałszywkami, bo były nielegalne. – Zawiesił głos. – Kapujesz?

Lecz Iris siedziała teraz odwrócona do okna. Straciła wątek gdzieś pomiędzy „fałszywką” i „nielegalne”.

– Przepraszam. Gadam bez składu i ładu. Ale jak zaczynam nawijać o *Prawdziwym zbiorze*... bardzo się nakręcam. – Hector wystukiwał na kierownicy jak na keyboardzie melodię piosenki, która akurat leciała w radiu.

Iris zapatrzyła się na krajobraz Massachusetts. On nie rozumie – myślała. Prawdziwe, nieprawdziwe. Eeech. To bolało, a przecież nie mógł wiedzieć, że dotknął czulej struny związanej z jej macierzyństwem. Borykała się z tym problemem przez całe życie, czując się jak uzurpatorka.

Kiedy przejechali jakiś kilometr Western Massachusetts i znaleźli się na Berkshire Mountains, Hector odbił od autostrady zjazdem o nazwie Lily Pond. Jak zdradził Iris, to tutaj zwykł się zatrzymywać w drodze do Tanglewood.

– Tam we wrześniu odbywają się festiwale jazzowe – wyjaśnił. – Chyba czas rozprostować nogi i przekąsić co nieco z piknikowego kosza Grace. Co ty na to? – Postawił samochód na parkingu przy stawie.

– Dobrze – zgodziła się, ukrywając skrepowanie.

Im więcej o tym wszystkim myślała, tym bardziej czuła się niezręcznie. Co ona robi w głuszy Nowej Anglii w letniej sukience i z piknikowym koszem w dłoni? Niefrasobliwy nastrój gdzieś znikł, a wraz z nim flirciarskie zapędy. Południowe słońce jeszcze pogłębiało poczucie winy.

Hector znalazł koc w bagażniku.

– Grace pomyślała o wszystkim.

Uśmiechnął się. Stojąc kilka metrów od stawu, twarzą do wody, rozglądał się za miejscem, gdzie mogliby go rozłożyć. Teren nad tym brunatnym górskim jeziorem był kamienisty. Znad wody zawiewała delikatna bryza. Zbyt słaba, żeby ochłodzić policzki stojącej z koszem kobiety.

– Tutaj, Iris. Chodź w cień.

Hector znalazł drewniany stół nieco dalej od brzegu. W białym świetle prześwitującym przez sosnowe gałązki zobaczyła domek z kamieni. Na sznurze rozciągniętym pomiędzy dwoma drzewami wisały skarpetki i ręczniki plażowe, a podkoszulki udrapowane na krzakach przypominały porozrzucane flagi. Zza domku wypadła dziewczyna w stroju kąpielowym, ścigana przez młodego mężczyznę w samych spodenkach. Omijając kamienie, dobiegła do brzegu, zanurkowała i popłynęła, rozgarniając wodę rytmicznymi wymachami ramion.

Hector strzepnął sosnowe igły z ławki, nakrył ją kocem, a kosz z wiktuałami postawił na

stole.

– Madam – zaprosił Iris, wskazując miejsce teatralnym gestem.

Usiadła twarzą do jeziora, oparła się plecami o twardą krawędź stołu.

Mężczyzna, rozbryzgując wodę, wskoczył do niej za dziewczyną.

– Cholera! Ale zimna! – wrzasnął, wynurzając się. Płynął niezgrabnie, chaotycznie machając rękami, z głową ponad wodą. Daleko mu było do umiejętności dziewczyny, która dotarła już do ruchomej platformy i wynurzyła się przy drabince jak jakaś nimfa wodna. To była letnia scena godna amerykańskiego filmu, która wprowadziła Iris w jeszcze gorszy nastrój.

Hector opróżnił koszyk, obszedł stół i stając przed nią, podał jej kanapkę.

– Czy Grace już się pochwaliła, że robi najlepsze kanapki na świecie?

Nie patrząc na niego, odwinęła kanapkę i położyła z papierem na kolanach. Nie bardzo wiedziała, o czym z nim rozmawiać. Siedzieli w milczeniu. Po wodzie niosły się swobodne pokrzykiwania tamtej pary w wodzie.

– Opowiedz mi o niej – odezwał się Hector.

– O kim? O prawdziwej matce?

Drgnął zaskoczony, spuścił wzrok i wcisnął głowę w ramiona.

– Nawygadywałem bzdur. Co za głupek ze mnie. Wybacz.

– To nie twoja wina. – Położyła nietkniętą kanapkę na stole i zerwała się z ławki. – Co ja tu robię? – Odwróciła się, jakby chciała ruszyć przed siebie, jakby emocje nagle dogoniły myśli. – Nawet cię nie znam. – Wyglądziła zagniecenia na lnianej sukience, obciągając ją na udach. – Jestem w środku pustkowia z mężczyzną, którego dopiero co poznałam, w drodze na rozmowę z kobietą, która być może jest matką mego dziecka. Czy to się dzieje rzeczywiście?

Patrzył na nią rozżalonymi oczami skarconego dziecka.

– Muszę ochłonąć, bo zaczynam tracić rozum. – Padła na ławkę i zaczęła rozpinąć sandały. Zamierzała dla uspokojenia pobrozić w wodzie, lecz szybko zmieniła zamiar i zapięła je z powrotem. – Możemy już jechać? – odwróciła się do Hectora. – Nie chcę tu dłużej tkwić.

– Jasne, Iris. Oczywiście. Moja wina. Przepraszam. Chciałem ci pokazać to miejsce. Nie pomyślałem. Przepraszam, ja...

– Hectorze! Nie przepraszaj. To wszystko moja wina. Wmówiłam sobie, że to dobry pomysł pojechać do Hilary Barrett... z tobą. Po prostu usiłujesz mi pomóc. – Usiadła i zapatrzyła się na baraszkujących pływaków. – Widziałam ją tylko jeden raz – zaczęła. – Ale niewiele mogę o niej powiedzieć. Pamiętam jedynie, co miała na sobie. Była cicha. I bardzo ładna. Młoda, trochę powyżej dwudziestki. Robiła sympatyczne wrażenie, lecz cała ta sytuacja była niezręczna. Jeden raz dostajesz taką szansę. Masz nadzieję, że wszystko się ułoży. Że każde z nas robi dobrą rzecz. Dobrą dla... dla... Rose. Tak przynajmniej wszyscy czuliśmy. A teraz... och, teraz nie wiem, co robię!

– Wracajmy do Bostonu.

Hector podniósł się z ławki i zaczął zbierać rzeczy.

– Nie – zaprotestowała, nie odrywając wzroku od pływaków na platformie. – Zawieź mnie do Becket.

– Co?

– Zawieź mnie do Becket.

– Jesteś pewna?

Podszedł do niej wyprostowany i położył jej dłonie na ramionach.

Podniosła na niego oczy i przytaknęła ruchem głowy.

– Przynajmniej będę wiedziała, że próbowałam. Zdaję sobie sprawę, że szanse są niewielkie. Intuicja mi podszeptuje, że te poszukiwania są z góry skazane na przegraną.

Znowu poczuła to drżenie gdzieś w środku i na wszelki wypadek wysunęła się spod jego rąk.

– Lily Pond był kiepskim pomysłem – wyznał speszony.

– Poczułam się tu jak w potrzasku.

– Wybacz.

– Proszę, nie tłumacz się.

Zadzwoiła jego komórka.

– Lepiej odbiorę – powiedział, spoglądając na numer. Odszedł z telefonem nad jezioro, a ona w tym czasie spakowała kosz i koc do bagażnika. Rozmowa nie trwała długo, lecz kiedy wrócił i wsiedli do samochodu, wydawało się, że błądzi gdzieś myślami. Lily Pond został z tyłu, przed sobą mieli wstęgę drogi. Prowadził jedną ręką, drugą nerwowo przygładzał włosy. Ten mężczyzna, który jeszcze niedawno rozprawiał z takim ożywieniem o różnicy pomiędzy *Prawdziwym zbiorem* i fałszywkami, sprawiał takie wrażenie, jakby nagle zeszło z niego całe powietrze.

– Iris, powinniśmy porozmawiać o... Hilary – odezwał się, gdy przejechali z piętnaście kilometrów.

– Nie ma o czym mówić, dopóki się z nią nie spotkam. O ile... się z nią spotkam.

– Ona... – Zawahał się. Odruchowo pocierał skórę na szyi. – Jej może tam nie być – dokończył.

– Wiem.

Bliżej Becket było więcej lasów; rosły w nich jodły, brzozy, buki, dęby i kasztanowce. W życiu nie widziała jednocześnie tylu gatunków drzew. Domy z drewnianymi okiennicami stały na starannie przystrzyżonych trawnikach ocienionych klonami cukrowymi.

– Ładne miejsce. Każdy chciałby tu zamieszkać.

– Właściwie dlaczego chcesz się z nią zobaczyć? – Zabolęła ją to pytanie i widziała, że on to odgadł. – Nie, cofam to. Przepraszam. To nie moja sprawa.

Nie powiedziała mu o podejrzeniu raka piersi? Rzeczywiście, nie. Była tylko mowa o przyrzeczeniu danym Luke'owi, a on nie zapytał o powód obietnicy. Wszystko działało się tak szybko, a teraz byli tu.

Ach, miał rację, to nie jego sprawa.

– Co jej powiesz? – spytał.

– Nie wiem. – Wyjęła z torebki szczotkę do włosów. – Nie zastanawiałam się. Nie, inaczej. Myślałam o tym setki razy, lecz nie układałam sobie w głowie, co bym powiedziała, stając z nią twarzą w twarz. Wiem, to dobrze, że nikt nie wgłębia się w uczucia adopcyjnych matek, lecz ja często o niej, o Hilary, myślałam. Przez te wszystkie lata. Przede wszystkim żałowałam, że nie mogę jej powiedzieć, jak dobrze Rose sobie radzi.

Tak naprawdę w ostatnich dniach myślała wyłącznie o tym, co powie Hilary, jeśli ją odnajdzie.

– Dziękuję – wyszeptęła. – Dziękuję, właśnie to jej chciałam zawsze powiedzieć; dziękuję za Rose.

Hector zwolnił i na luzie dotoczył się do ścieżki, zatrzymując jaguara przed numerem 43.

– To ta ulica. Valley View Terrace.

Spojrzała na niego, a potem na mały dom z białą werandą, kryty szarym gontem. Przed frontem i po obu stronach ścieżki rosły kuliście przycięte bukszpany, podobne do zielonych koralików różańca.

– Mam pójść z tobą?

– Nie. Sama to muszę załatwić.

Wysiadła z samochodu. Poprawiła sukienkę, przygładziła włosy i ruszyła ścieżką do domu. Przed drzwiami obejrzała się na Hectora. Potem weszła po schodkach na werandę i nacisnęła dzwonek.

Chwilę później drzwi otworzyła wysoka kobieta około czterdziestki z obciętymi po męsku ciemnymi włosami.

– Słucham?

Iris z trudem oddychała.

– Pani Hilary Barrett?

– Tak.

Iris, wyciągając rękę za siebie, przytrzymała się ściany werandy. Omal nie spadła z wąskich schodków. Kobieta przyglądała jej się z rezerwą.

– Czy mogę z panią porozmawiać?

– Jeżeli chodzi o jogę, nie prowadzę już zajęć w domu. Dali pani adres w hotelu? Zawiadomiłam ich, że rezygnuję z indywidualnych sesji.

Nie poznała mnie. Ale ja też bym jej nie poznała.

O dziwo, Iris ulżyło, że może jej powiedzieć, iż nie przyszła na jogę.

– Ja nie z hotelu.

– W takim razie o co chodzi?

– Czy mogę wejść?

Kobieta stała za ekranem przeciwko owadom. Jej postać zacieśniała oczka metalowej siatki, lecz Iris dostrzegła, że ma na sobie strój do ćwiczeń, czarny jak jej włosy.

– Nie zajmę dużo czasu.

– Pani jest świadkiem Jehowy?

– Nie. Przyjechałam z Irlandii i...

– Chodzi o nocleg? Skierowali panią do mnie z hotelu? Co chwila tu kogoś przysyłają, jak brakuje im wolnych pokoi. Kiedyś wynajmowałam podczas koncertów w Tanglewood, ale już z tym skończyłam. Przykro mi. Muszę z nimi załatwić, żeby...

– Przepraszam, pani Barrett, nie chodzi o pokój. Chcę tylko porozmawiać... zapytać. – Zawiódł ją głos. To było trudne. Wręcz ponad siły. – Czy mogę wejść?

Hilary Barrett otworzyła ekran z metalowej siatki i stanęła obok Iris, zamykając za sobą drzwi wejściowe. We dwie ledwo mieściły się na małej werandzie. Teraz Iris zobaczyła jej oczy. Były brązowe jak u Rose, lecz nie miały takiego migdałowego kształtu. Kobieta, mrużąc oczy, przesłoniła je dłonią przed słońcem. Palce miała smukłe jak Rose, a na nich kilka srebrnych pierścionków. Jej córka nie nosiła srebra. Czy to na pewno z nią spotkała się w Dublinie dwadzieścia lat temu? Nie potrafiła jednoznacznie stwierdzić.

– W takim razie o co chodzi? Pani budzi we mnie niepokój.

– Naprawdę przepraszam, że panią nachodzę. – Iris zerknęła za siebie na samochód, lecz Hectora tam nie było. Gdzie poszedł? Nie słyszała trzaśnięcia otwieranych czy zamykanych drzwiczek. Kręciło jej się w głowie. – To dla mnie takie kłopotliwe. Nie bardzo wiem, od czego zacząć.

– Wspomniała pani, że przyjechała z Irlandii...

Iris ściągnęła torbę z ramienia i skrzyżowała stopy.

– Zawsze chciałam tam pojechać – dodała kobieta.

– Co?! – podchwyciła Iris.

– Podobno tam jest bardzo ładnie. I słyszałam, że ludzie są życzliwi.

– Pani tam... – zająknęła się – nigdy nie była?

– Nie – zaprzeczyła jej rozmówczyni, przechylając lekko głowę. – Owszem, byłam

w Europie. No, wie pani, wyjazd z uczelni jeszcze za studenckich czasów, ale...

Iris pokręciła głową. Co ona mówi? Nigdy nie była w Irlandii?

Kobieta czekała na wyjaśnienia. Uśmiechnęła się nawet i rozejrzała na boki, jakby podejrzewając, że może to jakiś żart i za chwilę ktoś wyskoczy zza samochodu i krzyknie coś bez sensu.

– W takim razie pani nie jest prawdziwą Hilary Barrett – oznajmiła Iris.

– Słucham?

– Chciałam powiedzieć... nie jest pani tą osobą, której szukam.

Kobieta milczała.

– I nigdy nie mieszkała pani w Bostonie na St Botolph Street?

– Wie pani co, to wszystko jest jakieś dziwaczne. Albo powie mi pani, o co właściwe chodzi, albo...

Iris bliska płaczu bezradnie rozejrzała się wokół siebie.

– Iris?! – doszło ją z chodnika wołanie Hectora. Stał przy samochodzie po stronie kierowcy.

– Proszę wybaczyć – wydusiła z siebie, odwróciła się i chwiejnie ruszyła do samochodu.

Oszołomiona Hilary Barrett stała wpatrzona w jej plecy. Oparła ramiona na biodrach jak joginka szykująca się do pozycji wojownika. Potem zeszła z werandy na ścieżkę, gotowa podejść do jaguara, lecz Hector ją powstrzymał, unosząc dłonie takim gestem, jakim zatrzymuje się ruch. Obszedł samochód i otworzył drzwi dla Iris. Usiadła ze zwieszoną głową, a on wrócił na swoją stronę i też wsiadł do samochodu. Hilary Barrett stała w połowie ścieżki, tam gdzie ją zatrzymał.

– To nie ona – wysłuchała Iris, z trudem chwytając oddech.

– Wiem – powiedział.

– Co?! – Odwróciła się do niego.

– Hilary, której szukasz, nie żyje.

Rozdział dwunasty

Rowan bez butów i z poluzowanym krawatem leżał na trawie przy siedemnastym dołku. Pierce znalazł go tam kilka godzin po rozejściu się żałobników. Obok stała urna z prochami Burdy'ego ozdobiona motywem w niebieskie kwiaty. Na niebie półksiężyc, Wenus i Jupiter tworzyły trójkąt.

Przez jakiś czas bracia się nie odzywali. Pierce kołysał się na piętach na idealnie utrzymanym greenie. Trawa miękko uginała się pod jego butami.

– Tak myślałem, że cię tu znajdę. Ostatni przystanek Burdy'ego, co? – przerwał ciszę. Wysoki i postawny, nie należał do ludzi, którzy zniżają się do siadania na wilgotnej, tak jak w tej chwili, trawie. Taka pozycja wydawała mu się niezręczna, jednak w końcu, widząc, że brat nie zamierza się podnieść ani nawet otworzyć do niego ust, usiadł obok niego.

– Nadal tam jest? – zagadnął po chwili, wskazując na urnę.

– Wszystko, co z niego zostało – odparł Rowan.

Pierce z łokciem opartym na zgiętym kolanie, wpatrzony w ciemność, usiłował ocenić stan umysłu brata.

– Dalej, Ro, wstawaj. – Klepnął go. – Czas wracać do domu. Już się skończyło.

Rowan odwrócił się do niego.

– Rzeczywiście? A może się właśnie zaczęło?

– Och braciszku. – Pierce westchnął. – Złota myśl z książki aforyzmów o tym, że życie toczy się dalej? Bardzo głębokie. – Zaśmiał się półgębkiem. – No, chodź już. Dość tego.

Wstał z trawnika i podał mu rękę. Rowan ociągał się, lecz widząc, że brat nie ustąpi i czeka z wyciągniętą dłonią, pozwolił się w końcu poderwać z ziemi. Potem pochylił się po urnę. Powietrze wypełniało cykanie świerszczy. Pierce przystanął i udał, że robi zamach kijem golfowym.

Rowan go wyminął.

– Ona miała dziecko – rzucił za siebie, nie bardzo wiedząc, jak przekazać to, co tak ścięło go z nóg.

Pierce zastygł w półobrocie.

– Co?! Kto taki?!

– Hilary. – Odwrócił się. – Hilary Barrett.

Odcinek fairwaya był nieoświetlony. Ledwo widzieli się w ciemnościach.

– Co ty mówisz? – Pierce złapał go za ramię. – Hilary?

– Powiedziała mi to dawna sekretarka Burdy'ego.

– Ta... jak jej tam?... Peggy Dillon? Tak mi się zdawało, że ją rozpoznałem. Co dokładnie powiedziała?

– Że widziała ją w Dublinie. W ciąży.

– Boże! Kiedy?

– W Dzień Świętego Patricka.

– Nie, chodzi mi o rok.

– Jedyne, kiedy była w Irlandii. Na rok przed śmiercią. Policz sobie!

Rowan ruszył przed siebie z urną w dłoniach. Stopy chłodziła mu trawa, lecz głowa zdawała się płonąć. Pierce podążył za nim.

– Nie obraż się, ale dlaczego myślisz, że...

– Bo to było pół roku po tym, jak ze sobą zerwaliśmy.

– Jednak... mogło nie być...

– Jednak. Nieważne.

Postawił urnę, przeciągnął dłońmi po trawie i przeczesał włosy wilgotnymi palcami.

Pierce zaczął na niego i razem ruszyli w stronę domu Louise, jakby szli za niewidzialną piłką. Księżyc skrył się za drzewami rosnącymi wzdłuż fairwaya. Na ciemnej murawie poświata kładła się jasnymi plamami i odbijała się metalicznie od markerów wskazujących kołeczki.

– Wejść do domu, Ro. – Pierce położył mu dłoń na ramieniu. – Ja wracam do klubu zrobić porządek.

– Pójdę z tobą.

– Nie – zaproponował stanowczo. – Matka chce z tobą porozmawiać.

– Co takiego zrobiłem? – zapytał cicho, spoglądając czujnie na brata.

Stół w kuchni, nakryty na trzy osoby, był przygotowany na rano. Louise w różowym bawełnianym szlafroku, z włosami nawiniętymi na wałki na czubku głowy i z pięcioma niedopałkami w szklanej popielniczce, usiłowała ocenić stopień upojenia alkoholowego syna, kiedy stawiał urnę.

– Przepraszam, mamó. Coś się wydarzyło.

– Tyle tylko masz do powiedzenia? W takim razie wytłumacz... proszę, gdzie się podziewałeś, kiedy należało pożegnać się z gośćmi.

– Usiądź, mamó.

– Nie mam ochoty. Nasiedziałam się, czekając na ciebie. Wysłałam Pierce'a, żeby cię odszukał. Myślałam... myślałam...

– Przestań! – przerwał jej ostro. – Proszę – dodał łagodniej, wyciągając do niej ramiona. – Muszę ci coś powiedzieć. – Usiadł i wziął do ręki szklankę. – Chyba będziesz musiała mi pomóc. Jak bardzo pragnęła to usłyszeć. Przysiadła obok niego i nakryła dłońmi jego ręce.

– Co drugi wieczór w domu kultury są spotkania.

– Nie.

– Rowan, kochanie, nie opieraj się. To jedyny sposób. Przynajmniej na razie.

– To nie to, co myślisz. – Cofnęła dłonie.

– Nie zbywaj mnie w taki sposób. Właśnie tego nie znosiłam u twego ojca!

Rowan spojrział z żalem na matkę. Te słowa go zabolowały. Przygnębiony kręcił głową. Łzy same cisnęły się do oczu. Przełknął ślinę, tłumiąc szloch. Mijały minuty. Louise bezgłośnie otwierała i zamykała usta. Wreszcie poderwała się od stołu i podeszła do zlewu. A potem do lodówki. Na koniec z powrotem usiadła przy stole. Rowan nie widział Pierce'a, lecz słyszał szczyknięcie siatkowych drzwi i wiedział, że brat czeka w korytarzu.

– W takim razie powiedz mi! – Louise nie wytrzymała. – O co chodzi?

Przeraził ją wyraz jego twarzy.

– Boże! Coś ty zrobił?

– Mamó...

– Mów wreszcie, co się dzieje!

– Uspokój się, proszę.

Pierce stanął za Rowanem, położył mu dłoń na ramieniu i potrząsnął nim delikatnie.

– No stary, śmiało. Będzie dobrze – Odczekał chwilę, dając bratu szansę. Ponieważ ten milczał, zwrócił się do Louise: – Być może jesteś babcią.

Zatrzepotała powiekami i zastygła z rozchyłonymi ustami. Spojrzała najpierw na Pierce'a, a potem na Rowana. Ostre światło w kuchni pogłębiało wyraz znużenia na jej twarzy.

– Nie rozumiem.

– Jest późno. Mamy za sobą ciężki dzień – odezwał się Pierce.

– Hilary? – szepnęła, patrząc na Rowana przez łyżę.

Pierce podszedł do niej, pochylił się i pocałował ją w policzek.

– Chyba wystarczy na dziś. Rowan powie nam więcej jutro przy śniadaniu. – W pewnym sensie i Louise, i Rowan z ulgą przyjęli jego zdecydowany ton, bo dawał pretekst do zakończenia tej rozmowy. Nie draż dalej, mówiły jego oczy, wpatrzone w matkę. – Musisz się wyspać. Rowanowi też się przyda trochę snu. Dzisiaj już do niczego nie dojdziemy.

Mieli wrażenie, że w jednej chwili w tej jasnej kuchni na nich wszystkich spłynęło błogosławieństwo Burdy'ego. Urna z jego prochami zdawała się emanować niebieskawą aurą. To jak klucz otwierający nowy wątek w życiu – pomyślał Rowan, podchodząc do matki i pomagając jej wstać. Zdobył się nawet na słaby uśmiech. Minę cierpiętnika zastąpił wyraz nieludzkiego zmęczenia. Louise wzięła go pod ramię, a on po raz pierwszy od niepamiętnych czasów pozwolił się poprowadzić.

*

Louise z samego rana poszła po słodkie pieczywo, a potem wszyscy troje w kuchni przy kawie usiłowali poskładać w całość skąpe informacje.

– Gdyby Hilary rzeczywiście miała dziecko, jej rodzice musieliby o tym wiedzieć – stwierdziła Louise.

– Może tak, a może nie – wtrącił Pierce.

– Gdyby wiedzieli, czemu nie mieliby mi powiedzieć o dziecku? – zastanawiał się Rowan.

Pierce wrócił myślami do pogrzebu Hilary.

– Ile to było lat temu? Dwadzieścia?

– Siedemnaście. Zmarła piętnastego lutego tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku.

To był mroźny lutowy dzień. Zachodziła obawa, że śnieżycy uniemożliwi uroczystość. Louise dobrze zapamiętała złamanego bólem Jacka, ojca Hilary, i jego gniewne spojrzenie wyraźnie skierowane na jej syna. Rowan musiał przyznać, że ten gniew był poniekąd uzasadniony. Zerwał zaręczyny z Hilary raczej w mało elegancki sposób. Był za młody. Oboje byli za młodzi na małżeństwo. Od tamtego czasu nie utrzymywali ze sobą kontaktów, lecz każdego roku piętnastego lutego myślał o Hilary, bo gdzieś głęboko w nim nadal tliła się miłość do niej. Przecież mogliby się kiedyś pobrać, mieć dzieci i żyć razem długo i szczęśliwie. Z upływem lat narastało w nim przekonanie, że popełnił błąd.

Poznał Hilary na prywatce u ich wspólnego znajomego, Scotta, w jakimś domu niedaleko Harvard Square. Obaj grali w kapeli jazzowej: Scott na gitarze elektrycznej, a on na saksofonie tenorowym. Scott i Hilary byli na ostatnim roku studiów w Bostonie, a Rowan kończył studia w pobliskim Cambridge.

Hilary była wysoka. Brązowe włosy nosiła przycięte do ramion. Tamtego zimnego wieczoru miała na sobie krótki kożuszek, dżinsową spódnicę z wystrzępionym własnoręcznie dołem, sznurowane botki i czarne rajstopy. Przyszła sama na prywatkę, bo Scott jej powiedział, że koniecznie chce ją poznać z takim jednym facetem. Sprawiała wrażenie pewnej siebie, może nawet nieco dumnej, a kiedy rozmawiała ze Scottem, nie musiała się rozglądać, żeby zgadnąć, kogo on miał na myśli. „Coś mi mówi, że jesteście sobie przeznaczeni” – skomentował Scott, gdy ich sobie wreszcie przedstawił.

Tamtego pierwszego wieczoru Rowan bardzo dużo się o niej dowiedział. Pochodziła z tej samej części stanu Nowy Jork co on. To niewątpliwie ułatwiało rozmowę. Wspominali miejsca,

w których bywali w Westchesterze, i odkryli, że oboje lubią chodzić do starego kina Bedford Village Playhouse i do włoskiej restauracji U Nina. Umówili się, że podczas następnego pobytu „w domu” pójdą na jakiś film i na kolację. Może Scott miał rację. Może byli sobie przeznaczeni.

W Bostonie Hilary mieszkała w kawalerce. Jak zaznaczyła, wszędzie poruszała się rowerem. Namiętnie słuchała Bonnie Raitt, Bruce’a Springsteena oraz irlandzkiego wokalisty Elvisa Costella. Jej gestykulacji towarzyszyło pobrzękiwanie mnóstwa srebrnych bransoletek na przegubie lewej ręki. Rowanowi kojarzyło się ono z dźwiękiem cymbałów ogłaszających wejście koronowanej głowy. Podobało mu się, że w uszach ma dwa różne kolczyki, lubi zielony kolor oraz irlandzką poezję i że planuje wybrać się we wrześniu do Dublina, aby pisać pracę magisterską w Trinity College. Rowan opowiedział jej o Burdym i wspominał o irlandzkich korzeniach swojej rodziny.

Pamiętał, że gdy ktoś przygasił światło i w zatłoczonej kuchni zrobiło się ciemno, pocałował ją i zaprosił do siebie. Nawet teraz, gdy zamykał oczy, widział, jak pomachała mu na pożegnanie i poszła na przystanek na Harvard Square, żeby złapać kolejkę do Brighton. Tamtego pierwszego wieczoru nie przyjęła zaproszenia na wspólną noc.

*

Teraz, dwadzieścia lat później, Rowan jechał Saw Mill River Parkway. Louise sprawdziła w książce telefonicznej – Barrettowie nadal mieszkali na Cedar Lane 57 – dwadzieścia minut drogi od ich domu. Matka i brat chcieli mu towarzyszyć.

– Przyda ci się moralne wsparcie, braciszku?

– Nie, Pierce, dzięki. Muszę sam to załatwić.

Upał utrzymywał się na całym północno-wschodnim wybrzeżu od Jersey Shore aż po Boston, lecz on wyłączył klimatyzację i jechał z opuszczonymi szybami. Potrzebował kontaktu z naturą. W niedzielny poranek ruch na drodze był niewielki. Wiele godzin spędził na tej autostradzie, jeżdżąc samochodem w odwiedziny do Burdy’ego i matki. A czasem wsiadał do pociągu, którego trasa wiodła wzdłuż rzeki, dopływu Hudson River. Burdy kiedyś mu powiedział, że Indianie nazywali ją Nepperhan, czyli „wartki strumyk”. Czasem odczuwał ogromne przywiązanie do tego krajobrazu, tutejszej fauny i flory oraz poetyckich nazw okolicznych miejsc.

Hilary miała podobne odczucia. Gdy już byli ze sobą, wybrali się któregoś razu do Chatham na nocleg w wiejskim zajeździe. Jechali przez Hudson Valley autostradą Taconic State Parkway. Pamięta, jak tłumaczył jej, że Taconic jest najlepszym przykładem idealnego szlaku komunikacyjnego. To autostrada perfekcyjnie wkomponowana w rzeźbę krajobrazu. Cierpliwie słuchała jego wywodu o projektancie, którego prace poznał na Harvardzie.

– To ten gość od Unisphere – wyjaśnił. – No wiesz... od tej gigantycznej kuli ziemskiej. Mija się ją, jadąc na Long Island przez Queens.

– Widziałam. Jest piękna...

– Ponad trzysta dwadzieścia tysięcy kilogramów samej stali. Największy glob na świecie. Ze wstydem wspominał teraz, jak się przed nią popisywał, zachwycony własnym tokowaniem. Dobrze zapamiętał tamten weekend. Kończył się wrzesień, liście zmieniały kolory. Hilary wyjeżdżała do Irlandii.

Zjechał z autostrady na drogę 120 zjazdem numer 32 i odbił na Chappaque. Kojarzył, że dom powinien być gdzieś niedaleko, lecz dwukrotnie źle skręcił, zanim trafił na Cedar Lane. Zaparkował przy krawężniku przed aluminiową skrzynką na listy z numerem 57, ozdobioną kalkomanią przedstawiającą gęsi. Ich widok przypomniał mu, że Jack Barrett był w przeszłości redaktorem naczelnym czasopisma „Field & Stream”. Amerykańska flaga wielkości dużego

ręcznika plażowego wisiała zatknięta pod czarnym dachem werandy białego, krytego gontem domu.

Obok Rowana, na fotelu dla pasażera, leżały nuty pieśni, którą wybrał na pogrzeb Burdy'ego: *Boża łaska zaprowadzi mnie do domu*.

Z ciężkim westchnieniem wysiadł z samochodu.

Dom Barrettów, zbudowany w neokolonialnym stylu, z czarnymi okiennicami i z dwoma garażami, stał na niespełna półhektarowej działce. Przed frontem, na starannie przystrzyżonym trawniku, po lewej stronie rósł stary klon czerwony obsadzony dookoła runianką japońską, a po prawej pyszniła się utrzymana w tradycyjnym stylu różana rabata. Całość prezentowała się bezpretensjonalnie i elegancko. Frontowe drzwi prowadzące z werandy do domu były otwarte. Rowan widział hol przez ekran z metalowej siatki. Po lewej stronie u stóp schodów leżały rzucone na stertę buty: para mokasynów, kalosze i adidas.

Rowan zapukał w drewnianą framugę i czekał.

Z wnętrza wyłonił się mężczyzna z czarnym labradorem. Miał na sobie czarny T-shirt i krótkie spodnie khaki, a na głowie czapkę bejsbolową z logo New York Yankee.

– Kogo my tu widzimy, Bullet? – Pochylił się nad psem i podrapał go pieszczotliwie po łbie. – Co, staruszkę? – Odwrócił się do wejścia. – Przyjaciół czy wróg? – Nie otworzył siatkowych drzwi.

– Dzień dobry, panie Barrett.

Przypatrywał się przez chwilę przybyszowi. W parę sekund minę mówiącą o przyjaznym zaciekawieniu zastąpił grymas udręki.

– Czego chcesz?

Na dźwięk głosu swego pana Bullet najeżył się i wyprężył ogon.

– Minęło dużo czasu... – zaczął Rowan.

– Siedemnaście lat i parę miesięcy. Nie dość dużo.

– Chciałbym z panem porozmawiać... bardzo proszę.

– Cokolwiek to może być, nie jestem zainteresowany.

Bullet obnażył kły i warknął.

Jack Barrett był w wieku ojca Rowana. Dobiegał siedemdziesiątki. Stał nieporuszenie w korytarzu, zasłaniając sobą wejście.

– To ważne.

– Jack? Jack? Z kim rozmawiasz?

Stanęła za nim wysoka kobieta z posiwiałymi włosami upiętymi w elegancki kok.

W dłoni w ogrodniczej rękawicy trzymała sekator.

– Pani Barrett, panie Barrett... Ja muszę to wiedzieć... czy Hilary?

– Blake! – Jack podniósł głos. – Ty...

– Jack – upomniała go cicho Marjorie Barrett, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Opanuj się, proszę. – Wysunęła się przed męża. – Przepraszam, Rowanie. Minęło tyle czasu. – Podeszła i otworzyła ażurowe drzwi. – Wiem, co cię tu sprowadza.

– To prawda? Czy Hilary? Czy ona? Czy ona miała dziecko?

Te pytania z trudem przeciskały mu się przez krtań. Jack Barrett wpatrywał się w niego przez moment, poruszając drżącymi ustami, po czym odszedł, stawiając ciężko kroki. Marjorie jakiś czas stała ze spuszczoną głową i wzrokiem wbitym podłogę, po czym wycofała się w głąb domu.

W pobliżu nie było krzesła czy ławki, na którą Rowan mógłby się osunąć. Stał, chwiejąc się i przyciskając dłonie do zwieszanej głowy. Szloch wstrząsał jego ramionami. Napięcie, które kumulowało się w nim niczym tornado, było gotowe zwalić go z nóg. Żeby nie upaść, zaczął

krążyć drobnymi krokami po żwirowej ścieżce.

Gdzieś z wnętrza domu dochodziło szczekanie Bulleta.

Musiał coś zrobić, żeby jakoś odzyskać kontrolę nad wirującym wokół niego światem. Wziął w dłoń garść żwiru i cisnął na trawnik. Żalotne. Zgięty wpół, z dłońmi wspartymi na kolanach, z trudem chwycił hausty powietrza wpatrzony w krąg runianki japońskiej pod klonem czerwonym. Miał ochotę rwać ją całymi garściami.

W pewnej chwili ktoś otworzył drzwi. Pani Barrett szła ku niemu drobnymi krokami. W jej brązowych oczach zobaczył Hilary. Cofnął się, kiedy się zbliżyła.

– Przepraszam – wydusił, wypuszczając z dłoni resztę ostrych kamyczków.

Wyciągnęła do niego rękę.

– Miałam nadzieję, że kiedyś się pojawisz. Nie wiedziałam, jak, dlaczego i kiedy to się stanie, lecz wierzyłam, że do tego dojdzie, bo chciałam, byś się dowiedział. Narodziny dziecka są cudem. Niezależnie od okoliczności. To znak, że świat będzie istniał, z nami czy bez nas, lecz będzie trwał. A my jesteśmy jego częścią. – Przelotnie dotknęła jego policzka.

Stał przygarbiony na wyłożonej płytami ścieżce.

– Czemu mi nie powiedziała? Dlaczego wy nic mi nie powiedzieliście?

– Było za późno. Kiedy dowiedzieliśmy się o dziecku, ani ty, ani my nie mogliśmy już nic zrobić. Stało się tak, jak chciała Hilary. Przykro mi. To był błąd... – Marjorie przez łzy obserwowała emocje malujące się na twarzy Rowana.

– Nie. To mój błąd. Moja wina. Nie powinienem zrywać zaręczyn. Pani Barrett, w moim życiu nie było nikogo takiego jak Hilary... odkąd...

– Masz – przerwała mu. – Znaleźliśmy to po... po... Weź... – Głos uwiązł jej w gardle. Podała mu starannie złożoną kartkę z notatnika w szczelnie zamkniętym foliowym woreczku. – Hilary chciała, żeby ten list do ciebie trafił. On wszystko ci powie.

Rozdział trzynasty

Gdy Pierce dotarł do The White Horse Tavern w Chappaqui, w lokalu nie było nikogo poza Rowanem. Siedział przy stoliku przy oknie, wpatrzony w kartkę w dłoniach. Złożył ją na widok brata. Pierce szybkim krokiem podszedł do stolika i zajął krzesło naprzeciw niego. Obaj jakiś czas siedzieli nieruchomo. Pierce wpatrywał się badawczo w twarz brata, a on z kolei nie odrywał wzroku od trzech małych chłopców siedzących na ławce po drugiej stronie ulicy. Cała trójka dokazywała, śmiejąc się radośnie.

– I co? – spytał Pierce.

Barmanka, młoda kobieta w koszulce polo i w szortach, podeszła do stolika.

– Jeszcze raz to samo – poprosił Rowan. – Chcesz coś? – zwrócił się do brata.

Pierce spojrział na pustą szklanę, a potem na kelnerkę.

– Nie. Dzięki. Nie mam ochoty. Może trochę wody. Chłopie. – Przeniósł wzrok na brata.

– Nie za wcześnie na to? Wróćmy najpierw do matki.

Kelnerka wzruszyła ramionami i odeszła.

Rowan beznamyślnie przyjął ten komentarz. Miał prawo się wkurzyć, ale się nie wkurzył. Coś się z nim działo. Nie bardzo wiedział co.

– Pozwól, że przytoczę słowa wielkiego Irlandczyka Edmunda Burke’a – powiedział. – Być może otwieram nową kartę.

– Słucham?

– To coca-cola. Piję colę.

– Dobrze. Bardzo dobrze. – Zmieszał się. – Wybacz. – Poprawił się na krześle, jakby dłużej nie mógł usiedzieć na miejscu. – Powiesz mi wreszcie, co się stało? – zapytał rozdrażnionym tonem, podnosząc się powoli od stolika.

– Tak. Usiądź.

– Czy na wszelki wypadek powinienem się napić?

Barmanka postawiła colę przed Rowanem i wymownie wzniosła oczy.

– No dobra, mów. – Pierce ponaglił brata, kiedy kobieta znalazła się poza zasięgiem ich głosu.

Rowan zrelacjonował mu wizytę u Barrettów. Warczący pies, Jack, klon czerwony, amerykańska flaga, Marjorie i wreszcie ten list. Pokazał kartkę, ale mu jej nie dał.

– Hilary go napisała, lecz nigdy nie wysłała. Rodzice znaleźli go w jej rzeczach.

– Jezu. Jest zaadresowany do ciebie.

Rowan znowu spojrział za okno. Kobieta w wieku ich matki zawiązywała sznurowadła jednemu z chłopców.

– Tak, jest zaadresowany do mnie. – Oderwał wzrok od okna. – Ona rzeczywiście urodziła. Dziewczynkę.

Być może Pierce był w pewnym sensie przygotowany na coś takiego, a jednak wyraz jego twarzy świadczył o szoku. Odruchowo wyciągnął rękę i nakrył nią dłoń brata.

– Jack chyba mnie obwinia o śmierć Hilary.

– Więc trzymali to w tajemnicy przed tobą? I... – Szukał słów. – Przepraszam, Ro. Ale to... – podniósł oczy – ...to jest... – nie dokończył.

Patrzył z napięciem w twarz brata, usiłując odgadnąć, co on w tej chwili czuje.

Tymczasem Rowan był dziwnie spokojny. Obudziła się w nim dawno uśpiona determinacja. Zbyt

wiele lat ignorował podstępny sposób, w jaki alkohol wkraadał się w jego życie, zatruwając umysł niczym powoli rozrastający się grzyb. Oszukiwał się, lecz cały czas jakiś cichy głos w jego głowie podpowiadał, że gdyby tylko mógł... gdyby tylko potrafił zniszczyć tę pleśń, jego życie stałoby się lepsze.

- Jadę do Irlandii.
- Spokojnie.
- Muszę. Muszę się dowiedzieć, czy ona żyje. I... i... hm...
- Rozumiem.
- To wrażenie jest dziwnie... znajome. Wiesz? Kiedy tata nas zostawił, poprzysiągłem sobie, że nigdy nie postąpię tak jak on.
- Zaraz, chwilę, chłopie, ty nikogo nie zostawiłeś. To nie to samo. No nie?
- Taaak. Niby tak. Niemniej... jaki ojciec, taki syn.
- To nie do końca prawda, Ro.

*

Następnego dnia po południu Pierce odwiózł Rowana na lotnisko Kennedy'ego na wieczorny samolot do Dublina. Rowan zadzwonił do firmy, informując, że bierze tydzień wolnego i że w razie czego można będzie go złapać przez komórkę.

- Szkoda, że nie mogę polecić z tobą. – Pierce westchnął. – Mama kazała mi dać ci to.
- Co to?
- Nie pytaj. – Pierce przewrócił oczami. – Po prostu rozrzuc to gdzieś tam.

Rowan w odpowiedzi zrobił podobną minę. No tak. Prochy Burdy'ego.

Na ten lot zostały jedynie miejsca w klasie biznesowej, lecz on nie chciał czekać parę dni na tańsze bilety. Gdy usadowił się w samolocie, zrezygnował z powitalnego szampana i poprosił o sok pomarańczowy. Metodą małych kroków – powiedział sobie w myślach.

Nigdy nie był w Irlandii. Burdy zawsze mu obiecywał, że zabierze go tam na wycieczkę golfową i pokaże pomnik swego przodka, wielkiego patrioty Roberta Emmeta, w parku St Stephen's Green. Jednak nigdy do tego nie doszło. Czemu? No bo Rowan nigdy nie miał czasu. Oto dlaczego. To była wyłącznie jego wina. Kolejna stracona szansa. Droga do wyrzutów sumienia jest wybrukowana zaniedbaniami. Gdyby się nad tym zastanowił, nazbierało się w jego życiu spraw, których żałował. Po zerwaniu z Hilary były inne kobiety, lecz żaden z jego związków nie trwał długo i nie miał większego znaczenia. Szkoda, że nie starał się bardziej. Żałował też, że zaniedbywał kontakty z matką. Zbyt długo wszelkie wyrzuty sumienia uśmierzał alkoholem.

Burdy kiedyś go ostrzegł, że odziedziczył skłonność do alkoholu, że ma ją w genach. „Mówię ci o tym ten jeden jedyny raz, bo wiem, że znajdziesz własny sposób. Nie musisz sięgnąć dna. To jest jak jazda windą w dół, lecz w każdej chwili można wysiąść”.

Rowan włożył rękę do kieszeni i namacał irlandzką trzypensówkę z harfą i z zajacem, amulet Burdy'go na polu golfowym.

*

O siódmej rano, w równo padającym deszczu, taksówkarz Turek wysadził go przed hotelem Merrion w centrum Dublina. Wysiadając z samochodu, Rowan zadarł głowę, wystawiając twarz na deszcz. Powiódł spojrzeniem po kolumnadzie z szarego granitu i imponującym portalem gmachu z kopułą w kolorze ołowiu po drugiej stronie ulicy. Budynek rządowy, jak poinformował go taksówkarz. Chociaż był obcokrajowcem, podczas jazdy wskazywał mu różne znane miejsca. Croke Park. Custom House. Liffey. Bank of Ireland. Trinity

College.

– Dzień dobry, witamy. Czy mogę wziąć pański bagaż, sir? – zwrócił się do niego odzwierny, mężczyzna w podeszłym wieku, wystrojony we frak i wysoki kapelusz. Stał w wyczekującej pozie przy wejściu.

Rowan zazwyczaj nie zatrzymywał się w miejscach z portierami w wysokich kapeluszach, lecz tym razem zależało mu na hotelu blisko ośrodka adopcyjnego. Jego karta kredytowa dozna kolejnego uszczerbku.

– Dziękuję, sam zaniosę.

Nie ruszając się z miejsca, rozejrzał się po ulicy.

– Czy życzy pan sobie parasol, sir?

– Czy tam jest Merrion Square? – Rowan ruchem głowy wskazał na prawo.

– Tak. Dokładnie tam, sir. A National Gallery znajduje się po przeciwnej stronie ulicy.

Ale jeszcze jest zamknięta. Na pewno nie życzy pan sobie, żebym się zajął pańskim bagażem?

– Nie. Dziękuję. Pójdę się zameldować.

Rowan ruszył za odzwiernym do lobby, gdzie recepcjonistka, wysoka blondyna o imieniu Sabine, wydała mu klucz, a kilka minut później młody człowiek z akcentem ze środkowej Europy zaprowadził go do apartamentu z widokiem na ogród. Jak dotąd jedynym rodowitym Irlandczykiem, jakiego tu spotkał, był stary portier z wyraźnym (jakby w ramach rekompensaty) irlandzkim zaśpiewem.

– Ma pan pokój o podniesionym standardzie, sir – poinformował go młody człowiek. – Czy mam zademonstrować wyposażenie?

– Dziękuję. Dalej już sam dam sobie radę.

Rowan wręczył mu pięć euro, gdy tamten oprowadzał go po wyłożonej marmurem łazience.

Przygnębiony i oszołomiony po locie, stanął przy oknie i zapatrzył się na hotelowy ogród z połyskującym stawem, z żywopłotem z przyciętych bukszpanów, kwitnącymi dzwonkami, białymi liliami i z bardzo wiekową magnolią. Trochę żałował, że nie zgodził się, aby matka towarzyszyła mu w podróży. Ale dopiero co zmarł Burdy. Dobrze, że Pierce mógł dłużej zostać. Zajmie się mamą i uporządkuje sprawy po dziadku.

Oparty o ramę okna, patrzył na ogród i układał w głowie to wszystko, czego się dowiedział. Hilary miała dziecko – dziewczynkę; oddała ją do adopcji w Irlandii; jego status to „biologiczny rodzic”. Na stronie internetowej ośrodka adopcyjnego wyczytał, że jako taki ma prawo wpisać się do rejestru „National Adoption Contact Preference Register”. W jednej chwili stał się ojcem, co prawda tylko formalnie. Zadzwoił do ośrodka i wyjaśnił, że następnego dnia przylatuje z Nowego Jorku do Dublina i prosi o spotkanie. Pilnie.

*

Po krótkiej drzemce, głównie po to, żeby pozbyć się otumanienia wynikającego z różnicy czasu, przyjął parasol od szarmanckiego portiera i wyszedł z hotelu na lejący deszcz. Skręcił w lewo, a po kilku metrach w prawo na Baggot Street. Wpadały mu w oczy nazwy mijanych miejsc: O’Donoghue’s, Doheny & Nesbitt, Toners. Pamiętał je z pocztówki, którą Hilary przysłała mu zaraz po przyjeździe do Dublina na studia w Trinity College. „Byłam na wypadzie po pubach razem z amerykańskimi studentami z wymiany” – napisała, proponując, żeby do niej przyleciał. Teraz myślał o tym ze ściśniętym sercem.

Nie powiedział Hilary, że z nią zrywa, przed jej wyjazdem do Irlandii. Ani też gdy przyjechała do domu na Boże Narodzenie, chociaż było po temu kilka okazji. Wychodzili razem tu i tam. Do Muscote’s, do White Horse, raz spotkali się w U Nina. Zrobił to dopiero przed

samym powrotem Hilary do Irlandii. Poznał kogoś. Przykro mu, ale cóż, tak bywa. Nie jest gotowy na małżeństwo. Siedzieli wtedy w samochodzie z włączonym silnikiem przed posesją Barrettów. Pamięta, że na trawniku leżał śnieg, a białe światelka migotały na bezlistnym drzewie przed domem. Bez słowa wysiadła z samochodu. W połowie ścieżki zatrzymała się i wróciła. Otworzyła drzwiczki, rzuciła pierścionek zaręczynowy na siedzenie i poszła do domu.

Teraz robiło mu się niedobrze na wspomnienie wyrazu jej twarzy. Coś dziwnego było w jej zachowaniu. Wtedy, zobojętniały, nie myślał o tym, jak bardzo ją zranił.

Na północnym krańcu parku St Stephen's Green minął hotel Shelbourne, przeszedł na drugą stronę ulicy i pomaszerował wzdłuż ogrodzenia ogromnego skweru. Przystanął po pokonaniu kilku metrów Grafton Street, bo zobaczył pomnik Roberta Emmeta. Smukła postać ze swobodnie opuszczonymi ramionami i jedną otwartą dłonią skierowaną ku niebu. Zaskoczyło go podobieństwo bohatera do dziadka. Mieli takie same nosy.

Obszedł park dookoła i znów znalazł się przed hotelem. Gdy mijał starego odźwiernego, ten pomachał do niego dłonią w białej rękawiczce. Przed dom na Merrion Square, w którym mieścił się ośrodek adopcyjny, dotarł kilka minut przed drugą. Ulewa przeszła w drobny deszcz. Wpatrywał się w niebieskie drzwi z półkolistą szybą, w której odbijało się bure niebo i zieleń drzew parku po przeciwnej stronie ulicy. Ludzie mijali go, a on stał przygnieciony niepewnością, lękiem i poczuciem winy. Jak pływak stojący na słupku startowym głęboko wciągnął powietrze w płuca. Przytrzymał je, a potem powoli wypuścił.

W środku siedziała za biurkiem wysoka, szczupła kobieta w czarnym kardiganie. Rozmawiała przez telefon i ręką dała mu znak, by poczekał. Rowan czuł, jak przyspiesza mu tętno.

Pracownica socjalna wkrótce odłożyła słuchawkę i podniosła się od biurka.

– Pan Blake, prawda?

– Tak. – Wyciągnął do niej rękę.

– Sonia McGowan – przedstawiła się i lekko uściśniła mu dłoń. – Proszę za mną. Tędy. – Ruszyła przodem. – Pan dziś przyleciał z Nowego Jorku? Musi pan być zmęczony. – Nie czekając na odpowiedź i nie oglądając się, zagadnęła: – A jak lot?

Wprowadziła go do małego pokoju z oknem wychodzącym na szary mur i wskazała stary fotel. Kiedy usiadł, zajęła miejsce naprzeciw niego. Na dzielącym ich stoliku leżało pióro, podkładka do pisania z klipsem i pudełko z chusteczkami. Jego buty skrzypiały przy każdym ruchu na wyfroterowanym do błysku linoleum.

– W czym mogę pomóc? – spytała.

Rowan odniósł wrażenie, że westchnęła, zanim podniosła podkładkę. Nie bardzo wiedział, od czego zacząć.

– Proszę, śmiało.

– Hm... – Przeczesał włosy palcami. Rozejrzał się po pokoju. – Mam prawo przypuszczać, że właśnie zostałem ojcem.

Cień uśmiechu na moment rozjaśnił twarz kobiety.

– Proszę mi powiedzieć – odezwała się po chwili – co pan wie. Poprosił pan o spotkanie, ponieważ podobno coś pana łączy...

Przerwał jej, wyrzucając potok słów:

– Dwa dni temu się dowiedziałem, że młoda dziewczyna, moja partnerka sprzed dwudziestu lat urodziła dziecko i oddała je... – zamilkł, szukając odpowiednich słów. Nie chciały mu przejść przez gardło.

– Zgłosiła dziecko do adopcji?

– Tak. – Skinął głową. – Tak było. To wiem.

Odchylił się na oparcie i bezgłośnie wypuścił powietrze. Oparł ręce na kolanach, splótł dłonie i wychylił się do przodu.

– Rozumiem. Tak dla jasności, panie Blake. Chce pan się dowiedzieć, czy dziecko zostało adoptowane tutaj. W Irlandii.

Pracownica socjalna notowała coś na formularzu na podkładce.

– Ja tego nie sugeruję, pani McGowan. Ja to wiem. Mam list od niej, od matki dziecka, on wszystko wyjaśnia.

Sięgnął do kieszeni, wyciągnął kopertę i ostrożnie wyjął z niej list. Jeszcze raz na niego popatrzył, zanim podał go rozmówczyni. Kartka była złożona na czworo i mocno pomięta.

Drogi Ro,

rok temu urodziłam córkę. W Dublinie. Zgłosiłam ją do adopcji kilka tygodni po jej przyjściu na świat. Niedługo potem trafiła do kochającego się małżeństwa z północy Irlandii. Pracownica socjalna z ośrodka przysłała mi potwierdzenie postanowienia o adopcji. A więc kłamka zapadła. Dlatego do Ciebie piszę.

Nasza córka należy teraz do innych ludzi. Poznałam ich, Rowanie. Dadzą naszemu dziecku to wszystko, czego my nie mogliśmy mu dać. Dom. Rodziców. Oboje rodziców.

Przepraszam, że Ci nie powiedziałam. Musiałam odczekać, aż będzie za późno na jakikolwiek ruch z Twojej strony.

Tak bardzo chciałam Ci powiedzieć o ciąży, kiedy przyjechałam na święta do domu. Żyłam myślą o założeniu rodziny. To miała być niespodzianka. Byłam wtedy w trzecim miesiącu. Nie zorientowałeś się.

Wróciłam do Dublina po zerwanych zaręczynach. Nie powiedziałam rodzicom o ciąży. Gryzę się z tego powodu, lecz wiem, że bym ich zasmuciła i że próbowaliby mnie odwieść od mego postanowienia. A ja chciałam, żeby nasze dziecko dorastało w pełnej rodzinie. Z mamą i z tatą. Żeby miało kochających się rodziców, którzy razem mieszkają.

Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

Całuję Cię,

Hil

PS Ma na imię Rose.

Gdy pracownica socjalna czytała list pochylona nad kartką, Rowan zauważył ciemne sińce pod jej oczami. Była starsza, niż z początku sądził, i sprawiała wrażenie przygnębionej.

– Kiedy to było? – spytała, podnosząc głowę znad listu. W jej głosie wyczuł napięcie.

– Mniej więcej dwadzieścia lat temu – odparł. – Dlaczego?

– Właśnie...

– Co takiego?

– Nie, nic. – Zatrzymała spojrzenie na pudełku z chusteczkami. – Sama... sama nie wiem, o czym myślałam. Przepraszam. Coś mi się przypomniało. – Zamilkła na moment. – Podpisany jest „Hil” – zauważyła, oddając list Rowanowi.

– Zdrobnienie od „Hilary”. Nazywała się Hilary Barrett. Nie żyje. Zmarła...

Podkładka zsunęła się z kolan McGowan i spadła na linoleum z przenikliwym trzaskiem podobnym do obrotu klucza w starym zamku. Kobieta pobladła. Z ustami zaciśniętymi w cienką kreskę podniosła notatnik z podłogi.

– Przepraszam.

– Pani McGowan, co się stało?

– Ona nie żyje?

– Tak. Zmarła, zanim zdążyła wysłać ten list. Jej rodzice z sobie tylko znanych powodów nic mi o nim nie powiedzieli. Dlatego dopiero teraz się dowiedziałem. Przez przypadek. Gdybym wiedział...

– To smutne. Bardzo mi przykro. Biedna dziewczyna.

– Była... cudowna.

– Nie. Mam na myśli...

– Co takiego?

– Oczywiście mówię o niej. Biedna dziewczyna. Mam nadzieję, że znalazła pocieszenie, wiedząc, że dziecko trafiło do kochających rodziców adopcyjnych. Bardzo dzielnie postąpiła. – Głos Sonii McGowan w jednej chwili się zmienił, jakby włączyła autopilota. – Panie Blake, z tego, co widzę, wszystko już pan wie. Muszę pana uprzedzić, że w naszym kraju prawnie przeprowadzona adopcja jest sprawą zamkniętą. Rozumie pan, co to oznacza?

– Że wszelkie informacje dotyczące tożsamości są poufne. Tak. Sprawdziłem to na waszej stronie internetowej. Podobno mogę się wpisać do jakiegoś rejestru kontaktowego.

– Tak. Zgadza się. Może się pan zarejestrować jako naturalny ojciec.

– Nie jestem naturalnym ojcem!

– Nie jest pan naturalnym ojcem?

– Nie... nie o to chodzi, jestem... według Hilary. I absolutnie tego nie kwestionuję. Ale to wypaczenie; nie ma w tym nic naturalnego.

Znowu przez twarz pracownicy socjalnej przemknął ledwo dostrzegalny uśmiech. Odzyskała już panowanie nad sobą. Wyciągnęła spod klipsa na podkładce jakieś papiery i podała je Rowanowi.

– Tak, to nie najszcześniejsza terminologia. Często słyszymy od par adopcyjnych, że woleliby sformułowanie: „biologiczni rodzice” zamiast „rodzice naturalni”. No cóż, wszystkich nas to, jak pan to ujął: „wypaczenie”, dotyka. – Westchnęła. – Tutaj ma pan formularz. Proszę się z nim zapoznać. Może pan określić zakres kontaktów, jakie chciałby pan utrzymywać, o ile osoba adoptowana, której to dotyczy, jest również w rejestrze i co ważniejsze, jeśli jest na takie kontakty otwarta. Muszę zaznaczyć, że decyzja w pełni należy do niej. Natomiast jeżeli nie będzie życzyć sobie kontaktu, wszyscy mamy obowiązek uszanować jej wolę. – Spuściła głowę. – Mam nadzieję, że pan to rozumie. Bywa, że adoptowane dzieci już jako osoby dorosłe chętnie spotykają się z członkami biologicznej rodziny. Znam przypadki, gdzie te kontakty bardzo dobrze się ułożyły. Lecz muszę z przykrością wyznać, że z doświadczenia wiem też, iż czasem nic z tego nie wychodzi.

Rowan wziął formularz i złożył go, nawet nie obejrzawszy. Nie odrywał wzroku od twarzy Sonii. Gdy podniosła głowę, zobaczyła łzy w jego oczach. On natomiast już wcześniej zauważył u niej brak obrączki.

– Czy mogę panu jeszcze w czymś pomóc? – spytała. – Pokonał pan taką odległość. Wyobrażam sobie, co pan musi przeżywać. Bardzo żałuję, że nie mogę dla pana nic więcej zrobić. Czy ma pan jeszcze jakieś pytania?

Rowan zauważył zmianę. Zrezygnowała z urzędowego autopilota i przeszła na ręczne sterowanie. Przez chwilę patrzył na nią z napięciem, bo miał wrażenie, że ta kobieta usiłuje coś mu przekazać.

– Pani McGowan, proszę mi wybaczyć, ale wydaje mi się, że pani nie powiedziała mi wszystkiego.

– Nic więcej nie zostało do powiedzenia – odparła, uciekając spojrzeniem w bok. Zamknęła teczkę. Wyglądziła zmarszczkę na kardiganie. Wyjęła chusteczkę z pudełka i wsunęła ją w rękaw.

– Na pewno?

Czuł, że nie po raz pierwszy Sonia McGowan walczy z samą sobą. W tym ciasnym pokoju, gdzie każdego dnia światło i cień prześlizgiwały się po szarym murze, nieraz zdarzało jej się toczyć wewnętrzny bój.

– Ma na imię Rose... – zaczęła cicho, niepewnie, odgarniając nerwowym ruchem kosmyk włosów z czoła.

– To wiem!

Zawahała się i spojrzała z napięciem na Rowana Blake'a.

– Chcę powiedzieć, że... hm, adopcyjni rodzice często nadają dziecku nowe imię, bo mają takie prawo.

Z wyrazu jego twarzy odgadła, że nie rozumie.

– Ona... ma na imię... Rose – powtórzyła.

*

Parę minut później zbiegł ze schodków przed ośrodkiem adopcyjnym i szybkim krokiem przeszedł wzdłuż południowego obrzeża skweru. Sonia nie wyjawiała mu już nic więcej, ale czuł, że jednak nie powiedziała wszystkiego. Brakujący element? Przeczował, że istnieje, lecz nie potrafił go umiejscowić. Dochodziły go dziecięce głosy. Przy płocie montowano wystawę sztuki na wolnym powietrzu. Obszedł skwer dookoła, mijając po drodze szereg imponujących georgiańskich kamienic z oknami złożonymi z dwunastu małych szyb. Tu i ówdzie tablice na murze upamiętniały ich dawnych mieszkańców, sławnych Irlandczyków: Wilde'a, Yeatsa, Synge'a, O'Connella, Russella, Le Fanu.

Co czuła Hilary, oddając swoje dziecko, ich dziecko, Dublinowi?

Przystanął ze zwieszoną głową. Zrobiła właściwą rzecz. Nie był naturalnym ojcem. To tylko słowo, fałszywe określenie.

Po powrocie do hotelu znalazł w pokoju nagraną wiadomość. Pierce odkrył, że w Irlandii przyjście na świat każdego dziecka jest odnotowywane w czymś, co się nazywa „Register of Live Births”. „Co więcej – informował go nagrany głos – to są jawne dane, Rowanie. Dostępne dla wszystkich”. Pierce radził mu jak najszybciej odwiedzić archiwum w Irish Live Centre na Lower Abbey Street.

Rowan natychmiast zszedł na dół i zapytał portiera o drogę.

Szybkim krokiem pokonał Grafton Street, dotarł do College Green, minął frontowy łuk Trinity College i wyszedł na Westmoreland Street. Zdumiewał go upał irlandzkiego lata teraz, gdy chmury zniknęły z nieba. Nie przystając na moment, zdjął marynarkę. Ma na imię Rose – skandował w myślach w rytm kroków.

Przeszedł przez ruchliwe skrzyżowanie wraz z wycieczką japońskich turystów w zielonych czapczkach, z grupką młodych ludzi w krótkich spodenkach, objuczonych plecakami, oraz z amerykańskimi turystami w białych adidasach. Pokonał szerszy niż dłuższy O'Connell Bridge, mijając rozkładane stragany z pocztówkami, kolczykami i chustami. Mniej więcej w połowie mostu siedziała w kucki stara rumuńska Cyganka z papierowym kubkiem w ręku. Na ziemi przed nią leżała karta z napisem: „Przepowiadam przyszłość”. Rowan przystanął, wyjął z kieszeni monetę i wrzucił do kubka, nie czekając na wróżbę, bo spieszyło mu się na drugi brzeg rzeki Liffey.

Minął dwie przecznice i znalazł się na Lower Abbey Street. Włożył marynarkę, przygładził włosy i wszedł do budynku.

Portier skierował go do pomieszczenia na drugim piętrze. Jak na razie poszło gładko. Przystanął na moment przed drzwiami, nie bardzo wiedząc, czego się ma spodziewać, niepewny,

czy może, ot tak po prostu, wejść. Czy przypadkiem nie powinien się postarać o jakieś pismo przewodnie? Specjalny dokument? Przepustkę? Otóż nie! Pomieszczenie przypominało czytelnię z czterdziestoma jednoosobowymi stolikami ustawionymi w rzędach jak w klasie. Przy jednym z nich siedział młody człowiek z krótko obciętyimi włosami, w koszulce rugby. Wyglądał zupełnie jak student. Miał przed sobą opasłą księgę, a obok notatnik i długopis. Był tam jeszcze jeden, może trochę starszy mężczyzna ubrany w beżową wełnianą kamizelkę. Siedział za kontuarem obstawionym regałami z książkami. Na widok Rowana podniósł głowę znad monitora.

– W czym mogę pomóc?

– Chciałbym odszukać wpis dotyczący narodzin dziecka – wyjaśnił niepewnie Rowan. Urzędnik się uśmiechnął.

– Nie ma problemu. Który rok? – odpowiedział najbardziej neutralnym tonem, jaki Rowan kiedykolwiek słyszał.

– Który rok? – powtórzył Rowan. – Hm... chyba tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty.

– Może pan przejrzeć kilka indeksów, skoro nie jest pan pewien. Od dziewięćdziesiątego do dziewięćdziesiątego piątego?

– Nie. Wiem na pewno. Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty.

– Dobrze. Jedną chwilę. Proszę usiąść, zaraz przyniosę.

Zbiła go z tropu prostota całej procedury. Serce tłukło mu się w piersi. Czy dobrze robi? Rozum podpowiadała, że musi dowiedzieć się więcej. Jednak to okazało się niezwykle proste i dlatego było w tym coś niewłaściwego. Może kiedy będzie już więcej wiedział, hm... przekona się, czy postąpił właściwie. Intuicja mu to podpowie. Albo trafi w dółek, albo pośle piłkę na aut. Tak ująłby to Burdy.

Kilka minut później pracownik położył przed nim dużą czerwoną księgę.

– Proszę, tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty rok. Zna pan nazwisko?

Rowan skinął głową.

– Świetnie. W takim razie znajdzie pan tutaj numer referencyjny do pełnego wpisu w rejestrze. Dziecko dostaje nazwisko matki, jeżeli ojciec jest nieznan. – Spojrzenie urzędnika było dla Rowana jak szturchnięcie palcem w pierś.

Otworzył księgę gdzieś w połowie i zerknął ukradkiem na stronę. Jakby czuł się winny, patrząc na te nazwiska.

Murphy. James. 1 listopada 1990. Murphy.

Murphy. Kieran. 16 maja 1990. Godkin.

Murphy. Leah. 29 sierpnia 1990. Flynn.

Indeks był ułożony alfabetycznie. Nazwisko. Pierwsze imię. Data urodzenia. Panieńskie nazwisko matki. Pozwolił sobie na dyskretny uśmiech. Moja Rose pośród tych wszystkich wielkich irlandzkich nazwisk. Bezpieczna między swoimi. Przerzucił kartki do litery „B”.

Barr. Liam. 5 lipca 1990. Barr.

Szybko wodził oczami po spisie. Szukał Barrett. Prawdopodobnie Hilary użyła swojego nazwiska.

Jest! *Barrett.*

Niemal ukradkiem rozejrzał się po pokoju i wstrzymując oddech, przeczytał wpis.

Barrett. Rose. 30 czerwca 1990. Barrett.

Trzydziestego czerwca? Pod koniec miesiąca skończy dziewięćnaście lat!

Wstał i podszedł z księgą do urzędnika. Myśli wirowały mu w głowie. Z trudem chwycił powietrze. Jarzeniowe światła kłuły w oczy. Poczucie winy rozsadzało pierś.

– Znalazł pan to, czego szukał? – doszedł go spokojny głos.

- Tak. Trzydziestego czerwca...
- Chce pan kopię oryginału?
- Oryginału...? Właściwie... Czy jest...
- Szuka pan czegoś jeszcze?
- Czy istnieje możliwość... to znaczy... Chciałbym...

Urzędnik patrzył na niego tak, jakby z góry wiedział, po co ten wysoki, elegancki Janek w tweedowej marynarce przyszedł do jego czytelnicy.

- Dane adopcyjne? – podpowiedział takim samym obojętnym tonem co wcześniej.
- Tak – przyznał zdumiony Rowan. – Czy to możliwe? – Czuł się jak oskarżony.

– Tak. Jawne dane są ogólnodostępne. Może pan zajrzeć do indeksu rejestru adopcji. O to chodzi, prawda? Powiedział pan tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty rok, tak? To będzie drugi tom.

Łatwość, z jaką to wszystko się działo, przyprawiała Rowana o zawrót głowy. Na czoło wystąpiły mu kropelki potu.

Pracownik – Liam, jak wynikało z identyfikatora – patrzył na niego beznamiętnie, a jednocześnie ze zrozumieniem. Mógł mieć ze trzydzieści lat i był tego samego wzrostu co on, lecz na tym podobieństwa się kończyły. To był przyzwoity człowiek. Zapewne nie miał nic do ukrycia. Nic, czego musiałby się wstydić. Pewnie w domu czekała na niego żona z dwójką dzieci. Dwójka radosnych dzieciaków: chłopiec i dziewczynka. Poszczęściło im się, że trafił im się taki ojciec. Jakby na dowód do lewej kieszeni kamizelki Liam miał przypięty kwiatek z bibułki, słonecznik w kolorze lemoniady zrobiony dziecięcą ręką.

- Zaraz przyniosę – oznajmił Liam ojciec.

Rowan wrócił do swego stolika, lecz nie mógł usiedzieć na miejscu. Nerwowo przeczesywał włosy i manipulował przy kołnierzyku. W końcu zdjął marynarkę i powoli, pedantycznie podwinął rękawy koszuli do łokci.

Po chwili stanął nad nim Liam z dużą czarną księgą i z głuchym stuknięciem upuścił ją na blat.

– Wpisy są ułożone alfabetycznie według nazwisk osób adoptowanych – wyjaśnił, patrząc na Rowana, który za wszelką cenę starał się wytrzymać jego wzrok. – Jednak odnalezienie danej osoby może zająć kilka godzin. Mówimy tu o przybranym nazwisku – zaznaczył. – Takim punktem odniesienia jest data urodzenia. Po niej dojdzie pan do nazwiska. Trzeba jednak uważać, bo czasem pod tą samą datą zdarza się kilka wpisów. Imię w rejestrze może się różnić od tego w indeksie. Jedynie data przyjścia na świat jest taka sama.

Rowan miał teraz dwie wskazówki. Otworzył księgę i zaczął ją przeglądać. Starał się odsunąć wszelkie emocje zatruwające mu umysł. Bo to nie było w porządku, zdecydowanie nie. Takie informacje powinny pozostać poufne. Sonia wyraźnie powiedziała, że adopcja w Irlandii jest sprawą zamkniętą. Czy „zamknięta” to nie to samo, co „zapieczętowana”? Czy postronne osoby powinny mieć dostęp do takich danych?

Pierwsze hasło w rejestrze: *Aherne. Michael James. 16 maja 1984*. To działanie wymaga koncentracji. Zakrył paszportem, który nadal miał w kieszeni marynarki, nazwiska i przesuwając go jak linijkę, przebiegał wzrokiem daty, szukając 1990 roku. Gdy dotarł do trzeciej strony zaczynającej się od: *Ballah. Sean. 23 kwietnia 1992*, zatrzasnął rejestr. Nie, nie ma prawa – to nie w porządku.

Liam, widząc go nad zamkniętą księgą, podszedł do stolika.

- Skończył pan?
- Nie. Jeszcze nie. Proszę poczekać. – Rowan przytrzymał jego wyciągniętą rękę.
- W porządku. Nie ma problemu. Ale uprzedzam, o wpół do piątej zamykamy.

Rowan ponownie otworzył rejestr i odnalazł miejsce, na którym skończył. Przesuwając palcem w dół strony sprawdzał daty: 1982, 1976, 1994, 1977, 1981, 1990, i odczytywał nazwiska: *Barry, Becket, Berrigan, Bigley, Blaney, Bonfield, Bowen*.

Zatrzymał palec. 30 czerwca 1990.

Jest. *Bowen. Rose. 30 czerwca 1990. Dublin.*

Nazywa się Rose Bowen.

CZEŚĆ TRZECIA

Rosa
'Moondance'

Rozdział czternasty

– Koszmar – wzdycha Conor, kiedy Rose wyznaje mu w końcu, dlaczego zostawiła skrzypce w metrze. Opowiada o zachowaniu Rogera na próbie i o tym, jak bez słowa z niej wyszedł. O swej ucieczce po upokarzającym występie. O tlenionych włosach swego mentora i plakacie na ścianie w jego gabinecie.

– Co za dupek! Zapewniam cię, że nie wszyscy surferzy są tacy – mówi Conor. – Zrewanżuj się temu szajbusowi.

– Sama nie wiem...

– Doprowadź do końca to, co zaczęłaś. Możemy wziąć Gerty na przejażdżkę.

– Przejażdżkę do Londynu? – śmieje się Rose.

– A czemu nie? Będzie okazja lepiej się poznać. I tak planowałem zrobić sobie parę dni wolnego. Zgódź się, będzie fajnie, a twoja mama zapewne zostanie w Bostonie jeszcze jakiś czas. Chyba nie masz ochoty siedzieć w pustym domu, co?

Conor nalega i przymila się, dając do zrozumienia, że jest mu to winna, bo czy nie odegrał ważnej roli w dramacie ze skrzypcami? W końcu Rose ustępuje. Może to dobry pomysł. W tej chwili nie bardzo wie, co ze sobą zrobić, żyje w próżni. Niech będzie. Wysyła Rogerowi esemesa z informacją, że przyjeżdża dokończyć sonatę Bacha. Stawi się we wtorek i przywiezie własną publiczność.

W sobotę rozmawiała z matką w Bostonie, a w niedzielę rano płynie z Conorem przez Morze Irlandzkie. Jadą z Clare do Rosslare, wsiadają na prom do Pembroke i już są w południowej Walii. Rozmawiają na najróżniejsze tematy. On lubi wstawać wcześniej i sprawdzać prognozy dla surferów. Ona na śniadanie najchętniej zjada tosta z masłem migdałowym. On jest kibicem Arsenalu, ona nie ma pojęcia o sporcie, ale pamięta, że tata był za Chelsea. Oboje wierzą w witaminę D, lubią sushi, plażę i drużynę Munster Rugby. Późnym popołudniem jadą Gower Peninsula do hipsterskiego pensjonatu w Llangennith, ulubionego miejsca surferów, o którym Conor dowiedział się na forum surfboards.ie.

W ten ciepły letni wieczór, w środku sezonu, w pensjonacie jest wolny jeden jednoosobowy pokój. Conor namawia Rose, żeby go wzięła. Wyczuwa jej wahanie i wątpliwości związane z matką, z Rogerem, z nim i dlatego proponuje, że sam spędzi noc w furgonetce. Nieraz tak robił, przemieszczając się po zachodnim wybrzeżu Irlandii w poszukiwaniu dobrej fali.

– Nie przejmuj się – mówi. – Jestem do tego przyzwyczajony.

Lekka bryza pachnąca morzem wpada do pokoju przez szeroko otwarte okno. Conor zagradza drogę Rose stojącej przy szafie. Podnosi rękę i odgarnia jej włosy z twarzy. Całuje ją. Ona się nie wzbrania. Głowę opiera o twarde drzwi szafy. Ramiona trzyma swobodnie opuszczone wzdłuż ciała. Unosi ku niemu twarz, a on całuje ją z początku delikatnie, testująco, a potem coraz mocniej, bardziej natarczywie.

Nagle odrywa się od niej i cofa o krok.

– Do jutra, Rosie.

Skinienie głową na pożegnanie i już go nie ma.

Ona stoi wsłuchana w jego oddalające się kroki. Jeszcze chwila – myśli – a zdarłaby z siebie ubranie.

Potem leży z twarzą wtuloną w poduszkę i wsłuchana w szum fal, myśli o ojcu. Luke nie zdążył o wielu sprawach z nią porozmawiać. Na przykład o relacjach z mężczyznami. Na pewno chciał, ale... Ciekawe, kiedy rodzice po raz pierwszy się kochali. Seks. W tej chwili tylko to ma w głowie. Powinna czy nie? Jest tam, w furgonetce. Mogłaby do niego zejść. Jest w rozterce. Sfrustrowana, podnosi się z łóżka i wyjmuje skrzypce. Nie gra sonaty Bacha, jakiegoś jazzowego standardu, jiga ani reela. Nie jest w nastroju, więc ćwiczy gamy, pianissimo, trzy oktawy w moll, dopóki nie zapieką opuszki i nie ściernie ręka ze smyczkiem. Taka gra pomaga wypracować formę i styl. Artykulacja dźwięków i dwudźwięków. Spiccato. Vibrato. Tremolo. Przy marcato ktoś puka w ścianę w sąsiednim pokoju. „Ciszej tam!”. Rose odkłada skrzypce i kładzie się spać.

Rano idzie na plażę. Conor zostawił wiadomość pod wycieraczką na szybie. Już poszedł posurfować. Jest taki wyluzowany – myśli Rose, patrząc, jak unosi się na drobnych falach przybijających do brzegu. Opanowany i cierpliwy. Kogoś takiego jak on tata nazwałby wolnym duchem. Czy ojciec by go polubił?

– Mam zapasową piankę w samochodzie! – woła Conor.

– Boję się rekinów! – odkrzykuje Rose.

On się śmieje.

– Dobra, jeszcze raz i będziemy się zbierać.

*

Walia wygląda tak, jakby ktoś zarzucił na nią pled z zielonego weluru. Idealny wręcz plener dla jakiegoś historycznego serialu BBC.

– Przykro mi z powodu noclegu – mówi Rose, nie patrząc na Conora.

– Nie przejmuj się. Oboje z Gerty spaliśmy jak zabici.

Rose daje mu kuksańca w bok.

Po czterogodzinnej jeździe zostawiają za sobą Bristol, Swindon oraz Slough i wczesnym wieczorem stają przed domem Rose w Camden. Jest jeszcze jasno, idą więc na spacer wzdłuż kanału, a potem na Primrose Hill. O zachodzie słońca jedzą pizzę w ogródku Lansdowne. Po powrocie do domu prosi go, żeby posiedział na balkonie. Chce poćwiczyć sama, bez świadków.

– Tylko żadnych komentarzy: ani dobrych, ani złych – zastrzega.

– Będę siedział jak mysz pod miotłą.

Nie potrafi tego wytłumaczyć, lecz jego obecność wyzwala w niej pozytywne emocje. Ma ochotę śpiewać. Kłania się sobie przed lustrem. Idzie jej świetnie, przynajmniej tak uważa. Trzecią część gra jak prawdziwa Cyganka. Wychwytuje wszystkie taneczne rytmy. Wsadź sobie w tyłek te swoje uwagi, Rogerze Ballantyne. Śmieje się w głos. Skąd u niej takie wyrażenia?

Kiedy kończy sonatę, przez otwarte drzwi saloniku słyszy oklaski.

– No co? – Conor wzrusza ramionami, kiedy Rose wychodzi na balkon, uśmiechając się i jednocześnie groźnie marszcząc brwi. – Przecież nic nie powiedziałem! – stwierdza, stojąc oparty o balustradę. Rose podchodzi, wspina się na palce, zarzuca mu ramiona na szyję i go całuje.

– No, tak lepiej – chwali Conor.

Kiedy nadchodzi pora, by kłaść się spać, oboje spoglądają na wąskie łóżko.

– Nie jestem gotowa – wyznaje Rose, trąc przy tym oczy, jakby w ten sposób chciała się przed nim zasłonić.

– Ja też nie. Wcale nie jestem taki odważny, na jakiego wyglądam. – Unosi jej podbródek, dotyka znamienia. – Słuchaj. Rozumiem. Najpierw to, co najważniejsze. Przede wszystkim załatwmy sprawę z tym twoim surferem.

Rose zasypia we własnym łóżku sama.

Rano budzą ją głosy w sąsiednim pokoju. To Conor rozmawia z jej współlokatorką.
– Rosie – zaczepia ją Isobel, kiedy do nich dołącza. – Kazałaś temu biedakowi spać na kanapie? – Przyjaciółka ma na sobie dół od piżamy i obszerny sweter narzucony na podkoszulek na ramiączkach. Utlenione włosy nosi ścięte na zapałkę. – Co jest grane? – Daje Rose kuksańca. Jest w skarpetkach nie do pary, a na twarzy nadal ma resztki wczorajszego makijażu. – Zresztą wcale się nie dziwię. Wygląda na ostrego faceta.

– Ha, ha. Jasne!

Conor podnosi się i daje Rose soczystego buziaka. Przechyla ją przy tym jak w tangu, a ona się poddaje. Jej włosy dotykają podłogi. Rose popiskuje. Conor podrywa ją z powrotem.

– Och! Rozumiem. – Isobel uśmiecha się szeroko. – A więc tak to wygląda.

Rose widzi, że Conor się czerwieni.

– Tak jest – idzie mu w sukurs. – Właśnie tak to wygląda. Jest tak ostro, że po wspólnej nocy nie miałabym siły na dzisiejszy rewanz.

– Rewanz? O co chodzi? – Isobel odwraca się i nastawia czajnik.

– Mój popis. To długa historia, Izzy.

*

Avenue Gardens w Regent's Park są w pełnym rozkwicie. Kiedy Rose z Conorem przechodzą obok zabytkowej fontanny Readymoney z pitną wodą, w samym sercu Broad Walk, na zegarze jest dziesięć po dziewiątej. (Roger zawiadomił ją esemesem, że czeka na nią w gabinecie o dziesiątej).

– Czy twoja mama tu była?

– Tak. Kilkakrotnie.

– Superowe ogrody.

– Nie przejdzie obok kwiatka, żeby nie zrobić zdjęcia albo notatki czy małego szkicu w notesie.

Conor nachyla się nad kępą oryginalnie wyglądających paproci.

– Niekropień powabny. Znany też pod nazwą złotowłos, gatunek: *Adiantum veitchii* 'Hance', rodzina: *Adiantaceae* – czyta.

– Rany, moja mamy będzie tobą zachwycona!

Uśmiecha się.

– Denerwujesz się?

– Trochę.

– Niepotrzebnie. Grałaś...

– Mówiłam ci, że masz być cicho.

– Przepraszam, zapomniałem. Jezu, aleś ty nabuzowana. Daj, poniosę. – Wyciąga rękę po futerał ze skrzypcami.

– Nie, to przynosi pecha. Przywykłam mieć je przy sobie. To mi daje poczucie stabilności.

Conor otacza ją ramieniem wraz ze skrzypcami.

Dwadzieścia minut później wychodzą z parku na Marylebone Road i wkrótce docierają przed podwoje akademii. Portier George obdarza ją swoim krzywym uśmiechem, kiedy staje przed jego biurkiem i wpisuje się do księgi.

– George, wchodzę ze znajomym. Mogę?

– Jak najbardziej. Miło cię, dziewczyno, znowu widzieć.

Rose pamięta, że tamtego popołudnia, kiedy wybiegła z auli, minęła go przy frontowych drzwiach.

– Ciebie też, George.

Odwraca się i wchodzi schodami na piętro. Conor podąża za nią, trzymając się kilka kroków z tyłu. Kiedy puka do drzwi Rogera Ballantyne’a, jest naładowana jak gradowa chmura, gotowa w każdej chwili wybuchnąć.

– Proszę!

Skinieniem głowy daje znak Conorowi, żeby trzymał za nią kciuki, a on w odpowiedzi podnosi skrzyżowane palce. Słyszy: Nie daj się, dziewczyno, chociaż on tego wcale nie powiedział.

– Rose! Tak się cieszę, że wróciłaś! – wita ją Roger, kiedy wchodzi do gabinetu. Ma na sobie brązowy T-shirt z napisem „Waiheke Island” z logo przedstawiającym kieliszek do wina i białe lniane spodnie, a na nogach japonki. Podchodzi do niej. – Już się bałem się, że cię więcej nie zobaczę – wyznaje, zniżając głos.

Rose pochyła się nad futerałem.

– Posłuchaj, zanim cokolwiek powiesz, muszę cię przeprosić. Moje zachowanie było poniżej wszelkiej krytyki, niewybaczalne.

Rose nagle sobie uświadamia, że wcale się nie denerwuje, lecz dla pozorów robi nadąsaną minę.

– Wybaczysz mi? – Roger zamyka drzwi.

– Może. – Jej wydęte dotąd usta rozciągają się w uśmiechu. – Roger, przepraszam, że wyszłam w taki sposób.

– Rozumiem. Nie przepraszaj. Nie ma sprawy. Wszystko się ułoży. Dajmy sobie drugą szansę.

Coś w nią wstępuje. Nie wie, co to takiego. Otwiera futerał. Na moment rozprasza ją gruchanie gołębia na parapecie. Zerka w okno. Nie chce, żeby Roger go przepłoszył. A kiedy tego nie robi, tak jak ona wpatrzony w ptaka, czuje, że mentor ją wspiera i jest gotowy słuchać. Wyjmuje skrzypce lewą ręką i opiera na obojczyku. Podbródek automatycznie trafia na miejsce i wpasowuje się we wgłębienie. Biegnie myślami do pracowni Conora, do rudych kotów i tamtego słonecznego, zimowego dnia, kiedy się poznali. Przed oczami ma młodego mężczyznę czekającego na korytarzu. To on z kawałka drewna wyczarował skrzypce, na których zaraz będzie grać. Ma nadzieję, że ją usłyszy. Zgina palce, układa je do pierwszego czteronutowego akordu adagio. Odczekuje moment z uniesionym smyczkiem, liczy do trzech, prześlizgując się spojrzeniem po gabinecie: plakat, promienie słońca ukośnie wpadające przez okno, Roger przy drzwiach. Potem z główką smyczka drżącą nad strunami jak tchnienie niezauważalnie kłania się niewidocznemu surferowi na korytarzu i zaczyna adagio płynnym arpeggio.

Gra jak we śnie. Jest natchniona i swobodna. Mniej więcej przy końcu drugiej części, fugi, Roger z aprobatą kiwa głową i entuzjastycznym gestem ręki daje znak, żeby kontynuowała. Gra, a kiedy kończy utwór efektywnym ruchem smyczka z dołu do góry, głęboko wciąga powietrze w płuca i z ulgą je wypuszcza, teraz pewna swych umiejętności. Jest dobra. I Roger też to wie. A także Conor.

Drzwi nagle się otwierają i Conor, bijąc brawo, wkracza do gabinetu.

– Dałaś czadu! Na sto procent...

Rose, ukrywając zadowolenie, patrzy na niego karcąco.

Podobnie spogląda na niego Roger. Upływa dobre pół sekundy, zanim się odezwie.

– No cóż, Rose, twój... twój znajomy ma rację. – Wpatruje się w intruza, mrużąc oczy jak krótkowidz, a przecież nie nosi okularów. – Wspaniale, Rose – zwraca się do swojej studentki. – Byłaś niesamowita.

Rose promienieje. Zdaje się, że po tych komplementach Roger liczy na jakąś reakcję z jej

strony. Ona jednak milczy.

– Może... wybrałabyś się na drinka? – pyta ją w końcu, nie doczekawszy się odpowiedzi.

– Dziękuję, niestety, nie mogę – mówi, chowając skrzypce do futerału. – Dzisiaj wracam.

Spędzam lato w domu.

– No i tak to – zamyka temat Conor. A potem sięga do kieszeni i wręcza Rogerowi wizytówkę. *Conor Flynn. Dyplomowany lutnik, Kinvara, Galvay.*

– Do widzenia – mówi jeszcze, wychodząc za Rose.

Dziewczyna macha Rogerowi na pożegnanie.

Rozdział piętnasty

Dzieci się rodzą. Dostają życie, ale nie należą do nikogo. Takie myśli chodziły Iris po głowie podczas długiego, cichego powrotu na West Newton Street. Wczesnym wieczorem dotarli na South End, a Grace, słysząc nadjeżdżający samochód, wyszła im na powitanie. Jednak na ich widok, idących z poważnymi minami w sporej odległości od siebie, usunęła się na bok, nic nie mówiąc. Iris płakała, a kiedy spojrzała na Grace, jedynie pokręciła głową, nie mogąc wydusić z siebie słowa.

Nic, a zarazem tak wiele było do powiedzenia. Grace stała z rozchylonymi ustami. Hector nie wszedł do środka. Został na chodniku. Nie zdecydował się podążyć za Iris, odprowadził ją tylko wzrokiem.

Ona poszła prosto do siebie i zaczęła się pakować. Niech się dzieje co chce, jutro wyjeżdża. Wsiądzie do pierwszego lepszego samolotu lecącego przez Atlantyk, byle jak najszybciej stąd uciec. To był potworny błąd. Wróciła do punktu wyjścia. Usiadła na łóżku i objęła piersi dłońmi. Lewa pierś. Bolała.

– Iris? Dobrze się czujesz? – Pytanie, a po nim delikatne pukanie do drzwi.

Nie od razu zareagowała. Grace jest kochana, lecz ona nie czuje się na siłach rozmawiać. Nie ma ochoty na pogaduszki. Będzie się nad nią użalać, siedząc w starym fotelu Boba.

– Muszę się zdrzemnąć.

– Oczywiście. To zrozumiałe. Pomyślałam, że może masz ochotę napić się herbaty. – Grace zawiesiła głos. – Zostawię tacę przy drzwiach, gdybyś zmieniła zdanie. No i przyniosłam telefon, bo... może chciałabyś zadzwonić do Irlandii.

Iris słyszała, jak Grace stawia tacę. Odczekała chwilę, aby mieć pewność, że już sobie poszła. Stała z uchem przy drzwiach, by przypadkiem na korytarzu nie natknąć się na Hectora. Nie chciała się z nim spotkać. Oczywiście nie był niczemu winien, lecz jej uczucia do niego były mieszane.

Grace do herbaty, kanapki i telefonu dołożyła różową różę. Na widok kwiatu omal na nowo się nie popłakała. Weź się w garść, kobieto. Nie czas użalać się nad sobą. Odstawiła tacę i odwróciła się do lustra, przypominając sobie słowa Tess: „Nabieram powietrze, jestem świadoma, że je nabieram”. A niech to! „Wypuszczam powietrze, jestem świadoma, że je wypuszczam”.

Dziewiąta wieczorem; za późno na telefon do Irlandii. Zadzwoiła do linii lotniczych i co trzydzieści sekund wysłuchiwała nagranych komunikatów: „Przepraszamy, w tej chwili wszyscy nasi konsultanci są zajęci. Prosimy się nie rozłączać i poczekać na połączenie z doradcą. Czas oczekiwania...”. Rzeczywiście w końcu odezwał się ludzki głos. Są wolne miejsca na powrotny lot. Musi tylko uiszczyć opłatę za zmianę terminu. Iris odetchnęła z ulgą. Usiadła na łóżku. Za trzydzieści sześć godzin będzie w Ashwood. O niczym innym nie chciała teraz myśleć. Ani o Hilary, ani o Klinice Piersi, ani o Hectorze. Zdjęła pogniecioną niebieską sukienkę, złożyła ją, schowała do walizki i przebrała się w szlafrok, z którego korzystała przez ostatnich kilka wieczorów. Odrzuciła kołdrę i wsunęła się do łóżka. Wróciła myślami do tamtego snu o Luke’u idącym ku niej z morza. Uśmiechał się. Dlaczego on się uśmiechał? Nie miał powodu. Najmniejszego. Hilary nie żyje. A Hector? Wolałaby, żeby pozostał taki niedostępny jak tamtego pierwszego ranka. Przynajmniej nie zachowywałaby się jak pensjonarka na pierwszej randce, a co gorsza, nie dręczyłoby jej teraz poczucie winy, że gdzieś tam zaświtała jej myśl o ewentualnym

związku z innym mężczyzną. Wierciła się na materacu w poszukiwaniu wygodnej pozycji. W końcu ułożyła się z głową w nogach łóżka i nakryła poduszką, żeby nie słyszeć irytującego buczenia klimatyzatora. Jak dobrze знаła ten stan; była rozdrażniona, spięta i rozdygotana. Wstała i wyjęła z walizki jedną z tabletek przepisanych przez doktor O'Reilly. Zasypiając, resztką świadomości usiłowała przywołać obraz Luke'a wychodzącego z morza.

*

Obudziła się o szóstej rano i zeszła do kuchni. Zaparzyła herbatę i z kubkiem w ręku stanęła w oknie wychodzącym na niewielki ogród. Nie zauważyła go tamtego wieczoru, gdy jedli wspólną kolację.

Dopiła herbatę i tylnymi drzwiami wyszła bosą na wilgotną od rosy trawę. Raj dla stóp. W ogrodzie, jeszcze zanurzonym w mroku, dostrzegła przy ceglany murze herbarium, wygrodzone za pomocą podkładów kolejowych. Pędy mięty przeciskały się przez przerwy pomiędzy belkami. Środek ogródka zajmowała niedbale wyznaczona rabata z krzewem różanym kwitnącym na różowo, paroma bodziszkami o niebieskich kwiatach, kocimiętkami oraz kępą wysokich kosmosów o białych kwiatach, które wręcz prosiły się o przycięcie. Podeszła i z nerwową energią zaczęła obrywać uschłe kwiaty. Działała instynktownie, czując potrzebę porządkowania. Kierowana tą samą potrzebą podeszła do krzewu różanego. Paznokciem zdrapała narośl na łodydze. Przykucnęła i wyrwała dmuchawca. Pozgarniała chwasty na małą stertę, mając przy tym dziwne uczucie, że nieistotne, gdzie jest, ważne, że coś robi i dzięki temu na moment może zapomnieć o terażniejszości.

– Będziesz tu stać do końca świata?

Grace podeszła do niej z rękami głęboko w kieszeniach rozpiętego szlafroka.

W rozchylonych połach połyskiwała różowa nylonowa halka sięgająca kolan.

– Nie wiedziałam, że masz tu kawałek ogródka. Taki mały azyl.

– Nie uważasz, że przydałoby się zaprosić tu ogrodnika?

Iris skwitowała tę uwagę uśmiechem.

– Chodź, usiądziemy. – Podeszła do ogrodowego stolika z dwoma metalowymi krzesłami do kompletu. – Chcę ci coś pokazać.

Dobry Boże, o co teraz może chodzić. – Iris westchnęła w duchu. Usiadła naprzeciw Grace, a ona podała jej coś, co dotąd trzymała w kieszeni. To była kopia notatki z gazety z 15 lutego 1992 roku.

ŚMIERĆ MŁODEJ KOBIETY POD KOŁAMI SAMOCHODU

Wczoraj rano młoda kobieta zginęła w wypadku na Huntington Avenue. Według zeznań świadków kierowca pojazdu, mężczyzna około pięćdziesiątki, obecnie hospitalizowany, wykonał gwałtowny skręt, usiłując ominąć kobietę, która pośliznęła się na oblodzonej jezdni. Samochód wpadł w poślizg i potracił pieszą. Przybyli na miejsce sanitariusze natychmiast rozpoczęli resuscytację, bezskutecznie próbując przywrócić czynności życiowe. Według opinii biegłych zgon nastąpił w momencie zderzenia.

Po skontaktowaniu się z rodzicami ofiary policja ujawniła jej dane. Zmarła nazywała się Hilary Barrett, mieszkała na St Botolph Street i pracowała jako bibliotekarka w Mary Baker Eddy Library, mieszczącej się po przeciwnej stronie jezdni, na której doszło do tego tragicznego wypadku.

Pani Barrett była absolwentką Boston University oraz Trinity College w Dublinie. Miała dwadzieścia lat. Była cenioną i lubianą pracownicą biblioteki. Jej koledzy składają wyrazy

współczucia pogrążonym w żalu rodzicom: państwu Marjorie i Jackowi Barrettom, mieszkającym w Chappaqua w stanie Nowy Jork.

Władze miasta proszą mieszkańców South End o zachowanie szczególnej ostrożności w związku z warunkami pogodowymi oraz o przechodzenie przez jezdnię w miejscach do tego wyznaczonych.

Iris nie była w stanie nazwać myśli, jakie towarzyszyły jej podczas czytania tej notatki. Była jedynie świadoma targających nią niczym tornado emocji: smutku, gniewu, rozpaczy, lęku, a także, o dziwo, niezrozumiałego poczucia ulgi. Miała wszystko czarno na białym. Jej misja, której celem było odnalezienie Hilary, została definitywnie zakończona.

A to zwalniało ją z obietnicy danej Luke'owi.

Teraz rozumiała, czemu ta śliczna, młoda kobieta, którą poznali dwadzieścia lat temu, przestała odpowiadać na korespondencję z ośrodka adopcyjnego w Dublinie. Wbiła wzrok w dłoń. Grace, widząc Hectora stojącego w drzwiach, dała mu znak głową, żeby wyszedł. Iris mogła go zawołać, lecz tego nie zrobiła.

Słońce wciskało się w przerwę pomiędzy domami i wydłużony trójkąt światła rozjarzył trawnik, załamując się na południowo-zachodniej części muru. Iris odwróciła się do Grace i opowiedziała jej swoją historię. Całą, od początku do końca.

Grace wyciągnęła rękę ponad stolikiem i zamknęła dłoń na nadgarstku swej lokatorki. Siedziały tak przez chwilę. Cóż jeszcze zostało do powiedzenia? Jakie słowa pasują w takiej sytuacji? Świetlny trójkąt rozszerzał się z każdą chwilą. Obudzone owady wylatywały z mrocznych zakamarków.

– Tak mi przykro, Iris – przerwała ciszę Grace. – Bardzo mi przykro. Wyobrażam sobie, co musisz czuć. – Cofnęła rękę.

– Od kiedy wiesz?

– O Hilary?

– Tak.

– Billy. Billy to wyszperał. Wczoraj. Ale was już nie było. On świetnie sobie radzi z komputerem. Wiesz... to imię chodziło mi po głowie, lecz nie potrafiłam go umiejscowić. Ten wypadek wydarzył się tak dawno temu.

– Znałaś ją?

– Nie, skąd. Słyszałam o niej. Już po wypadku. Gazety o tym pisały i... – Iris widziała, jak Grace opuszcza głowę i zamyka oczy. Po chwili ponownie chwyciła ją za rękę. – Co on ci mówił o sobie?

– Masz na myśli Hectora? – spytała tonem, który miał dawać do zrozumienia, że niewiele ją to obchodzi.

Lecz Grace się tym nie przejęła.

– Myślę, że pewnie niewiele. Widzisz, Hector... chyba mogę ci to powiedzieć. To żaden sekret, prawda? Jego żona umarła na raka... wiele lat temu. Miała na imię Julia. – Słowa z trudem przechodziły jej przez usta i co chwila zerkała nerwowo na kuchnię. – On myśli – zniżyła głos niemal do szeptu – że między wami zaiskrzyło. Przyznam, że mnie też tak się wydaje. I Billy również to zauważył. Mam rację?

Rzeczywiście zaiskrzyło – Iris musiała to uczciwie przyznać. Lecz ta iskra była zbyt wątła, żeby rozpalić płomień. A dzisiaj czuła jedynie smutek i zażenowanie.

Bo kim właściwie była? Kolekcjonerką zagubionych i martwych dusz? Nie. Nie zamierza współczuć Hectorowi. Julia to historia sprzed wielu lat. Do tej pory zdążył się zapewne otrząsnąć. Jak to ludzie mówią? Że najgorsze są pierwsze dwa lata? Ile czasu u niej minęło? Od śmierci Luke'a upłynęły dwa lata, dwa tygodnie i jeden dzień. Nie. Wykluczone. Nie zamierza

użalać się nad Hectorem.

A jednak... Mimo wszystko było jej go żal. Może on też stracił bratnią duszę. Na jedną ulotną chwilę otworzyła serce na jego smutek.

Utkwiła oczy w miejscu, gdzie słońce zarzuciło sieć na ceglany mur, chwytając w swe promienie wszystkie listki i pąki kwiatowe, przez co cały ogródek nasycił się kolorami.

*

Po południu na Logan Airport, ściskając Iris na pożegnanie przed stanowiskiem odprawy, Grace wyszeptała jej do ucha:

– Hectorowi będzie przykro, że nie zobaczyłaś się z nim przed wyjazdem. Co mam mu powiedzieć?

– Do widzenia.

– Do widzenia?

Iris kiwnęła głową.

– Tylko tyle? Nic więcej?

– Nie mogę, Grace. Nie jestem gotowa. – Podniosła walizkę i zarzuciła torbę na ramię. – Może...

– Może? Może co?

Oczy Iris napełniły się łzami.

– Dobrze, już dobrze. Wiem, co mu powiedzieć. – Grace ją objęła i przytrzymała, tuląc do siebie. Choć Iris się nie broniła, nie znalazła w sobie siły na odwzajemnienie uścisku. – Daj mi znać po wizycie w klinice. Będę niecierpliwie czekać. – Opuściła ramiona i cofnęła się o krok. – Wiesz, w sumie to było tylko parę dni, a mam takie wrażenie, jakbym знаła cię całe wieki. Przyjedziesz tu jeszcze kiedyś? Z Rose?

Iris nie odpowiedziała, bo odzywając się, na pewno wybuchnęłaby płaczem.

*

Po kontroli bezpieczeństwa, ciągle jeszcze z oczami mokrymi od łez, poszukała dostępu do internetu i sprawdziła pocztę. Przyszedł jeden mejl od Tess, jeden z garden.ie i jeden z Higgledygarden.co.uk, a także trzy od nieznanymi nadawców. Zaczęła od tego od przyjaciółki, która donosiła, że Rose już się pozbierała po tamtym „wielkim wstrząsie”.

Wracaj do domu, Iris. Tęsknimy za tobą.

PS Do diabła! Co ty sobie myślisz? Opuściłaś wizytę?

PPS – O Rosie się nie martw – nie ma powodu – daję słowo.

Odpisała, że wraca, numer lotu: EI345, będzie o szóstej rano i wtedy wszystko wyjaśni. Ale niech nie mówi nic Rose. PS Co znaczy to: „daję słowo”?

Zaskoczyła ją wiadomość od kogoś, kto podpisał się inicjałami R.E.B. Nie spodziewała się tak szybkiej reakcji na swą pisaninę.

Szanowna Pani Bowen,

bardzo się cieszę, że natrafiłem na pani blog. Pracuję jako architekt krajobrazu w sercu Nowego Jorku i pani wpis o makach wniósł trochę koloru do mego życia.

Pozdrawiam

R.E.B.

Ucieszona, otworzyła pozostałe dwa listy. W jednym ktoś pytał, czy kiedykolwiek próbowała uprawiać mekonopsy – rośliny podobne do maków o niebieskich kwiatkach. „Zupełnie jakby się miało kawałek nieba na grządce”. A w drugim osoba, która nazwała siebie miastowym ogrodnikiem, chciała się dowiedzieć, czy w skrzynkach na oknach będą rosły maki islandzkie.

Takie drobne, niewiele znaczące sygnały, a jednak sprawiły jej sporo radości. Świadczyły o tym, że jest gdzieś umocowana. Blog był ogniwem łączącym ją ze światem. W przyszłym tygodniu odpowie na wszystkie listy i wyśle kopie Arthurowi Simmonsowi.

Kilka godzin później siedziała na miejscu D przy przejściu, w rzędzie 37 w tyle samolotu, niedaleko toalet. Gdy zaczęto rozwozić napoje, zamówiła dzin z tonikiem, a do posiłku, na który wzięła kurczaka, zażyczyła sobie dwie ćwierćlitrowe buteleczki wina. Wróciła myślami na South End. Grace nie omieszka powiedzieć Hectorowi o wezwaniu na dodatkowe badania w Klinice Piersi. Wyobraziła sobie jego minę. Niespodziewanie zrobiło jej się go żal. Znowu była bliska łez.

*

Obudził ją komunikat: „Pilot włączył sygnalizację oznaczającą obowiązek zapięcia pasów. Lądujemy za piętnaście minut. W ten piękny czerwcowy poranek na Shannon dość mocno wieje, lecz według prognozy niedługo powinno się pojawić słońce”. Iris popatrzyła na chmury kłębiące się na niebieskim tle i na skrawek zieleni na dole.

Czekając na bagaż, włączyła telefon. Pikanie zasygnalizowało nadejście kilku wiadomości. Sprawdziła tę od Tess.

Witaj w domu! Sorry, kocie, nie mam jak Cię odebrać. Zamówiłam taksówkę. Zobaczymy się później. Rose jest w Londynie na jakiejś muzycznej okazji Z PRZYJACIELEM. Zgodnie z obietnicą nie wie, że przylatujesz. Wróci za kilka dni.

*

Kiedy podeszła do mężczyzny z tabliczką z jej nazwiskiem, ten z pogodnym uśmiechem odebrał od niej bagaż.

– Witam w kraju.

Rzeczywiście zgodnie z prognozą słońce od czasu do czasu wyłaniało się zza chmur, wyłaczając pola z pasącym się bydłem, żywopłoty z głogu i kwitnące bujnie fuksje.

Jechała w milczeniu wdzięczna taksówkarzowi, że nie próbuje nawiązywać rozmowy. Kiedy wysiadła z taksówki, Cicero zeskoczył z dachu niskiej komórki. Chyba nie zauważył, że nie było jej w domu całe pięć dni. Zamiast się z nią przywitać, wskoczył na stół i zajrzał do miski z jedzeniem. Iris postawiła walizkę i odczekała, aż taksówka odjedzie.

Ogród też nie wydawał się za nią stęskniony. Wyglądał bardzo porządnie. Komu czy czemu była potrzebna?

Życie w pojedynkę stanowiło umiejętność, której nadal się uczyła. Koniec tych zmagañ majaczył na końcu drogi, jaka pozostała jej do przebycia, lecz nadal nie potrafiła tam dotrzeć. Owszem, pokonała odległość pomiędzy rozpaczą po śmierci Luke’a a miejscem, w jakim była teraz. Mogła już, stojąc spokojnie w ogrodzie, słuchać szczebiotu jaskółek dymówek i z wdzięcznością myśleć o tym, ile zdołała osiągnąć. To moje życie. A jednak pragnęła czegoś więcej i tylko od niej zależało, czy to zdobędzie.

Niedawno czytała książkę o mężczyźnie, którego żona powstaje z martwych. Pojawia się w najdziwniejszych momentach, a potem znika. Chodzi o jakieś niedokończone sprawy. Któregoś dnia zjawia się i mówi: „Byłam szczęśliwa nie dzięki tobie, lecz sobie, ale twoja miłość niewątpliwie się do tego przyczyniła”. Potem znika i nigdy więcej już nie powraca.

Bardzo by chciała, żeby Luke też tak się pojawił i coś jej powiedział. Wskazał jej drogę. Istnienie bez jego miłości było największym życiowym wyzwaniem.

Otworzyła kluczem drzwi i weszła do domu. W kuchni ktoś usunął wazon z makami. Na jego miejscu stały dwa kubki.

*

Tess przyjechała późnym popołudniem. Wyciskała Iris, kilka razy obeszła ją wkoło i uściskała jeszcze raz.

– Biedactwo. – Odsunęła się, kładąc jej dłonie na ramionach. – Uciekłeś do Bostonu i odpuściłeś wizytę w klinice.

– Wiem.

Tess pokręciła głową, ale zaraz się uśmiechnęła.

– Dobra. Gdzie telefon? Zadzwoń i umówię cię na nowy termin.

– Już przesunęłam badanie na czwartek rano. – Iris się zawahała. – Pojedziesz ze mną?

– Oczywiście... a może wzięłabyś Rose?

– Nie wiem, Tess. Ona ma dosyć na głowie.

– No jasne.

Dziwnie to zabrzmiało, lecz Iris nie dostrzegła ironii.

– Poza tym nie znam jej planów. Pewnie nadal przeżywa tamten przeklęty występ.

– Och... myślę, że już jej przeszło.

Iris zmrużyła powieki.

– Nie doceniasz jej... – rzuciła przyjaciółka.

– Tess?

– Miałam na myśli, że ona jest bardziej odporna, niż ci się wydaje. Nie sądzisz, że być może jesteś zanadto opiekuńcza? Trochę nadopiekuńcza? Ciuteńkę nadopiekuńcza? To naturalne, ale...

– Napijesz się herbaty, szamanko Tess? – Iris odwróciła się i poszła do kuchni.

Przyjaciółka z uśmiechem podreptała za nią.

– A więc?

– Co więc?

– No więc dlaczego zniknęłaś bez słowa? I odnalazłaś się w Ameryce?

Iris w skupieniu nalewała herbatę.

– Ekscytująca tajna misja ogrodnicza?

Iris podniosła oczy na przyjaciółkę. Lśniły od łez.

– Boże drogi. Co jest? Iris? Co się dzieje?

Kiedy wreszcie się przemogła, słowa popłynęły jak potok.

– Przyrzekłam Luke'owi. Chciał, żebym odnalazła biologiczną matkę Rose na wypadek, gdyby coś się stało ze mną. Obiecałam mu to. A jeżeli wydarzy się coś złego? Dlatego pojechałam do Dublina. A potem poleciałam do Bostonu. Była tam, lecz...

– Była tam?

– Tak. Nie... To znaczy była, ale już jej nie ma. Nie żyje.

– Zwolnij, kocie. Po kolei.

Opowiedziała o Hilary, o tym, jak wzięła kopertę z ośrodka adopcyjnego i dwa dni później poleciała do Bostonu. Opisała wizytę na St Botolph Street 99 i przytoczyła rozmowę z kelnerem. Wspomniała o Mapparium i o wyprawie do Becket.

– Wszystko na nic. Wielki głupi błąd.

– Oooh, Iris. – Tess ją objęła.

– Nigdy ci o tym nie wspominałam, ale my z Lukiem ją poznaliśmy. Dawno temu...

Przykro mi, że nie żyje. – Westchnęła. – Tess, ona była prawdziwą matką mego dziecka.

Wysunęła się z objęć przyjaciółki i zaczęła krążyć wokół kuchennej wyspy, jakby chciała otrząsnąć się z dręczących ją myśli, jakby one były czymś w rodzaju liści uparcie trzymających

się drzewa.

– Iris, przestań! W ogóle tak nie mów. Ty jesteś jej...

– To byłoby nawet zabawne, gdyby nie było takie żalodne. – Przycisnęła dłonie do skroni.

– To dziwne, że można odczuwać smutek z powodu śmierci kogoś, kogo się na dobrą sprawę nie znało.

Zebrała włosy w garść i skręcała je tak długo, aż zwinęły się w kok nad karkiem. Odkręciła kran i ochlapała twarz wodą. Opanuj się, kobieto. Natychmiast. Z dłońmi opartymi o krawędź zlewu wpatrywała się w okno. Powojnik ciągle kwitł.

Tess stanęła obok i podała jej ścierkę do naczyń.

– Już dobrze, Iris. Wszystko się ułoży. Zobaczysz. Ja to wiem.

Wtedy opowiedziała jej o Grace i o dziwnym pensjonacie na South End; miejscu zdecydowanie niekonwencjonalnym – dodała ze śmiechem. Wspomniała o koncercie w Titus Sparrow Park i o wyjeździe do Berkshire Mountains. Przemilczała jednak osobę Hectora.

– Przykro mi, że musiałaś sama przez to wszystko przechodzić.

– Mniejsza o to. Tess, ja się boję. Boję się przyszłości. Śmierci. Ze względu na Rose.

Rozumiesz?

Sączyły herbatę w milczeniu, wsłuchane w warkot traktora na drodze za ogrodem. Iris nie była gotowa opowiedzieć jej nic więcej. Pojawił się Cicero i wskoczył na stół. Wzięła go na rękę i posadziła na kolanach. Czują, że Tess na nią patrzy, więc odwzajemniła spojrzenie.

– A co u ciebie? Co słyszać? Jak chłopcy? A Sean?

Słuchała z roztargnieniem relacji przyjaciółki z wydarzeń ostatnich dni. Chłopcy wytrwali na obozie piłkarskim (wielki sukces). Uczestniczyła w konferencji o przemocy wobec kobiet (statystyki są szokujące). A Sean jest pochłonięty planowaniem (festiwal muzyczny).

– Och, właśnie, Iris, skoro o tym mowa... Sean pyta, czy w tym roku też mu pomożesz.

– Hm, może. Jasne. Przypomnij mi, kiedy to jest.

– W ten weekend.

– W ten weekend? Hm. No dobrze. – Zupełnie wyleciało jej z głowy. Coroczny letni festiwal muzyczny. – Co miałabym robić?

– No wiesz, to co zazwyczaj. Oprawę z kwiatów. Ale... może... – Zmarszczyła brwi. – Zapomnij. Gdzie ja mam rozum? Posłuchaj. Nieważne... – Wzięła Iris za rękę, przy okazji plosząc kota. – Zobaczmy, co usłyszymy w klinice.

*

Rose zostawiła jej wiadomość, że „baardzo za nią tęskni”. Niesamowite, że Iris pojechała akurat do Ameryki – „i to beze mnie!”. Napisała, że zostanie jakiś czas w Londynie, bo ma tam sprawy do załatwienia. Nic ważnego. No i że jest tam z przyjacielem. Nowym przyjacielem. Wraca w czwartek po południu. I PS: „Mamuś, wszystko będzie dobrze“.

*

Tess stawiała się u niej w czwartek o wpół do ósmej, żeby ją zawieźć do Limerick Regional Hospital. Kiedy szły korytarzem, Iris zobaczyła napis: Onkologia, i po plecach przebiegł jej zimny dreszcz; to tutaj Luke usłyszał diagnozę. Tess uściśnęła jej ramię.

– Spokojnie, kocie.

Wizytę miały wyznaczoną na dziewiątą, a ponieważ przybyły sporo przed czasem, nie musiały jeszcze wchodzić do poczekalni, co im bardzo odpowiadało, bo dobrze wiedziały, jak nerwowo niektóre kobiety reagują na stwierdzenie: „Obawiam się, że nie mam dobrych wiadomości”.

W poczekalni Kliniki Piersi przeznaczonej dla pacjentów z zewnątrz przycupnęły na stojących rzędem plastikowych krzeselkach. Tess szeptem uczyła Iris relaksacyjnych ćwiczeń oddechowych, lecz to wcale nie pomagało. Jej umysł rządził się swoimi prawami. Nie potrafiła uwolnić się od lęku przed najgorszym z możliwych scenariuszy.

– Iris, dość. Nie ma co wybiegać myślami do przodu. Jakkolwiek będzie, damy sobie radę – powiedziała stanowczo Tess, odwracając się do niej, bo te myśli musiała mieć chyba wypisane na twarzy.

– Oczywiście. Wiem. Masz rację. Mnóstwo kobiet wychodzi z raka piersi.

– Tak właśnie jest. Bardzo wysoki odsetek. Rozumiem cię, bo straciłaś Luke’a. I boisz się słowa nowotwór. Iris, wymów je na głos. Nowotwór. Jeżeli rzeczywiście go masz, to go pokonamy.

– Pani Bowen?! Iris Bowen?!

Drgnęła. Zerwała się z krzesła, zrobiła krok i się odwróciła.

– Proszę cię, wejdź ze mną. – Wyciągnęła rękę do przyjaciółki.

– No, nie wiem – szepnęła Tess. – Pewnie mnie nie wpuszczą.

– Powiedz im, że jesteś pielęgniarką. Proszę.

Weszła do gabinetu z zasuwaną zasłoną, kozetką i dwoma krzesłami. Zza drzwi wyłoniła się L. z płomiennym czerwonym pasemkiem włosów.

– Och, to pani – wyrwało się Iris.

– Tak, to ja – potwierdziła, wyraźnie zaskoczona. – W poniedziałki i wtorki pracuję w Ennis. W środy i czwartki tutaj.

– Dobrze panią widzieć. Czy moja znajoma może ze mną wejść?

– Przykro mi, pani Bowen. Musi poczekać na zewnątrz. To nie potrwa długo.

– Proszę! Ona jest pielęgniarką, prawda, Tess?

Przyjaciółka solidarnie wyciągnęła do niej rękę.

– Będzie dobrze, kocie. Naprawdę. Jestem pewna, że wszystko będzie dobrze.

– Hm, właściwie nie powinnam, ale wiecie, co... Niech będzie. Może pani zostać – ustąpiła L. – Lecz do lekarza, pani Bowen, wejdzie już pani sama. Proszę rozebrać się do pasa i nałożyć to. – Podążyła jej znajomą niebieską pelerynkę z krepiny. – Za chwilę wrócę po panią i pójdziemy na USG.

– Awangardowa kobitka – skomentowała Tess, unosząc brwi, kiedy L. wyszła z gabinetu. – Te włosy. I kolczyk w nosie.

Iris skinęła głową pogrążona w myślach. Posłusznie się rozebrała, narzuciła pelerynkę i zaczęła chodzić. Z lewa na prawo i z powrotem.

– Wiesz, nie o siebie się martwię.

– Wiem. – Tess nie spuszczała z niej oczu. – Pewnie to nie najlepszy moment i z góry proszę, żebyś mi wybaczyła... ale...

– Domyślam się, co chcesz powiedzieć.

– Tak? – Tess położyła jej dłoń na plecach i kreśliła nią małe kółka, jakby chciała rozmasować ból. – Rose da sobie radę. Potrafi o siebie zadbać. Ma swoje życie.

– Ale...

– Nie można się przygotować na każdą ewentualność.

– Zostałaby sama, bez rodziny...

– Gdyby... – zaczęła Tess ze wzrokiem wbitym w podłogę, dopuszczając możliwość, że wszystko trzeba brać pod uwagę. – Ja zawsze będę przy niej... a kiedyś ona założy własną rodzinę – dokończyła, patrząc Iris prosto w oczy.

– Nie pojmujesz. Rose to zadanie mego życia. Nie mogę... odejść... nie doprowadzając

go do końca. Czuję odpowiedzialność, której ty nie rozumiesz. Nie możesz rozumieć. Ja zakłócam naturalny porządek rzeczy.

– To szaleństwo.

– Nie jestem jej prawdziwą matką.

– Iris!

Znowu zaczęła przemierzać gabinet.

– Czytałaś definicję pojęcia „matka”? Bo ja tak. Znam ją na pamięć. „To kobieta, która urodziła dziecko lub dzieci”. Jak myślisz, dlaczego biologicznych rodziców nazywa się „naturalnymi”?

Iris poczerwieniała na twarzy. Papierowa pelerynka zarazem grzała ją i ziębiła. Nigdy o tym z nikim nie rozmawiała. Nawet z Tess. Jeden Luke znał jej rozterki w związku z adopcją. Zachowywała się jak każda normalna matka, lecz w głębi duszy wiedziała, że jest inna. Wszystkie jej znajome miały własne dzieci. Czasami czuła się jak uzurpatorka. Nie była organiczna. Brakowało jej jakiegoś istotnego hormonu czy czegoś w tym rodzaju, co pojawia się wraz z zajściem w ciążę. Programu, który ładuje się na twój twardy dysk. Niewidzialnego poradnika, który podpowiada, kiedy twardo obstawać przy swoim, a gdzie odpuścić. To naturalny proces. Po prostu robi się swoje. Tymczasem ona jako matka adopcyjna stawiała sobie większe wymagania, a jednocześnie brakowało jej podstawowej rzeczy: instrukcji obsługi. Starala się ze wszystkich sił i traktowała rolę matki jako największe życiowe wyzwanie.

Tess była zszokowana. Z trudem hamowała łzy. Ona, zawsze taka wygadana, tym razem zaniemówiła. Iris była wdzięczna, że przyjaciółka nie próbuje zapełnić ciszy frazesami. Tyle ich się nasłuchiwała przez te wszystkie lata! „Udało ci się, nie poznałaś porannych mdłości!”. „Przynajmniej nie musiałaś przechodzić przez poród, szczęściaro!”. W odpowiedzi na takie banały, zresztą podyktowane dobrymi chęciami, jedynie kiwała głową.

– Iris Bowen – Tess miała łzy w oczach, kiedy wreszcie się odezwała – jesteś najbardziej naturalną matką, jaką znam.

Dokładnie w tym momencie wróciła L.

– Pani Bowen, proszę za mną. – Przytrzymała drzwi. – Wszystko będzie dobrze. Proszę mi wierzyć. – I... – uśmiechnęła się – ...mnie też miło panią widzieć.

Pojawiła się pielęgniarka, która pomogła Iris ułożyć się na kozetce, wyjęła jej kartę i sprawdziła nazwisko oraz datę urodzin. Na koniec dla dodania odwagi poklepała Iris po ramieniu. Drzwi się otworzyły i do gabinetu weszła pani w czółenkach na wysokich obcasach i białym fartuchu, spod którego wystawała ciemna spódnica.

– Dzień dobry, pani Bowen. Jestem doktor Browne. Zrobię pani USG.

Pielęgniarka posmarowała jej pierś żelem, a potem stanęła przy niej i wzięła ją za rękę. Poświata z monitora padała na młodą twarz lekarki. Doktor Browne wodziła głowicą po piersi Iris. Od czasu do czasu palcami wolnej dłoni uderzała w jakiś klawisz na klawiaturze.

– Proszę się nie niepokoić, robię zdjęcie.

Potem nakierowała przyrząd na miejsce, gdzie – jak Iris się domyślała – musiała być tamta zmiana, i zrobiła jeszcze kilka zdjęć.

Chociaż głowica była zimna, zdawała się parzyć jak żelazko. Lekarka wodziła nią tam i z powrotem, mocno dociskając do piersi. Bolało. Iris próbowała sobie wyobrazić, że wszystko, co tam w środku jest złe, zostaje wyprasowane; wygładza się i znika jak zagniecenia na niebieskiej lnianej sukience traktowane gorącą parą. Badanie zdawało się nie mieć końca. Drżała na całym ciele.

– Po prostu muszę mieć absolutną pewność. Te zaburzenia architektury potrafią być bardzo zwodnicze. – Lekarka w skupieniu wpatrywała się w monitor. Potem odłożyła głowicę

i odsunęła się od aparatu. Skinęła na pielęgniarkę, a ta otarła żel z piersi pacjentki i pomogła jej usiąść. Lekarka dała Iris czas na poprawienie pelerynki i dopiero wtedy podeszła do kozetki. – Musimy przyglądać się tej lewej piersi – powiedziała, kładąc jej dłoń na ramieniu. – Są tam miejsca z bardzo aktywną tkanką.

Iris się rozplakała.

– Inaczej mówiąc, sporo się tam dzieje. – Całe wieki zdawały się upłynąć, zanim dokończyła. – Ale nic niepokojącego nie widzę. Wszystko będzie dobrze.

Iris podniosła oczy.

– Tess! Tess! – zawołała.

Przyjaciółka, nie pytając o zgodę, wpadła do gabinetu.

– Niech pani doktor jej powie – Iris zwróciła się do lekarki. – Proszę jej powiedzieć to samo, co mnie.

A ponieważ tego dnia Iris Bowen wyglądała na osobę, której lepiej się nie sprzeciwiać, lekarka posłusznie wyrecytowała:

– Mamy tu do czynienia z aktywną tkanką.

– Inaczej mówiąc, sporo się tam dzieje – uzupełniła Iris.

– Dokładnie tak – potwierdziła doktor Browne, kiwając głową.

– Ale... – podchwyciła Tess.

– Ale nic złego nie widać.

– Nie widać nic złego – powtórzyła Iris, patrząc na przyjaciółkę, która chwilę później już trzymała ją w objęciach.

Kiedy się ubrała, przeszły przez poczekalnię, gdzie sześć zdenerwowanych kobiet oczekiwało na swoją kolej. Po drodze Iris uśmiechnęła się do L. Gdy maszerowały szerokim szpitalnym korytarzem ze świeżo pomalowanymi na miodowy kolor ścianami i reprodukcjami oprawionymi w ramy, Iris nagle się zatrzymała.

– Poczekaj! – rzuciła do Tess i pobiegła z powrotem. Wsunęła głowę w drzwi pomieszczenia znajdującego się przed gabinetem USG. L. akurat szykowała kolejną niebieską pelerynkę.

– Przepraszam, mogę o coś spytać? To mi nie daje spokoju. Jak pani ma na imię?

– Latara. Mam na imię Latara.

– Miło mi. – I zupełnie nie wiedząc dlaczego, wyściskała Latarę z ognistoczerwonymi włosami. – Dziękuję – wyszeptała. A potem jak na skrzydłach wybiegła ze szpitala. Tess podążyła za nią, z trudem dotrzymując jej kroku.

Rozdział szesnasty

Rose wraca do domu w czwartek. Z Conorem. Wchodzi furtką od ulicy, idzie ścieżką do frontowych drzwi, lecz matka nie wybiega jej na spotkanie. Wita ją jedynie kot.

– Gdzie ona jest?

– Mówisz o mamie?

– A wydawałoby się, że powinna być w domu. – Staje przed drzwiami i rozgląda się wokół siebie. – Jest jej samochód.

– Nie chcę się wtrącać, ale czy dałaś jej znać, o której będziemy? Czy wspomniałaś o moim...

– Nie.

Mruży oczy. To spojrzenie sprawia, że Conor na chwilę milknie. Wchodzą do kuchni. Za drzwiami widzą niebieskie kalosze Iris, a na blacie kartkę opartą o wysoki wazon z kwiatami. Gdy Rose przebiega ją wzrokiem, jej twarz poważnieje.

– Co takiego?

– Wizyta. Pojechała z Tess do Kliniki Piersi. Nie wiedziałam, że to dzisiaj.

Conor przygląda się dziewczynie z uwagą. Odgarnia jej włosy i kładzie rękę na plecach. Przyciąga ją do siebie, a ona wsuwa się w jego ramiona i przytula twarz do piersi. Rose i Conor są razem cztery dni i trzy noce, ale już stali się sobie bardzo bliscy. Ktoś, patrząc na nich z boku, mógłby pomyśleć, że są parą od wielu lat. Conor siada na sofie w kuchni i z troską obserwuje Rose.

– Wszystko będzie dobrze.

– Oby – wzdycha, wraca do drzwi i wpuszcza kota. Bierze go na rękę. – Chcesz mleczka, prawda, Cicero? Tak, pewnie, że chcesz. Pańcia ci zaraz da.

Kot próbuje wdrapać się na jej ramię, gdy nalewa mleka. Pozwala mu pić ze spodeczka na blacie, w zamyśleniu bawiąc się jego ogonem.

– Wiesz, z raka piersi się teraz wychodzi. Moja ciotka Fran miała taki nowotwór, a teraz jest zdrowa jak ryba.

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– Jasne. Nie ma problemu. – Wzrusza ramionami, uśmiecha się i zsuwa wełnianą czapkę na tył głowy. – Ale wiesz...

– Conor!

– Dobra. Zrozumiałem. – Splata ramiona na piersi. – Ta dziewczyna wie lepiej – zwraca się do Cicero, kiedy kot zeskakuje z blatu i ociera mu się o nogi.

Rose milczy. Wycofała się w ciemne i duszne miejsce gdzieś głęboko w sobie. Dzwoni do Iris, lecz natychmiast się włącza poczta głosowa. Nie nagrywa wiadomości.

Zadowolony Cicero podchodzi do drzwi. Rose idzie za nim i wypuszcza go na dwór. Conor wstaje z sofy i sięga do kieszeni po kluczyki

– Chyba będę się zbierał.

Ona odwraca się i patrzy na niego przez łązy.

– Dobrze – mówi Conor. – Przekonałaś mnie, zostanę.

*

W popołudniowym świetle zieleni w ogrodzie Ashwood ma wiele odcieni. Tu i ówdzie

znaczą ją kolorowe plamy. Czerwone maki. Niebieskie łubiny. Białe stokrotki z jaskrawożółtymi sercami. W głębi przy płocie motyle krążą nad krzewem z pióropuszcami fioletowych kwiatostanów. Z zachodu powoli toczą się po niebie wysrebrzone chmury.

Rose bardzo martwi się o matkę, lecz Conorowi udaje się skierować jej myśli na inne tory. Pyta, czy nie zagrałaby na skrzypkach.

– Jak rozumiem, masz na myśli skrzypce – poprawia go.

– Nie, skrzypki. Popis był super i w ogóle, lecz teraz jesteś w Irlandii, dziewczyno. Tutaj się gra na skrzypkach, wiesz?

Milczy chwilę, a potem wybucha śmiechem.

– Mój tata by cię polubił

On promienieje, bo wie, że to największy komplement w jej ustach.

– Pamiętam, że nie życzyłaś sobie żadnych uwag, ale powiem ci teraz, tak całkiem bezinteresownie, że grałaś fantastycznie. Dałaś czadu.

Rose bierze smyczek, wyjmuje skrzypce i zaczyna je stroić.

– Wiesz, że ten twój Roger wcale nie jest surferem?

– Ależ jest.

– Wcale nie.

– Poważnie? A tamten plakat?

– Dla szpanu. – Conor bierze do ręki swoje skrzypce.

– Skąd wiesz?

– Surfer wyczuje prawdziwego surfera na kilometr – mówi i szybkimi ruchami smyczka wygrywa efektowny pasaż. – A skrzypek prawdziwego skrzypka.

Zaczynają od *The Currach z Inishlacken* współczesnego irlandzkiego kompozytora Billa Whelana. *Koncert na skrzypki i skrzypce*. Rose uczyła się go w wolnym czasie. Trudny utwór, w którym muzyka celtycka miesza się z klasyką. Zna go z filmiku na YouTube, z koncertu Irish National Chamber Orchestra w Pekinie. Conor grywał go już wcześniej ze swoją matką.

– Naprawdę? – ekscytuje się Rose. – Była w Chinach?

– Taaak.

– Chcę tam pojechać!

– Graj!

Ten facet wie, jak mnie podejść – myśli Rose. On naprawdę mnie kręci. Szczerze mówiąc, ona lubi z kimś grać, być w grupie ludzi zanurzonych w muzyce, oddychających tymi samymi magicznymi dźwiękami. W czasie gry myśli o Andreasie. „Jesteś w muzyce, a muzyka jest w tobie”.

– Świetnie – chwali ją Conor. – Wiesz co? Moja mama by cię polubiła. – Zsuwa wełnianą czapkę na czubek głowy. – Przydasz się na festiwalu w ten weekend.

– Na jakim festiwalu?

– No jak to? Na jazzowym. W Doonbeg. W pewnym sensie się tam wprosiłem, a oni mnie przyjęli. Zagraasz ze mną?

Rose jest zaskoczona.

– No, nie wiem. Nie wiem. Nie za bardzo mi to wychodzi.

Zanim Conor zdąży cokolwiek powiedzieć, ona słyszy głosy na zewnątrz, odkłada skrzypce i biegnie do przeszkłonych przesuwanych drzwi. Matka z Tess idą ścieżką, lecz jeszcze jej nie widzą.

Otwiera drzwi.

– Mama?

Iris stawia ratanową torbę i rusza biegiem. Spotykają się w połowie drogi. Rzucają się

sobie w objęcia. Stoją ciasno przytulone, kołysząc się na boki. Rose wybucha płaczem.

– Nie, nie, nie. Nie płacz, skarbie. Nie trzeba. Nic mi nie jest. Nic złego się nie dzieje.

– Opowiadaj. Wszystko od początku. Co powiedzieli?

– Lekarka powiedziała, że twoja mama ma aktywną tkankę – donosi Tess, stając przy

nich.

– Co...

– Poważnie. – Tess się śmieje. – To USG trwało całe wieki, prawda, kocie?

– Bardzo zabawna kobieta. – Iris się uśmiecha. – Po badaniu powiedziała: „Sporo się tam dzieje, ale wszystko w porządku”.

– Nie powinnaś niczego zatajać – mówi Rose pomiędzy spazmami.

– Nie powinnam.

Rose, wreszcie uspokojona, ma wrażenie, że zaraz osunie się na trawnik. Matka bierze ją za rękę i kierują się do domu. Tess idzie przed nimi, a Cicero zamyka pochód.

– Przykro mi, że się przeze mnie martwiłaś – mówi cicho Iris, przytulając dłoń Rose do policzka.

– Mamo, poradziłabym sobie. Tata kazał mi się tobą opiekować.

– Wiem.

– Jak mogę się tobą opiekować, jeżeli nic mi nie mówisz?

– Wiem.

Rose przystaje.

– Nigdy więcej sekretów.

Tess pierwsza wchodzi do domu. Na twarzy Iris odmalowuje się zdziwienie, bo słyszy, że przyjaciółka z kimś rozmawia.

– Cześć, Conor! – Tess jest wyraźnie zdumiona jego obecnością.

Rose puszcza dłoń matki, wbiega do kuchni i staje obok chłopaka, zanim Iris zdąży wejść do domu.

– Mamuś, to jest Conor – przedstawia go z opuszczoną głową, żeby ukryć uśmiech błakający się na ustach. – Conorze – dodaje po chwili – to moja mama!

Widzi, jak matka rzuca ukradkiem spojrzenie Tess, po czym przenosi wzrok na nią, na Conora i na koniec zatrzymuje go na instrumentach w otwartych futerałach. Wszyscy czekają, aż coś powie. Nawet Cicero wskoczył na blat i patrzy na nią wyczekująco.

Trudno wyczytać z jej twarzy, co myśli, kiedy podchodzi do młodego człowieka, którego przecież zna.

– Conorze, miło cię znowu widzieć.

Wtedy miał długie włosy. Teraz są krótkie i kręcone. Kucyk zniknął, lecz wełniana czapka została. Iris odwraca się i zgarnia kota z blatu.

– Mnie też, pani Bowen. – Conor wyciąga do niej dłoń, lecz ona ma zajęte ręce. Trzyma kota.

– A więc... – mówi. – To twój nowy przyjaciel?

Rose rzuca matce ostrzegawcze spojrzenie. Cała czwórka stoi wokół kuchennej wyspy i przez sekundę Iris czuje się we własnym domu jakoś obco.

– Chyba czas na mnie – przerywa ciszę Tess. – Chłopcy chcą, żebym zabrała ich wieczorem do Doonbeg.

– Na festiwal? – pyta Conor.

– Tak – odpowiada, unosząc po swojemu brew.

– Naprawdę? Świetnie. My z Rose też jedziemy. Być może jutro oboje...

– Jeszcze nie zdecydowałam – Rose wchodzi mu w słowo ostrym tonem. Wszyscy

nieruchomieją. – Nie powiedziałam: tak.

Iris kręci głową.

– Mam takie wrażenie, jakby mnie tu nie było co najmniej przez miesiąc.

– Tak się dzieje, kiedy nie trzyma się ręki na pulsie, mamuś – mówi nieco gniewnie Rose. Conor spogląda na nią zaskoczony.

Tess ucisza dziewczynę porozumiewawczym mrugnięciem i kieruje się do wyjścia.

– Poradzisz sobie, kocie – zwraca się jeszcze do Iris. – Pa! Do zobaczenia!

– Ja też będę się zbierał – odzywa się Conor, patrząc wyczekująco na Rose, lecz ona unika jego wzroku. – Wrócę później, jeśli chcesz pojechać na dzisiejsze występy. A może pani ma ochotę pojechać, pani Bowen? Możemy się razem zabrać.

Iris spogląda na Rose, lecz ona milczy. Conor wzrusza ramionami.

– Cieszę się, że wszystko w porządku, pani Bowen. – Zamyka futerał ze skrzypcami i przechodzi przed Rose do drzwi. – Być może do zobaczenia później – mówi i waha się przez moment, jakby liczył na pocałunek.

Rose czuje na sobie wzrok Iris, kiedy pozwala mu wyjść. Spogląda na matkę, a potem na zewnątrz. Conor zszedł już z tarasu na ścieżkę i zmierza do samochodu.

– Zaczekaj! – woła i idzie za nim.

Zrównuje się z nim przy kamiennej altance obrośniętej powojnikami.

– Jeszcze nie zdecydowałam, czy zagram. Nie możesz oczekiwać...

– Chciałem zaproponować ci inny utwór, jeżeli Whelan wydaje ci się zbyt ryzykowny. Co powiesz na *Somewhere Over the Rainbow*? Skoro Grappelli i Frankie Gavin grają go klasycznie i folkowo, my też potrafimy, prawda?

Chce ją objąć, lecz ona robi unik.

– Przepraszam. Nie rozumiem, czemu jesteś taka podminowana.

Rose się odwraca. Jest wiele rzeczy, których on nie rozumie – myśli.

– No, dobra – odzywa się Conor. – Zastanów się i daj mi znać. – Muska ustami czubek jej głowy. – Rose, te ostatnie dni były dla mnie niesamowite. – Czekaj na jej reakcję. – Rose?

Dziewczyna zmusza się, aby stanąć do niego twarzą. Oprócz jej ojca Conor Flynn ma najłagodniejsze oczy na świecie.

– Zobaczymy się? – pyta Conor.

– Nie dzisiaj.

Jeszcze przez chwilę stoją w ogrodzie Iris. Płatek z powojnika niesiony podmuchem wiatru ląduje na jej ramieniu i sfruwa na ziemię. Rose na moment nieruchomieje ze wstrzymanym oddechem. Potem rzuca mu długie spojrzenie, którego on nie potrafi rozszyfrować. Następnie odwraca się i rusza w powrotną drogę do kuchni swojej matki.

Nie powiedziała mu, że utwór, który chce z nią zagrać, należał do ulubionych jej ojca. Nie wspomniała o tej dziwnej koincydencji i o tym, że w chwili kiedy o tym powiedział, ścisnęło się jej serce. Nie miała pewności, czy powinna mu to powiedzieć. Luke Bowen zebrał prawie wszystkie wykonania *Somewhere Over the Rainbow*, zarówno instrumentalne takich muzyków, jak Stéphane Grappelli, Néstor Torres, Jeff Beck czy Keith Jarrett, jak i wokalne: Franka Sinatry, Raya Charlesa, Plácido Domingo, Erica Claptona, Evy Cassidy, Williego Nelsona, Sarah Vaughan. Oczywiście nie mogło zabraknąć Judy Garland i ulubieńca taty Izraela Kamakawiwo'ole.

Wchodząc do kuchni, zastanawia się, czy to dobry moment na rozmowę o Conorze. Tyle było innych tematów po tej zwariowanej wyprawie Iris. Kurczę, co ona właściwie sobie myślała? I dlaczego akurat Boston?

Nagle dociera do niej inna myśl: mama jest zdrowa! Nic więcej się nie liczy. Nie ma raka!

– Mamuś! – woła, widząc, że ona nadal stoi w kuchni niczym centralny element puzzli. Nic więcej nie jest w stanie z siebie wydusić. Z płaczem rzuca się matce na szyję, spazmatycznie chwytając powietrze. A Iris kołysze ją w ramionach i gładzi po głowie.

– Mamuś, jak dobrze, że już wróciłaś. Mam ci tyle do opowiedzenia.

Wysuwa się z objęć i ociera łzy rękawem.

Rose nie rozumie spojrzenia matki; radość miesza się w nim ze smutkiem.

– Ja też, kochanie – mówi. – Ja też.

Rozdział siedemnasty

Rowan skierował się z Dublina na zachód. Jechał pod ołowiowoszarzym niebem. Był piątek w połowie czerwca. W dziwnym świetle okolica zdawała się mieć, jak śpiewał Johnny Cash, czterdzieści odcieni zieleni, łagodnie przechodzących jedne w drugie. Mięta, malachit, szmaragd, limonka. Kolory jak kredek z pudełka. Przypomniało mu się, jak w któreś Boże Narodzenie Burdy wyjął z kieszeni płaszcza komplet kolorowych ołówków. „Nic nie szkodzi, jak ci się zdarzy wyjechać poza linie” – szepnął.

W hrabstwie Laois przywitała go ulewa. Nabrzmiąle niebo nagle pociemniało. Migające wycieraczki nie nadążały zbierać wody. A potem tak samo niespodziewanie wyszło słońce, odbijając się w mokrym asfalcie. Tak chyba jest w tym kraju – pomyślał – że blask miesza się z ciemnością w dramatycznej walce pomiędzy słońcem i szarugą. Ominął Limerick i zostawił za sobą Shannon, wjeżdżając do północnej części Irlandii. Łabędzie zbiły się w gromadkę pod mostem. Stacje w radiu uciekały, jechał więc w ciszy, na zmianę pełen zwątpienia i nadziei.

Kiedy mijał pobrużdżone pole, w uszach zadźwięczały mu słowa Burdy’ego: „Od razu wiesz, że źle posłałeś piłkę. Przykładasz się, uderzasz i już wiesz. Piłka w sposób niekontrolowany skręca na prawą lub na lewą stronę i znika w wysokiej trawie. Wiesz, że nigdy jej nie znajdziesz, że jest stracona. Ale wleciesz się tam z torbą i rozgarniasz trawę kijem wokół miejsca, gdzie ją ostatnio widziałeś. Tak to już jest. Tak właśnie robisz”.

Przed wyjazdem z Dublina zajrzał jeszcze do Sonii McGowan i załatwił wpis do „Register for Adoption Contact”. Wypełnił formularz, podając swój adres. Na druku zaznaczył rubryki: *Naturalny ojciec* oraz *Prośba o kontakt*.

– Mam nadzieję, że to przynajmniej daje panu poczucie, że zrobił pan wszystko, co mógł; otworzył pan drzwi po swojej stronie, wykazując chęć nawiązania kontaktu. Córka otrzyma tę informację... o ile kiedykolwiek zdecyduje się jej poszukać.

Rowan podziękował urzędniczce i serdecznie uściśnął wyciągniętą do niego dłoń.

– Chcę postąpić właściwie – powiedział.

Tym razem Sonia wydawała się bardziej swobodna. Wygląda na odprężoną, nie ma tych sińców pod oczami – pomyślał.

– Przykro mi, panie Blake, to musiał być dla pana szok.

– Gdyby zdecydowała się mnie odszukać, proszę jej powiedzieć, że nie ma się czego obawiać. Jestem otwarty na każdą formę kontaktów, jaką wybierze.

– A jeżeli nigdy nie będzie pana szukać? Jak pan się z tym upora?

– Trudno stracić coś, czego się nigdy nie miało.

*

Ominął Shannon i pół godziny później zameldował się w hotelu w Ennis. Właściciel, niebieskooki, uśmiechnięty Allen, po powitaniu i pokazaniu hotelowego ogrodu, z dumą zaprowadził go do pokoju z widokiem na ów ogród i na katedrę po przeciwnej stronie ulicy.

Nie miał większego problemu z wytropieniem Iris i Luke’a Bowenów w internecie, chociaż odczuwał w związku z tym pewien dyskomfort. Obecnie bardzo łatwo namierzyć osobę, dysponując nawet bardzo skąpymi informacjami. Okazało się, że wgląd w metryki urodzenia (łącznie z danymi adopcyjnymi) jest ogólnie dostępny. Mając podstawowe dane, takie jak nazwisko i data urodzin, po krótkim dochodzeniu wystąpił z prośbą do odpowiednich władz

o metrykę Rose, którą przysłano mu do hotelu Merrion. Wszystko okazało się bardzo proste i gdyby to nie leżało w jego interesie, byłby takiej procedurze zdecydowanie przeciwny. Na metryce Rose widniały imiona i nazwisko rodziców: Iris i Luke Bowenowie. (Bez wzmianki o ich adopcyjnym statusie). Rowan z linku do archiwów „The Irish Times” dowiedział się, że Luke Bowen, adwokat, ukochany ojciec Rose i mąż Iris, zmarł po krótkiej chorobie dwa lata temu. Smutne. „Ukochany ojciec...” hm, musiał się z tym pogodzić, chociaż nie było łatwo.

Wpisał w Google „Iris Bowen” i po paru sekundach wyświetlił się jej blog. Kilka zdjęć ogrodu w wiejskim stylu i parę raczej oryginalnych wpisów, które sprowadziły uśmiech na jego twarz. (Napisał jej o tym). Wiadomość, że jest zamilowaną ogrodniczką, nie wiadomo dlaczego podniosła go na duchu.

*

Wieczorem w hotelu w Ennis rozmawiał przez telefon z bratem.

– Stary, powiem ci coś – zaczął Pierce. – Według mnie nie masz żadnych praw.

– Wiem, wiem. Pracownica socjalna w Dublinie to samo mi powiedziała.

– W takim razie co zamierzasz?

– Sam nie wiem. Ja... hm... ja podążam za piłką.

– Co?

– Posłuchaj, Pierce. Nie zrobię żadnego głupstwa. Nie poślę piłki tam, gdzie nie należy.

– Słusznie. To nie jest jakiś hollywoodzki film, Ro. To się dzieje naprawdę.

– Wiem. Ja tylko... cholera! Sam nie wiem.

Obaj zamilkli. Rowan stał przy oknie. Pomiędzy gałęziami starej brzozy prześwitywała rzeźba z szarego wapienia: dwie ogromne dłonie otwarte ku niebu. Przyszedł mu na myśl pomnik Roberta Emmeta. I chociaż nie był religijny, postanowił po drodze zajechać do kościoła i się pomodlić. Zawsze jest ten pierwszy raz.

– Chcę tylko zobaczyć, jak jej się żyje. Nic więcej. – Zamilkł. – Zaufaj mi – dodał po chwili. – Zachowam się odpowiednio do sytuacji.

– Dla kogo?

– Pierce... Powiedziałem, będę postępował odpowiednio do sytuacji.

Rowan wcale nie zakładał, że jako naturalny ojciec ma jakiegokolwiek prawa, szczególnie po tylu latach, lecz to wcale nie tłumilo tego... czegoś. Czegoś, co przypominało narastający latami głód, który dopiero teraz potrafił rozpoznać. Tęsknił za tą cząstką siebie, która była... jaka? Niezepsuta? Potrzebował potwierdzenia, że coś w życiu osiągnął? Że ma być z czego dumny? Że jakiegokolwiek zalety, odziedziczone po Burdym, jednak w nim przetrwały?

Pierce go poinformował, że naturalnym ojcom prawo do dziecka przysługuje wyłącznie w związkach małżeńskich. Według irlandzkiego ustawodawstwa dziecko nie ma ojca, jeżeli rodzice nie są małżeństwem. „Ukochany ojciec” – te słowa tkwiły w jego sercu jak cierń. Jednak musiał wiedzieć. Cokolwiek. Oczywiście nie stanie przed nią i nie powie: Jestem twoim ojcem. Biologicznym. Nie, to odpada. Postąpił odpowiednio do sytuacji.

Droga z Ennis na zachód prowadziła wzdłuż wybrzeża w odległości jakichś czterdziestu pięciu kilometrów od Atlantyku. Jak powiedział mu Allen z hotelu, West Clare leży na odludziu, i dlatego radził wybrać Doonbeg, bo tam przy wydmach znajdzie pole golfowe, są ładne widoki, a kuchnia w miejscowym hotelu serwuje smaczne lunchy. (Rowan nadal miał prochy Burdy’ego i planował je rozsypać dyskretnie na jakimś polu golfowym. A jednak odbędzie z dziadkiem planowaną od lat golfową wycieczkę). Ciągłe kierując się na zachód, wyjechał z małego miasta z wąskimi uliczkami, pubami i kawiarniami na pofałdowany teren, gdzie pośród kęp głogu i fuksji pasły się czarno-białe krowy. Dwadzieścia minut później niedaleko Kilrush droga

skręcała w prawo. Według tablicy informacyjnej prowadziła nad ocean.

Nawet gdyby miał adres Bowenów, nie zapukałby do ich drzwi. Nie figurowali w książce telefonicznej. Sprawdził to wcześniej. Jadąc, nigdzie nie widział ani nazw ulic, ani drogowskich.

Wmawiał sobie, że nie zamierza dociekać, gdzie dokładnie mieszkają Iris i Rose Bowenowie. Chce tylko mniej więcej się zorientować, jak wygląda to miejsce, gdzie Iris założyła ogród. Gdzie dorastała Rose. Tylko tyle. Potrzebował wrażenia bliskości.

*

Za kamiennym mostkiem przerzuconym nad wąską rzeczką droga się rozwidła. Przed luką w żywopłocie z prowadzącą na farmę bramą, o którą tarła łbem samotna krowa, stała przechylona furgonetka. Młody człowiek obok niej wyraźnie polował na okazję. Ponieważ wyglądał przyzwoicie, Rowan zjechał na pobocze i przewieszając się nad fotelem obok kierowcy, sięgnął do klamki.

– Hej, dzięki! – Młodzieniec otworzył drzwiczki. – Dokąd pan jedzie?

– Zdaje się, że na zachód. Niech pan wskakuje. Podrzucę, dokąd trzeba.

Chłopak wsiadł do samochodu i położył na kolanach coś, co wyglądało jak futerał skrzypiec.

– Rozkraczyła mi się furgonetka – powiedział, nie patrząc na Rowana. Albo się spieszył, albo coś go nurtowało, bo zdjął czapkę i obiema rękami nerwowo przegarniał włosy, jakby chciał w ten sposób pozbyć się jakichś nieprzyjemnych myśli. – Wytrzymała podróż do Londynu, a padła prawie przed domem – dodał i zabębnił palcami w deskę rozdzielczą. – I co teraz?

– Hm?

– No z tym moim samochodem.

– Przykra sprawa.

– Pan jest Amerykaninem?

– Tak.

– Przyjechał pan na wakacje?

Rowan kiwnął głową.

– Z Nowego Jorku. – Czuł, że powinien coś dodać. – Planuję pograć w golfa przez kilka dni.

Odniósł wrażenie, że jego pasażer zerknął na tylne siedzenie w poszukiwaniu torby z kijami, lecz raczej poniosła go wyobraźnia, bo kłamiąc, poczuł się jak przestępca.

– Najbliższe pole jest w Doonbeg. Tam pan jechał? Do Doonbeg?

– Podobno jest niezłe.

– Taaak. Ale jeszcze lepiej się tam surfuje.

Szybko dotarli do wioski, a kiedy mijali pub przy skrzyżowaniu, Rowan zerknął na swego rozmówcę. Był to wysoki mężczyzna. Oceniał, że ma jakieś trzydzieści lat. Zauważył świeżo wyprasowaną kraciatą koszulę i napięcie malujące się na twarzy. Kusiło go, aby zaproponować mu krótki postój w przybytku o nazwie Morrissey's, żółtym pubie ze staromodnymi drewnianymi drzwiami. Kufelek guinnessa wypity na zachodzie Irlandii od dawna był na jego liście spraw do odhaczenia. Ale, jak oznajmił bratu, zaczyna nowy rozdział w życiu. A matka doradziła metodę małych kroków. Jak dotąd wytrzymał bez alkoholu sześć dni. Może kiedyś będzie mógł przestać je liczyć.

– Chcę przekonać moją dziewczynę, o ile nadal jest moją dziewczyną, żeby dziś wieczorem zagrała ze mną w duecie. Jeżeli się zgodzi, musimy przelecieć ten nasz kawałek... chociaż ona nie musi dużo ćwiczyć. Od niej z domu pojechalibyśmy prosto na festiwal. No, ale

się porobiło i najpierw muszę znaleźć mechanika. W dodatku padła mi komórka.

Poprawił się nerwowo w fotelu, jakby dzięki gwałtownym ruchom chciał strząsnąć z siebie przygniatające go problemy.

Rowan minął pub i pokiwał głową.

– Festiwal? – zapytał po chwili.

– Taaak.

– Pan gra?

Wskazał na futerał na kolanach swego rozmówcy.

– Na skrzypkach. A moja dziewczyna... wszystko potrafi zagrać. Ma prawdziwy talent.

Rowan jechał powoli przez wieś, spodziewając się, że skrzypek lada chwila poprosi, by go wysadzić, jednak tak się nie stało. Stado ptaków wzbiło się w powietrze i zmieniło w wirującą chmurę na szarym niebie. Wąska droga, na której ledwo mogły się mijać samochody, poznaczona w oddali rzędem bungalowów, skręcała w kierunku oceanu. Niskie domy rozrzucone na zielonych polach przypominały kolorowe klocki. Sielskie, choć odludne miejsce. Po prawej stronie wznosiły się wydmy. Na skraju wsi Rowan zjechał na pobocze.

– Mogę jakoś pomóc?

– Naprawdę?

– Czemu nie. Nigdzie mi się nie spieszy.

– A co z zaliczeniem kilku dołków?

– Mam to w planie na jutro – wymyślił na poczekaniu, zaskoczony, że tak gładko kłamie.

– Poza tym jest za wcześnie na zameldowanie się w hotelu.

Jego pasażer rozpogodził się i wyraźnie odprężony poprawił się w fotelu. Naciągnął na głowę żółtą wełnianą czapkę.

– Podrzuciłby mnie pan do mechanika? Nie chcę pokazać się u niej bez samochodu i bez telefonu. Wyszędłbym na fajtlapę. A jak można na kimś takim polegać?

Rowan parsknął śmiechem.

– No, jasne. Z chęcią podwiozę.

Nie potrafił wytłumaczyć, skąd u niego to wrażenie, że powinien pomóc młodemu człowiekowi. Był za młody na jego ojca, a jednak chłopak budził w nim... co? Instynkt opiekuńczy? Wykonał na wąskiej drodze manewr na trzy i zawrócił na jedyną ulicę we wsi.

Zatrzymał samochód przed warsztatem Fitzpatricka.

– Podwiezie mnie pan jeszcze kawałek? Jak już pogadam z mechanikiem? – zapytał pasażer, otwierając drzwiczki.

– Jasne.

– Super. Rose mieszka tylko pięć kilometrów stąd – rzucił. – Oczywiście, o ile znajdę ją w domu.

Rowanowi żołądek podszedł do gardła. Wstrzymał oddech.

– Zaraz wracam.

Serce biło mu jak szalone. Rose? Spokojnie, musi się opanować, bo myśl, że ta Rose i jego Rose jest tą samą osobą, to jakieś wariactwo. Zapewne to imię musi być tutaj popularne. Wysiadł z samochodu i oparł się o karoserię. Zgięty wpół, z dłońmi wspartymi na kolanach, oddychał miarowo. Wielki Boże, czy to możliwe? Wyprostował się. Po przeciwnej stronie ulicy stał szereg jednopiętrowych domów. Starsza kobieta czyściła na zewnątrz okna niebieskiego, parterowego domku, używając do tego gazety. Stał skupiony na jej miarowych ruchach aż do powrotu swego pasażera.

– Załatwione. Gość wie, gdzie Rose mieszka, i obiecał odstawić tam furgonetkę. Według niego to wygląda na pasek klinowy. – Zawahał się. – Pan się dobrze czuje?

– Hm. Tak. Przepraszam. To ta różnica czasu.

– Wie pan co, ja już dam sobie radę.

– Nie, nie. W porządku. Podobno to niedaleko.

– Chodzi o to, że my się wczoraj trochę pokłóciliśmy – wyznał młody człowiek, kiedy Rowan ruszył sprzed warsztatu. – Chociaż, kurczę, nie bardzo wiem, o co właściwie poszło. Ale może się tak zdarzyć, że ona nie zechce mnie widzieć. Właściwie trudno to nazwać kłótnią. Sam nie wiem, co to było, ale chyba się na mnie obraziła. Cały czas kombinuję, co zrobiłem nie tak.

Rowan nie odpowiedział. Prowadził w milczeniu, czekając na wskazówki. Uchylił okno, bo twarz mu płonęła. Okolicę zasnuła mżawka. Jechał skoncentrowany wąską wiejską drogą wijącą się na horyzoncie po zboczu wzgórza. Żadnych domów w zasięgu wzroku. Ani żywego ducha. Serce nie przestawało tłuc mu się w piersi.

– O, to ta droga, tam, na lewo – odezwał się jakiś czas później jego towarzysz. – Dom stoi jakiś kilometr stąd.

Rowan skręcił na najwęższą drogę, jaką chyba w życiu widział. Miał wrażenie, że wjechał w zielony kalejdoskop. Kiedy dotarł na szczyt wzgórza, zobaczył dwa końskie łby ponad murem ułożonym z kamieni i skrawek oceanu na horyzoncie na zachodzie. Drogę z trawą pomiędzy koleinami wyłobionymi przez koła ograniczały wysokie krzewy z małymi czerwonymi kwiatkami, których nazwa uciekła mu z pamięci.

– *Deora Dé*. Boże łzy.

Zerknął w bok zdezorientowany i zaniepokojony. Czy to on powiedział? Nie wie, co robi? Może lepiej wysadzi tego faceta tutaj.

– To po irlandzku. Te czerwone kwiatki. Fuksje.

Uśmiechnął się dla zachowania pozorów, bo w duchu akurat toczył walkę z ogarniającą go słabością. Miał wrażenie, że wyparowuje z niego cała energia i miesza się z deszczem, a on sam wkrótce zmieni się w strumień, który spłynie do wielkiej rzeki łez innych samotnych dusz. Z gardła wyrwało mu się bolesne westchnienie, czym prędzej więc udał atak kaszlu, sprowadzony na ziemię zaskoczonym spojrzeniem swego pasażera. Skoncentrował całą uwagę na wąskiej drodze.

– Rose studiuje w Londynie w klasie skrzypiec – odezwał się jego towarzysz, akurat gdy kombinował, jak by sobie poradził, gdyby z naprzeciwka nadjechał traktor albo drugi samochód.

– Poznaliśmy się, kiedy jej rodzice zamówili u mnie skrzypce. Ja z miejsca się w niej zakochałem, a jej to zajęło więcej czasu. Jesteśmy razem siedem dni.

Rowan, nie odrywając oczu od drogi, intensywnie myślał: Powiedział „rodzice”. W „The Irish Times” napisali, że ojciec Rose nie żyje. W takim razie to nie jest jego Rose. Poczul ulgę i jednocześnie rozczarowanie.

– Kiedyś też chciałem zostać muzykiem – wyznał cicho, już opanowany. – Ale nigdy nie byłbym w tym dobry.

– Tak? A na czym pan gra?

– Na saksofonie. Bardzo przeciętnie. Nadaję się na wesela i na pogrzeby – dodał skromnie i uśmiechnął się, odzyskując dobry humor.

– Nieźle. – Młody człowiek zaczął bębnić palcami po futerał. – My, muzycy, jesteśmy jedną wielką rodziną, no nie? O, to już tu, za zakrętem. Następny dom.

– Mogę zaczekać, gdyby ona... to znaczy Rose... nie chciała z panem rozmawiać – zaproponował Rowan, odwracając nieco głowę w jego stronę.

– Ha. Nie. Proszę się nie przejmować. Odzyskam ją. Będę... błagał, jeżeli zajdzie potrzeba. A potem namówię, aby dziś wieczorem ze mną zagrała. I myślę, że się zgodzi. – Uśmiechnął się. – Mimo wszystko dziękuję.

Rowan zatrzymał samochód na krótkim podjeździe przy kamiennej altanie z drzwiami pomalowanymi wyblakłą czarną farbą. Tu i ówdzie było widać ślady wcześniejszej, czerwonej warstwy. Powojnik kwitnący na niebiesko piął się aż na szczyt niskiego budynku po drugiej stronie wejścia i oplatał otwarte drewniane drzwi. (Wiedział, że to powojnik, a odmiana nazywa się 'Alice Fisk') Niespodziewanie wszystkie nazwy zaczęły powracać. Wzdłuż muru stało kilka doniczek z agapantami afrykańskimi. Ich zwyczajowa nazwa to lilie Nilu. Ten widok kojarzył mu się z czymś znajomym.

Jego pasażer, zanim sięgnął do drzwi, otworzył futerał i wyjął coś spod smyczka.

– To dla pana – powiedział, podając mu bilet. – Niech pan przyjdzie. Dzisiejszy koncert jest w domu kultury.

– Dziękuję. – Wziął bilet i się uśmiechnął. – Zobaczę. Ale dzięki za zaproszenie.

Gdy skrzypek wysiadł i już miał zamknąć za sobą drzwi, Rowan, jakby chcąc przeciągnąć tę chwilę, rzucił za nim:

– Ładnie mieszka ta pana Rose.

Młody człowiek popatrzył przed siebie i pokiwał głową.

– Taak. Jej mama jest ogrodniczką.

Rowanowi zaparło dech, jakby nagle trąba powietrzna wyssała cały tlen z samochodu.

*

Osiemnasty rząd, miejsce C przy przejściu, samolot linii Aer Lingus, kurs z Bostonu do Shannon. Po siedmiogodzinnym locie Hector znalazł się w Irlandii. Była szósta rano i padał deszcz. Już gorzej być nie mogło. Dotarł do hali przylotów przemarznięty do szpiku kości. Skierował się prosto do „Informacji”, gdzie ładna młoda kobieta z mnóstwem małych kolczyków zdobiących lewe ucho wręcz zdawała się na niego czekać.

– Witamy w Irlandii. – Z uśmiechem popatrzyła na jego koszulę i ręce pokryte gęsią skórka. – Tutaj nie Hawaje. – Spod rękawa jego koszuli wystawały szpony orła wytatuowanego na ramieniu.

– Ale macie lato, tak?

– Przez chwilę było ładnie. – Westchnęła. – W czym mogę pomóc?

– Chcę wypożyczyć samochód. Zarezerwować pokój w hotelu. Trafić do miejsca, które nazywa się Ashwood.

Podsunał jej karteczkę, na której Grace napisała mu adres Iris.

– Rozumiem. – Wskazała stanowisko wypożyczalni samochodów. – Jak pan tam wszystko załatwi, proszę do mnie wrócić. Zrobimy rezerwację hotelu i dam panu mapę.

Uśmiechnęła się czarująco. Była bardzo miła.

Gdy wrócił z kluczykami, zaznaczyła mu Ashwood na mapie.

– To takie maleństwo w hrabstwie West Clare – wyjaśniła. – Jedzie się tą drogą. Dojazd zajmie panu godzinę. Obawiam się, że nie znajdzie pan wolnego miejsca w okolicznych pensjonatach, bo w ten weekend odbywa się tam festiwal. – Podniosła wzrok znad mapy. – Ale mogę zarezerwować pokój w naprawdę miłym hotelu.

– Festiwal?

– Organizują tam co roku festiwal jazzowy.

– Wie pani co... – Przypomniało mu się, że Iris o tym wspomniała.

– Tak?

– Jazz... to moja bajka.

– Och. W takim razie Lodge. Spodoba się tam panu. I nie będzie problemu z pokojem.

– A deszcz?

– Przystanie padać za pięć minut.

*

Przestało po dziesięciu. Jadąc, z trudem utrzymywał otwarte oczy, lecz z tego, co udało mu się zobaczyć, trafił w środek rolniczych terenów z krowami, koźmi i kózami z żółtych i zielonych poletek porozdzielanych kamiennymi murkami i jakimiś dziko rosnącymi krzakami. Na szczęście wynajął samochód z nawigacją satelitarną. Dzięki Bogu, że na to wpadł, bo nie widział tu ani tablic informacyjnych, ani drogowskazów. Damski głos w GPS-ie przemawiał do niego matczym tonem: „Na następnym skrzyżowaniu skręć w lewo”. „Na rondzie wybierz drugi zjazd”. Ten głos był dla niego czymś w rodzaju Ducha Opatrznościowego, pilnującego, aby nie spieprzył sprawy i dotarł tam, gdzie należy. A zgubić się na tej sielsko-wiejskiej połaci ziemi nie było trudno. Dziwna sprawa, lecz im bardziej zbliżał się do tego zakątka świata, gdzie mieszkała Iris, tym bardziej jej pragnął.

Lodge, polecane przez śliczną dziewczynę z kolczykami, wcale nie okazało się schroniskiem, jak można było wywnioskować z nazwy, lecz dość eleganckim pięciogwiazdkowym hotelem wzniesionym przy paśmie wydm. Ciekawe miejsce, lecz Hector czuł się tam dziwnie nieswojo. Z pokoju miał widok na szary bezkres Atlantyku wtopiony w ołowiane chmury na linii horyzontu. W oddali padał deszcz. Przyszła mu na myśl jego piękna Julia i słowa, które po raz pierwszy usłyszał wiele lat temu: „Rak piersi, trzecie stadium”. Cholera. Pokładał nadzieję w Bogu, że nigdy więcej tych słów nie usłyszy i że nic takiego nie dotknęło Iris. Biednej, słodkiej, wrażliwej Iris. Musiał to wiedzieć. Pamiętał jej przyrzeczenie złożone mężowi i teraz rozumiał, dlaczego tak bardzo chciała odnaleźć Hilary. Dla Rose.

Kilka godzin później po drzemce i lekkim lunchu pokazał mapę recepcjonistce na wypadek, gdyby Pani Nawigacja nie знаła drogi, i usłyszał, że czeka go zaledwie kwadrans jazdy w głąb łądu. I tak o czwartej po południu Hector Sherr zostawił za sobą wybrzeże i obrał kierunek na Ashwood. Deszcz ustał, jechał jednak powoli, bo droga była wąska i kręta. Niskie domki wyglądały jak kolorowe klocki rozrzucone na zielonym tle. Zgodnie z poleceniem skręcił w prawo u stóp połałdowanego wzgórza i na tym współpraca z matkującym mu głosem się zakończyła, bo Pani Nawigacja zamilkła na dobre.

Pozbawiony wskazówek, piął się po zboczu wzgórza, które przed nim wyrosło. Bujne krzewy z małymi czerwonymi kwiatkami porastały wąską drogę z obydwu stron. Dziki krajobraz – pomyślał. Miał tylko nadzieję, że Duch Opatrznościowy wiedział, co czyni, bo teraz zdawał się tonąć wraz z samochodem w najgęstszej zieleni, jaką miał okazję kiedykolwiek widzieć. Nawet powietrze, którym oddychał, wydawało się zielone i pachniało sianem. Na szczycie wzgórza srokaty koń i kasztanka wystawiały łby ponad kamiennym ogrodzeniem. Zdawały się patrzeć na skrawek oceanu na zachodnim horyzoncie jakieś piętnaście kilometrów stąd. Hector zatrzymał się i wysiadł z samochodu. Droga prowadziła dalej po wyżynie, lecz nie było żadnych domów. Konie podeszły do niego. Zobaczył swoje odbicie w oku klaczy i wydało mu się, że ona do niego przemówiła. Wzdrygnął się i chwiejnym krokiem wrócił do auta.

Pół kilometra dalej, za zakrętem, ukazał się podjazd wciśnięty pomiędzy dwa budynki z kamieni, z których jeden miał czarne drzwi. Coś w rodzaju winorośli obsypanej niebieskimi kwiatami pięło się po niższym budynku i oplatało otwartą drewnianą bramę. Przy murze stały rzędem jakieś rośliny w doniczkach.

To musi być tutaj. To miejsce ma charakter Iris.

Zaparkował samochód przed bramą. Serce, tłukąc się o żebra, zdawało się rozsadzać mu pierś. Ból, żal i nadzieja narzucały mu rytm. Hector poczuł suchość w gardle. Ona tu jest.

– No dalej, chłopie, śmiało.

Dał krok ponad kamiennym przełazem i idąc wzdłuż rzędu kwiatów w doniczkach, dotarł do luki w wysokim żywopłocie. W jednej chwili znalazł się w niesamowitym, zapierającym dech w piersiach ogrodzie. Zamarł na moment jak pogrążony w transie. Trafiłem do Szmaragdowej Krainy, gdzie mieszka błękitna Iris – pomyślał.

– Hm... dzień dobry? Mogę w czymś pomóc? – Z domu wyjrzała młoda kobieta z długimi brązowymi włosami.

– Szukam Iris. Iris Bowen.

Dziewczyna przyglądała mu się przez chwilę, po czym podeszła bliżej.

– Nie ma jej.

– Czy u niej wszystko w porządku?

To pytanie zadane gwałtownym, gorączkowym tonem wyraźnie ją zaskoczyło.

– Taaak. W porządku – odparła ostrożnie. – Hm... Jest pan jej znajomym?

– Pani musi być Rose... – powiedział, robiąc parę kroków w stronę dziewczyny. –

Poznałem pani mamę w zeszłym tygodniu w Bostonie.

– Aha... – Zamilkła na chwilę. – Słyszałam jedynie o właścicielce pensjonatu.

– Grace Hale. Kolejna miła osoba... jak Iris... to znaczy jak pani mama. – Podeszedł jeszcze bliżej. – Jestem Hector Sherr. – Podali sobie dłonie. – Miło mi panią poznać, Rose.

Oboje przez chwilę nic nie mówili. Hector przestąpił z nogi na nogę, Rose stała nieruchomo.

– Mama dużo o pani mówiła. Jest pani muzykiem, prawda?

– Tak.

– Ja też.

– Och, to miło... hm... czy mama się pana spodziewa?

– Właściwie nie. Ten przyjazd to spontaniczna decyzja. Chciałem zobaczyć, co u niej słychać. To znaczy...

– Nie mam pojęcia, kiedy ona wróci, ale powiem jej, że pan tu był.

– Tak. Bardzo proszę.... Chciałbym...

– Gdzie się pan zatrzymał?

Twarda sztuka – pomyślał. Lecz czy można mieć jej to za złe? Ni stąd, ni zowąd jakiś obcy facet zjawia się w ogrodzie jej matki i zaczyna węszyć.

– W miejscowości o nazwie Done Beg.

– Doonbeg. – Uśmiechnęła się. – Przekażę mamie.

– Podobno jest tam jakiś festiwal muzyczny w ten weekend?

Nie usłyszał odpowiedzi, a tak bardzo chciałby: Ależ tak, jest, jedziemy tam, mama też się wybiera i będziemy się wszyscy świetnie bawić. Niestety, ta dziewczyna była dyskretna. I nie zamierzała mu nic powiedzieć. Nie dowie się od niej tego, co tak bardzo chciał wiedzieć: czy Iris jest zdrowa. Hector, chłopie, wyluzuj – upomniał się w myślach. A jeżeli wiadomości nie są pomyślne? Przecież ona mu tego nie powie. To nie jego sprawa.

– To ja już sobie pójdę. – Jednak nie ruszył się z miejsca, jeszcze licząc na jakąś zachętę ze strony Rose. – Miło mi było panią poznać – dodał po chwili, odwrócił się, wyszedł na zewnątrz przez szczelinę w żywopłocie, wszedł do samochodu i skierował się z powrotem na zachód.

Wróci tu jutro.

I pojutrze.

Będzie tak długo wracał, aż zobaczy się z Iris Bowen.

*

Mała wieś Doonbeg nie wydawała się odpowiednim miejscem do organizacji międzynarodowego festiwalu muzycznego. Prawdopodobnie gdyby nie położenie blisko morza, mogłaby pozostać niezauważona w kalendarzu irlandzkich letnich imprez. W Irlandii zarówno organizatorzy, jak i uczestnicy podobnych festiwali zawsze musieli się liczyć z figlami, jakie potrafi płać pogoda. Od dwutysięcznego roku grupa okolicznych mieszkańców organizowała festiwal, który ściągał do Doonbeg półprofesjonalnych muzyków z całego świata. Od początku przyjęto zasadę, że wszelka pomoc w przygotowaniach do imprezy jest mile widziana. Wolontariusze wywodzili się z najróżniejszych środowisk społeczności West Clare. Sean, mąż Tess, był w komitecie organizacyjnym, a ona odpowiadała za bilety na loterię w sobotni wieczór. Do Iris należało ułożenie aranżacji z kwiatów.

Festiwal stanowił okazję do zarobku dla miejscowych hoteli i pensjonatów, które częściowo tę imprezę sponsorowały. Luke, zanim zachorował, zwoził muzyków z lotniska i załatwiał im noclegi.

*

W dzień koncertu otwierającego festiwal Iris umówiła się z Tess na lunch w hotelowym ogrodzie w Ennis. Pogoda im sprzyjała, bo akurat wyszło słońce i mogły usiąść na dworze w cieniu starego czerwonolistnego buka. Ogrodnicy przycinali żywopłot z bukszpanów. Iris najchętniej znalazłaby się w tej chwili we własnym ogrodzie, bo grzebanie w ziemi pomagało jej porządkować myśli. A pojawiło się kilka spraw do przemyślenia. Zaskoczyła ją obecność tamtego młodego człowieka w życiu jej córki. Poza tym skoro nie miała umrzeć, musiała znaleźć jakiś pomysł na siebie. I bardzo chciała opowiedzieć przyjaciółce o Hectorze. Dlatego ogród musi poczekać. Im więcej myślała o znajomym z Bostonu, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że postąpiła pochopnie, wyjeżdżając bez pożegnania. On był dla niej jak powiew świeżego powietrza. Szczerze mówiąc, potrzebowała się komuś zwierzyć, a poza tym, przemilczając tę historię przed Tess, czułaby się winna. Jakby posunęła się do czegoś niewłaściwego.

No i jeszcze jedno. Chciała donieść przyjaciółce, że... zaiskrzyło. A więc zostało w niej jeszcze trochę życia.

I kiedy już otwierała usta, żeby zacząć opowiadać, zabręczała komórka Tess.

– Odbierz chłopców ze szkoły piłkarskiej. Muszę jechać do domu kultury – przeczytała na głos. Westchnęła i wstała od stolika. – O czym chciałaś mi powiedzieć?

– Ach, nic takiego. Pogadamy później. – Iris machnęła ręką, zdobywając się na uśmiech. Tess pobiegła, a ona jeszcze chwilę została w ogrodzie.

*

Krótko po czwartej wróciła do domu z zakupami. Gdy wysiadła z samochodu, do jej uszu dobiegły dźwięki muzyki. Przystanęła wsłuchana w melodię przebijającą się przez wykonywane na skrzypcach tryle. *Somewhere Over the Rainbow*. A jednak Rose zagra na koncercie – pomyślała. Z Conorem. Ucieszyła się, bo gdy córka opowiedziała jej o swoich przejściach z neurotycznym panem Ballantyne'em, już miała zasugerować, że może powinna odpocząć od studiów w Londynie. Posiedzieć w domu w Irlandii albo wziąć dziekanę i podróżować. Cokolwiek. Rose nigdy jeszcze nie pracowała, może jakieś zajęcie dobrze by jej zrobiło. Obie miały za sobą dwa trudne lata, a teraz, kiedy usłyszała, że to zaburzenie architektury to tylko drobne zwapnienia, mogłyby razem gdzieś się wybrać. Ale to raczej nie wchodzi w grę. W życiu Rose pojawiła się nowa osoba. Na myśl o tym poczuła znaną jedynie matkom radość zmieszaną ze smutkiem.

Wiatr strząsnął płatki z powojnika, pozostawiając szypułki podobne do pomponików ze srebrnych włókien. Lato chyliło się ku jesieni. Iris stała jeszcze przez chwilę wsłuchana w muzykę, zanim weszła do domu.

– Cześć, mamuś! – Rose odłożyła skrzypce. – Udał się lunch?

– Tak, owszem. Siedziałyśmy na dworze, dopóki nie przegoniły nas chmury. – Postawiła siatki na blacie. – Świetnie wam ten kawałek wychodzi. Liczę, że wieczorem usłyszysz was w duecie.

– Rose Bowen to prawdziwa wirtuozka – odezwał się Conor. – Publiczność festiwalowa nie ma pojęcia, jaka ucztą ją czeka, kiedy ta wybitna skrzypaczka zagra jazz z wiejskim skrzypkiem z Kinvary Conorem Flynnem.

Rose się uśmiechnęła, a Iris zaczęła rozpakowywać zakupy.

– Mamo? – Rose zerknęła na Conora i przeniosła wzrok na nią. – Znasz jakiegoś Hectora?

Znieruchomiała. Minął jakiś czas, zanim odwróciła się do córki.

– Conor, mówiłam ci, że tak chyba on miał na imię, prawda? – Dziewczyna nie odrywała oczu od matki.

– No, i że jest wysoki i sympatyczny. Amerykanin. W hawajskiej koszuli.

– Hector? – Iris tylko tyle zdołała wykrztusić.

– Powiedział, że poznaliście się w Bostonie.

Skupiła się z powrotem na wykładaniu zakupów. Nie do wiary. On? Tutaj? To jakiś absurd. Hector? Ustawiła rzędem cukier, paczkę rodzynek, maślanek i sos pomidorowy. Niedorzeczne i szalone, a jednak... Odwróciła się, żeby ukryć rumieńce.

– Mamuś?

– Co?

– Powiedz mi.

– Nie mogę. Nie... teraz. Mam dużo roboty. Muszę... muszę zająć się blogiem.

I obiecałam Tess, że zrobię dekorację z kwiatów na wieczór.

Otworzyła lodówkę, chowając się za jej drzwiami.

– Wydaje się sympatyczny – stwierdziła Rose. – Trochę odjechany, ale w miły sposób.

– Czy przypadkiem nie powinniście więcej poćwiczyć?

– Konkret, mamo.

– Nie. Idźcie już. Nie teraz, Rose.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i pociągnęła Conora na oszkloną werandę. Obejrzała się jeszcze na matkę, łapiąc ją na uśmiechu.

– Powiem ci później – obiecała Iris. – Dobrze?

– Jasne. Nie mogę się doczekać.

Gdy Rose z Conorem zajęli się grą, mogła się wreszcie skupić na własnych myślach. Coś takiego. Hector tutaj? Jak tu trafił? Jak ją znalazł? Hector... To zupełnie tak, jakby maczek kalifornijski niespodziewanie wyrósł na jej kwietniku! Czego chciał? To szaleństwo, zupełne wariactwo.

Uciekła na dwór, żeby dokończyć kompozycję z kwiatów na estradę. Akurat kwitł przywrotnik ostroklapowy, rosnący wzdłuż ścieżki. Nieco chaotycznie nacięła gałązek i nawrzucała do kosza. Zerwała kilka czarnuszek damasceńskich, parę dorodnych liści funkii i razem z kosmosami pierzastolistnymi wstawiła do czarnej konewki, która miała pełnić funkcję wazonu. Przydałoby się więcej kolorów. Z lekkim wahaniem ścięła przed werandą dwa ostatnie już czerwone maki.

W altance trzęsącymi się dłońmi układała wiązanekę. Jak to... Hector? Tu, w Ashwood?

Był w jej ogrodzie? Rozmawiał z Rose? Usiłowała się skoncentrować na pracy, lecz kwiaty ciągle przechylały się na wszystkie strony. Wsunęła w sam środek czerwoną różę na długiej łodydze i kompozycja nareszcie nabrała kształtu.

– Mamuś? – Rose wyszła na ścieżkę. – Mamo? Jest furgonetka Conora. Zreperowana. Jedziemy do Doonbeg wrzucić coś na ruszt. Możemy się później tam spotkać? Conor jest z kimś umówiony.

– Oczywiście.

– Dobrze się czujesz? – Obrzuciła matkę czujnym spojrzeniem.

– Jasne... Jesteś w domu. Więcej mi nic nie potrzeba. No i... wieczorem będę słuchać, jak grasz.

Rose uśmiechnęła się niewyraźnie. Ruszyła za Conorem, lecz po kilku krokach się cofnęła.

– Myślisz, że miałby za złe?

Iris trzymała oburącz bukiet przed sobą. Duże kielichy maków zasłaniały jej twarz.

– Kto? I co miałby za złe?

– Dobrze wiesz! Tata.

Poczuła, że oblewa się rumieńcem.

– Czy miałby mi za złe...? – Rose się zająknęła.

– Och! – Iris odetchnęła z ulgą, teraz widząc, że ona nie pyta, czy Luke miałby pretensje o Hectora.

– ...że zagram *Somewhere Over the Rainbow*? – dokończyła.

– Myślę, że byłby szczęśliwy.

Opuściła bukiet.

– A ty?

– Ja? Ja się cieszę.

Odstawiła konewkę z wiązanką na drewniany stół, objęła córkę i razem podeszły do Conora, który oglądał swoją furgonetkę z taką miną, z jaką patrzy się na niezrównoważonego przyjaciela, któremu wiele można wybaczyć.

– Jedziemy? – zwrócił się do Rose. – Do widzenia, pani Bowen!

– Myślę, że możesz mi mówić Iris.

Rose ucałowała matkę.

– Nie wywiniesz się. Chcę wszystko wiedzieć o panu Hectorze Sherr – wyszeptwała.

– Uciekaj! – Iris ponagliła ją machnięciem dłoni.

Wracając do domu, wzięła Cicero na ręce i zaniósła do kuchni. Ponieważ nie miała ochoty robić kolacji tylko dla siebie, wyjęła z lodówki krakersy i ser. Ukroiła kilka plasterków dla kota.

– Czy on nie jest miły? – zwróciła się do Cicero. – Hm? No, powiedz? Jest?

Gładząc kota po grzbiecie, czekała, aż zagotuje się woda na herbatę. Dwa tygodnie bez pracy w ogrodzie, a jej dłonie już wyglądały lepiej. Znikły zadziorki na wskazujących palcach, nawet paznokcie odrosły. Zahaczyła ślubną obrączką o obrózkę na szyi Cicero i nie wiadomo dlaczego przypomniał jej się tamten sen z uśmiechniętym Lukiem idącym ku niej z morza. Niósł szkatułkę. Szkatułka była otwarta.

Miała jeszcze czas, by umyć głowę. Wyjęła z szafki szampon i umyła włosy nad zlewem. Piana pachniała jabłkami i cynamonem. Z turbanem z ręcznika zasiadła do komputera, żeby zrobić wpis do blogu, który układał jej się w myślach.

Morze się zmienia. Jest środek deszczowego lata, lecz deszcz nie powstrzyma zmian dokonujących się w przyrodzie. Będą się działy z tobą lub bez ciebie – zmieniają się pory roku,

wygląd ogrodu, zmianie ulega sama muzyka życia. Może liczysz, że deszcz spowolni te zmiany, a nawet masz taką nadzieję. Lecz nic nie powstrzyma przejścia lata w jesień. Kukulki odlatują na południe. Piskłeta wróbla odrywają się od belek pod okapem dachu. Fioletowa barwa wrzosowisk zmienia się na pomarańczową.

Ani wiatr, ani deszcz, ani słońce, ani szare chmury nie powstrzymają przechodzenia jednej pory roku w następną. Ani zmian dokonujących się w nas samych. Tę prawdę odkryła dzisiaj wasza niezbyt bystra rudowłosa ogrodniczka. Ogród uczy nas zaufania. Akceptujcie zmiany.

Zawołajcie głośno: śmiało, do przodu!

I celebrujcie życie.

O siódmej Iris pojechała na zachód w stronę oceanu. Zrobiło się późno. Jechała szybko, co chwilę zerkając za siebie, na czarną konewkę chybotającą się na tylnym siedzeniu. Nie powinna napęłniać jej wodą. Deszcz przesunął się na wschód, tu i ówdzie między chmurami przezierał błękit. Słońce oświetlało pola za wioską Spanish Point. Tutaj w środku lata zmierzch zapadał dopiero o jedenastej wieczorem. To czas Irlandii w pełnej krasie.

Postanowiła, że nie powie Rose o Hilary – przynajmniej na razie. W tej chwili nie ma takiej potrzeby. Dzięki Bogu jeszcze nie żegna się z tym światem. Działała pod wpływem strachu. Bała się, że Rose zostanie sama, że zabraknie jej matczynego wsparcia. Tess miała rację. Nie można przewidzieć wszystkiego. Jej córka ma teraz własne życie i biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, całkiem dobrze sobie radzi. Udany recital. Dobrze rokujący związek z Conorem. Prawdę mówiąc, ta dziewczyna rozkwitała na jej oczach. Rozkwitała i dojrzewała w sposób, który dowodził, że całe to wychowywanie, pielęgnowanie, pocieszanie, wspieranie, czasem karcenie, stawianie wymagań, jednym słowem, matkowanie – tak, prawdziwe matkowanie – stworzyło Rose możliwości rozkwitu.

Z czasem okoliczności życiowe sprawią, że Rose opuści Ashwood – zapewne wcześniej, niż Iris będzie na to gotowa. Musi być przygotowana na taką ewentualność, i będzie – i jakoś się z tym upora. Sonia McGowan miała rację. To Rose musi chcieć pytać o rodzoną matkę. Tak to działa. I chociaż jej ojciec pozostaje nieznany, tylko od niej zależy, czy zechce poszukiwać informacji dotyczących biologicznych rodziców. Swych naturalnych rodziców.

To zakrawa na ironię, lecz odkrycie, że Hilary nie żyje, tylko wzmocniło przywiązanie Iris do córki. I to było naturalne.

Owszem, nadal trudno jej było pogodzić się z utratą męża. Lecz Bóg świadkiem, że uczyła się, co prawda mozolnie, bez niego żyć. A jeśli chodzi o obietnicę daną Luke'owi: próbowała odnaleźć Hilary. To była podróż pełna melancholii. A teraz otwierał się przed nią nowy etap. Może trudno to nazwać objawieniem, lecz dzisiaj odkryła, że dotąd nie postrzegąła rozpacz jako procesu, który trwa i przemija. Fale przyplwają i odpływają, przetaczając się po tobie.

Pozwól, aby rozpacz stała się twoją oznaką odwagi – mówił jej Luke w tamtym śnie. Inspiracją, transformatywną odmianą morza. Najważniejszy jest szacunek. Odnajdź go we mnie. W sobie. W Rose. To mój dar dla ciebie.

*

Po piętnastu minutach dotarła przed dom kultury w Doonbeg. Ludzie, zgodnie z tutejszym obyczajem, parkowali samochody bez ładu i składu. Podjechała jak najbliżej wejścia i zdjęła z tylnego siedzenia kwiatową aranżację. W foyer grupka ludzi podziwiała rozwieszona na ścianach prace dzieci, nadesłane na konkurs rysunkowy o jazzie. Były tam obrazki przedstawiające kudłatych jazzmanów, żółte saksofony i dziwacznie powykręcane pianina.

Pierwsza nagroda przypadła autorowi niebieskiej gitary.

– Tutaj jesteś!

– Trochę się spóźniłam, przepraszam, Tess.

– Nie ma sprawy, kocie. – Odsunęła się o krok. – Ładnie wyglądasz.

– Widziałaś Rose?

– Jest w środku.

– Złap za kwiaty, zaniemiemy je na scenę. – Tess ruszyła w stronę wahadłowych drzwi.

Zatrzymała się z ręką na gałce. – Ty naprawdę szalowo wyglądasz.

Iris oblała się rumieńcem. Rzeczywiście się postarała. To było dla niej coś nowego. Ale czy to aż tak widać? Podążyła za Tess, klucząc pomiędzy rzędami krzeseł, i weszła po schodkach na nieco pustawą scenę. W rogu na tle czarnej kurtyny stała perkusja. Tess rozglądała się za miejscem na bukiet.

– Pozostaje pianino. Innego wyjścia nie widzę. Poszukam jakiejś podkładki. Sean urwie mi głowę, jeżeli zarysuję to nowe pianino. Zaraz wracam.

Tess miała na sobie letnią sukienkę bez rękawów w krzykliwych kolorach tworzących patchworkowy wzór. Jakaś jej ulubiona hiszpańska marka. Iris tej kiecki nie cierpiała. Tess o tym wiedziała: zdawała sobie sprawę, że ekstrawaganckie kolory jej przyjaciółka woli oglądać w ogrodzie.

Stała z bukietem na pustej scenie, nieco skrępowana, będąc tak na widoku. Z powodu Luke'a ominęły ją dwa ostatnie festiwale. Uzmysłowała sobie, że niektórych ludzi dawno nie widziała. Pomachała do niej Marjorie O'Neill. Una Brew i Mary O'Dea, koleżanki szkolne córki, zadawały jej nieme pytanie: Jest tu Rose? Czy powinna podejść do nich i się wytłumaczyć? Usprawiedliwić długą nieobecność? Może później to zrobi. Muzycy, przechodząc przez scenę do garderoby, pozdrawiali ją skinieniem głowy. W narożniku stanął młody człowiek w czarnej bejsbolówce i wyjął z futerału gitarę basową.

Dostrzegła Conora w tłumie na widowni. Rozmawiał z jakimś wysokim mężczyzną, którego twarzy nie widziała, bo stał odwrócony tyłem do niej. Hector? Czyżby to był on? Serce na sekundę zgubiło rytm. Conor ją zauważył i skinął głową. Nieznajomy w białej koszuli i w dzinsach się obejrzał.

To nie Hector.

Przebiegła wzrokiem po pełnej widowni. Nie ma go. Czemu nie wypytała Rose, co mówił? Czy córka wspomniała mu o koncercie? Jej też nie widzi. Gdzie może być? Ćwiczy? Czyżby się bała tego utworu? Przecież ją zachęcała, by chciała zagrać.

– No, mam. – Tess wbiegła na scenę i położyła na pianinie złotą serwetkę. – Nic lepszego nie udało mi się znaleźć.

Na serwetce widniała nazwa miejscowego kółka teatralnego i ich maskotka: charcik wyhaftowany zieloną nitką. Tess ze śmiechem odsunęła się na bok, a Iris ustawiła bukiet na obudowie pianina.

– Wygląda super – oceniła Tess. – Odwaliłaś kawał dobrej roboty. Jak ci się podoba? – Zerknęła na zegarek.

Iris nie odpowiedziała.

– Iris?

Jakiś ruch przy wejściu ściągnął jej uwagę. Ze stłumionym okrzykiem odwróciła się tyłem do widowni.

– Iris? Co jest?

– Muszę się stąd wydostać – szepnęła.

– Co? Czemu?

Pochylona, przemknęła obok pianina i zniknęła za kurtyną.

Tess dogoniła ją w damskiej garderobie.

– Coś się wydarzyło – wyznała przyjaciółce. – Próbowałam ci o tym powiedzieć... na lunchu. Ale... oj... Poznałam kogoś w Bostonie. On tu jest. Rose z nim rozmawiała. Przyjechał do domu, kiedy byliśmy w Ennis. Tess, on był u mnie w domu... a teraz... jest tutaj!

– Dobrze, już dobrze, uspokój się.

– Tess! Ja nie... jest tu... ja nie...

– Spokojnie. Powoli. – Tess poruszała rękami w górę i w dół, jakby przyglądała włosy. – Oddychaj.

Iris wydmuchała powietrze pod sufit.

– Spodziewałaś się go?

– Nie!

– Czyli on...

– Przyjechał za mną.

– Ha. Nieźle...

– Co mam robić?

– A co chcesz zrobić?

Iris przycisnęła dłonie do płonących policzków. Pokręciła głową.

– Nie wiem.

Tess parsknęła śmiechem.

– Biedactwo!

– To wcale nie jest zabawne.

– Masz rację. Przepraszam. Posłuchaj. Nie możesz sobie pójść. Musisz zobaczyć występ Rose i Conora. Poczekaj, aż wszyscy usiądą na swoich miejscach. Zostało parę minut do rozpoczęcia koncertu. Wtedy się przemkniesz. Łatwizna. Na naszych krzesłach leżą kartki z napisem: „Zarezerwowane”. W pierwszym rzędzie. – Ucisnęła jej dłoń. – Będę ci kibicować.

Ktoś uderzył w talerz perkusji i rozdźwięczyły się cymbały. Iris podskoczyła nerwowo.

– Gdzie jest Rose?

– Pewnie stroi skrzypce.

– Nie sędzę.

Tess ponownie spojrzała na zegarek.

– Muszę wrócić na salę i zająć się loterią. Dasz sobie radę, kocie. – W drzwiach jeszcze się obejrzała. – Jak on wygląda?

Iris posłała jej bezradne spojrzenie.

– Przystojny? Wysoki?

– Tess!

Kiedy poszła, Iris spojrzała na swe odbicie w lustrze i ciężko westchnęła. Spacerowała nerwowo po garderobie, wodząc oczami po ścianach i nasłuchując odgłosów z zewnątrz. Miała nadzieję, że za moment zjawi się Rose. Co chwilę skrzypiały drzwi, lecz to muzycy schodzili się do sąsiedniej garderoby. Ktoś rozmawiał po włosku. Dzieciaki ze śmiechem hasały przed sceną. Czas rozpocząć koncert.

Stała za kulisami, zdecydowana nie zaglądać na salę, jednak nie oparła się pokusie. Widownia była pełna po brzegi, wszystkie miejsca zajęte. Z pobliskiej szkoły przyniesiono długie ławy i ustawiono wzdłuż bocznych ścian. W rzędach obliczonych na dwadzieścia krzeseł stało ich po dwadzieścia pięć. Audytorium wypełniał szmer rozmów, szurgot krzeseł i nóg oraz pokasywanie i kwilenie dzieci.

Powiodła oczami po twarzach, lecz nie dostrzegła Hectora. Co właściwie czuła? Nie

potrafiła tego określić. Może najbliższej byłyby te motylki w żołądku zapamiętane ze szkolnych czasów. Gdyby on nie był taki... hawajsko ekscentryczny!

Zatrzymała wzrok na nieznanym, z którym wcześniej rozmawiał Conor. Kierował się do miejsca w ostatnim rzędzie, lecz wyraźnie patrzył prosto na nią. Ze spuszczonej oczami przemknęła do pierwszego wolnego krzesła przed sceną z napisem: „Zarezerwowane”. Usiadła zgarbiona z dłońmi na kolanach i skupiła się na studiowaniu programu.

Jakiś czas później poczuła, że ktoś nad nią stoi.

– Pani Bowen. Megaimpreza, co? Nie mogę się doczekać, kiedy zagramy z Rose.

– Tak, tak, Conorze. A swoją drogą, gdzie ona jest? Chciałam zamienić z nią parę słów.

– Powiedziała, że musi odetchnąć świeżym powietrzem. Pojechała na plażę. Wzięła Gerty. To znaczy moją furgonetkę. Powinna niedługo wrócić. – Conor zamilkł i powiódł spojrzeniem po sali. – Spoko. Wchodzimy dopiero po przerwie.

– Jeździła tam kiedyś z ojcem – powiedziała cicho Iris. – Do White Strand. Zawsze sami, we dwoje.

– Och. Nie wiedziałem... Dobrze. W takim razie poczekam na nią przed wejściem.

Odchodząc, wyjął telefon.

Tess szybkim krokiem szła przejściem między rzędami krzesel. Niosła metalową kasetkę.

– Ale narodu! Szaleństwo, co? – Siadając, przechyliła się do Iris. – Widziałas go? – spytała szeptem.

Pokręciła głową.

– Nie rozglądałam się!

– No dobra. – Tess odwróciła się do sali.

– Proszę cię, nie. – Iris przytrzymała ją za ramię.

Ich uwagę przyciągnął ruch na scenie. Pojawiło się tam trzech młodych mężczyzn. Dwóch wniósło gitary, a jeden skrzypce. Wszyscy byli wystrojeni w mniej lub bardziej znoszone smokingi. Ten z gitarą elektryczną przedstawił ich jako Smoking Jazzband.

– Fajnie wyglądają – oceniła Tess, a Iris z roztargnieniem pokiwała głową.

Zaczęli grać. Tess kiwała się do rytmu basowej gitary. Iris z zamkniętymi oczami usiłowała śledzić grę skrzypiec. Ledwo się zorientowała, że przestali grać.

– Jak się czujesz, kocie? – Tess trąciła ją łokciem.

– Tak sobie. Gdzie jest Rose?

Przyjaciółka powiodła oczami po sali, pomachała do kogoś i odwróciła się z powrotem.

– Jest z tyłu. Obejrzyj się na drzwi przez lewe ramię.

Rose stała z Conorem. Nie wyglądała na zdenerwowaną. Natomiast nadal nie widziała Hectora. Powoli się uspokajała. Smoking Jazzband wybrał na bis *Sweet Georgia Brown*. Ktoś w rzędzie za nią śpiewał. Mniej więcej połowa widzów nuciła, podśpiewywała lub tupiała do rytmu. Rozluźniła się i poczuła rażniej. Dobrze. Rose wróciła.

A może Hector wyjechał.

Może po prostu wymyśliła sobie tę jego wizytę. Fala gorąca, biorąc początek gdzieś w żołądku, rozeszła się po jej ciele. W tej samej chwili dotarło do niej, że jednak chciałyby go zobaczyć.

Smoking Jazzband zakończył bisowanie, muzycy uklonili się przy akompaniamencie gorących braw. Można by pomyśleć, że muzyka jazzowa pojawiała się w West Clare od wielkiego dzwonu. Jak gdyby tylko w ten jeden wieczór porывała ludzi, oferując im więcej oddechu w życiu. Podczas antraktu pootwierano drzwi i salę wypełniło przedwieczne słońce. Ludzie wstali z miejsc i rozmawiali zbici w gromadki. Część wyszła na dwór na papierosa, a niektórzy wyskoczyli na kufelek piwa do Tubridy. Trzy panie, krążąc po audytorium,

sprzedawały przygotowane przez Tess bilety na loterię. Pierwszą nagrodą była kolacja dla dwojga osób w Doonbeg Lodge. Drugą rodzinna wejściówka do Bunratty Castle & Folk Park, a trzecią umycie i podcięcie włosów wraz z modelowaniem w salonie fryzjerskim Petera Marksa w Ennis.

– Tobie przydałaby się pierwsza nagroda, a mnie trzecia – szepnęła Tess, wciskając Iris w rękę dwa bilety.

Stali przy swoich krzesłach odwrócone twarzą do sceny. Podeszli do nich Rose z Conorem. Rose przebrała się w czarną sukienkę i ściągnęła włosy do tyłu. Była bez makijażu. Wyglądała na zmęczoną – pomyślała Iris.

– Rose, świetnie wyglądasz – skomplementowała ją Tess.

– No nie, super! – poparł ją Conor.

– Dobrze się czujesz, skarbie? – spytała Iris

– Hm, taaak, chyba tak. – Opuściła głowę. – Trochę się denerwuję. – Conor położył dłoń na jej nagim ramieniu, a ona odwróciła się do niego, przy okazji strącając jego rękę. – Kim był ten mężczyzna, z którym rozmawiałaś, kiedy wróciłam?

– Masz na myśli tego gościa w białej koszuli?

– Tak.

– Mówiłem ci o nim. Wziął mnie na stopa, kiedy zepsuła mi się furgonetka, i podrzucił do waszego domu. Podarowałem mu bilet. Szkoda, że do nas nie podeszłaś. Chciałem was sobie przedstawić. Miły facet. Amerykanin. Mówił, że gra w golfa.

– Ach, to ten. – Rose była wyraźnie rozkojarzona.

– Zdaje się, że mamy tu dziś wysyp Amerykanów – zauważył Conor.

Tess się roześmiała, a Iris zmroziła ją spojrzeniem.

– No dobrze, zostawię was na trochę. – Tess zwróciła się do przyjaciółki. – Sprawdzę, co robią moje urwisy. Nie mogę się doczekać waszego występu – powiedziała do Rose i Conora. Odchodząc, uniosła w górę kciuki. – Powodzenia!

– Wiesz, Rose – zaczął Conor. – Ten gość w białej koszuli... Opowiedziałem mu trochę o tobie. Był pod wrażeniem. Oznajmił, że bardzo chciałby cię kiedyś poznać. Dał mi to. – Sięgnął do kieszeni. – Podobno to... coś w rodzaju amuletu. – Upuścił mały srebrny krążek na jej dłoń.

Obróciła go w palcach.

– Co to?

– Stara moneta. Z wizerunkiem zająca i harfy.

Rose podała ją matce.

– Dawna irlandzka trzypensówka – orzekła i oddała ją z powrotem.

– Powiedział, że ma nadzieję, że przyniesie ci szczęście.

– Raczej mało prawdopodobne. – Rose wzruszyła ramionami. – Ale miłe.

– Czasem szczęście się przytrafia, prawda, pani Bowen? Znaczą, Iris.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Podobno też chciał zostać muzykiem. Z jakiegoś powodu mu nie wyszło. Powiedział, że wierzy, że czeka cię wspaniała kariera.

Rose obejrzała obie strony monety i wrzuciła ją do kieszeni. Powiodła wzrokiem po audytorium, jakby chciała wypatrzeć tajemniczego mężczyznę, a może nawet mu podziękować. I rzeczywiście, sądząc po wyrazie jej twarzy, chyba kogoś zauważyła.

– Ej mamuś, czy to przypadkiem nie ten twój znajomy, Hector? O tam? – Wskazała ruchem głowy.

Iris, niewiele myśląc, obejrzała się w głąb sali.

– Aha, widzi nas – wyszeptała Rose.

Hector, lawirując w ciżbie, zmierzał w ich kierunku. Był prawie o głowę wyższy od większości ludzi na sali.

Iris, próbując uciec, zrobiłaby z siebie widowisko. Czowała się tak, jakby nagle zabrakło w sali powietrza i lada chwila miała zemdleć. Rose, widząc jej zdenerwowanie, wysunęła się do przodu.

– Witam, panie Sherr.

– Witam, witam, Rose. – Trzymał w dłoni bukiet. Skinął głową Conorowi, nie odrywając oczu od Iris. – Witaj. – Zaśmiał się, maskując zażenowanie. – Musiałem cię jeszcze zobaczyć. – Mówił tak, jakby oprócz ich dwojga nikogo tam więcej nie było. – Przepraszam. Musiałem.

Iris miała wrażenie, że ziemia usuwa jej się spod stóp. Targało nią tyle trudnych do nazwania emocji. A wszystkie zdominowała świadomość, że niewątpliwie cieszy ją jego widok. Hector. Hector Sherr. Pianista jazzowy. Stoi przed nią w domu kultury w Doonbeg, w samym środku zachodniej Irlandii.

– Rosie? – Conor dotknął jej ramienia. – Może byśmy...

– Mamuś?

Iris powiodła wzrokiem po twarzach obojga i na koniec zatrzymała go na Hectorze.

– Rose już poznałeś... dziś gra... z... z...

– Conorem – dokończył Hector. Spojrzała na niego zaskoczona. – Widziałem program.

Wiesz – zwrócił się do Rose – gracie mój ulubiony kawałek. – Wręczył jej kwiaty. – Powodzenia.

– Dwa podarki na szczęście. – Conor się ucieszył. – Musi się udać.

– Dzięki. Dziękuję, panie Sherr.

Mina Rose mówiła, że jest zmieszana i zaskoczona. Głęboko wciągnęła w płuca powietrze i wypuściła je z głośnym westchnieniem. Oddała kwiaty matce, wbiegła z Conorem schodkami na scenę i znikła za kurtyną, zostawiając Iris, ciągle jeszcze oszołomioną, z wysokim, opalonym mężczyzną w kolorowej koszuli, z półdługimi jasnymi włosami, sterczącymi zza uszu jak skrzydła, i z ciepłymi, pogodnymi oczami.

– Mogę usiąść przy tobie? – spytał.

Kiwnęła głową i padła na krzesło z bukietem na kolanach. On zajął miejsce po jej lewej stronie.

Wróciła Tess i widząc, że jej krzesło zostało zajęte, nie mrugnawszy okiem, usadowiła się pomiędzy dziećmi na podłodze przed pierwszym rzędem. Zachichotały rozbawione, lecz szybko je uciszyła.

Najpierw na estradę wyszedł Sean, mąż Tess. Objął, że w drugiej części wieczoru wystąpią duety, złożył wyrazy uznania dla wolontariuszy z komitetu organizacyjnego, ogłosił nazwiska zwycięzców loterii i podziękował sponsorom, bez których to przedsięwzięcie nie doszłoby do skutku.

– Jeżeli ktoś widzi wolne krzesło, może będzie tak dobry i zaprosi moją żonę, tego tytana pracy, bo biedactwo siedzi tutaj na podłodze. – Śmiech przetoczył się po audytorium, tu i ówdzie rozległy się zapraszające okrzyki. – Tess, tam, z tyłu. Podziękuj sympatycznemu panu i niech zabrzmi muzyka.

Cała sala odprowadziła ją wzrokiem, gdy podniosła się z podłogi i pobiegła truchcikiem do miejsca, które ustąpił jej mężczyzna w białej koszuli i dżinsowej marynarce, wycofując się pod ścianę.

Pierwsza w programie znalazła się jazzowa wersja *As Time Goes By* z *Casablanki*. Hector zerknął na Iris, lecz ona z uporem wpatrywała się w scenę, na którą weszło dwoje muzyków: nastoletni chłopak z harmonijką ustną i mniej więcej dwudziestoletnia dziewczyna z niebieskimi

skrzypcami elektrycznymi. Pod koniec pierwszej frazy Hector zaczął nucić. Boże drogi, co on wyprawia. Potem już cicho śpiewał.

Ona też знаła słowa. Samo życie...

W pewnej chwili Hector umilkł i poszukał jej dłoni. Z przymkniętymi oczami odwróciła się półprofilem do niego, a rękę oswobodziła dopiero po zakończeniu utworu, żeby wraz ze wszystkimi bić brawo.

*

Rose nie czuła tremy przed grą dla lokalnej publiczności. Nawykła do występów. Iris patrzyła, jak pierwszy duet schodzi ze sceny, ustępując miejsca jej córce i Conorowi. Stanęli obok siebie. Zimny pot wystąpił Iris na czoło. Oklaski ustały. Ciszę wypełnił szmer oczekiwania.

Conor uklonił się, oparł skrzypce na obojczyku, przytrzymując je podbródkiem, i położył smyczek na strunach. Zaczął grać wstęp. Rose czekała na swoją kolej ze skrzypcami i smyczkiem w swobodnie zwisających rękach. W pewnej chwili pochwyciła spojrzenie matki, płynnym ruchem cofnęła się o krok, podniosła skrzypce i przycisnęła brodę do podbródka instrumentu. Odczekała jeszcze moment z opuszczonym smyczkiem, po czym uniosła go i dołączyła do Conora.

Niektórzy ludzie czy to w trakcie rozmowy, czy podczas występu, czy też w każdej innej sytuacji ściągają na siebie uwagę. Tak właśnie było z Rose. W dodatku wyglądała pięknie. Iris wcale sobie nie wymyśliła, że publiczność słucha jej z zapartym tchem. Jej córka miała sekretny dar perfekcyjnego wyrażania siebie poprzez muzykę. Idealne ułożenie ręki ze smyczkiem. Skrzypce uniesione wysoko, ramię zgięte w łokciu dokładnie tak, jak uczył Andreas.

Iris czuła, jak serce jej rośnie i ogarnia ją euforia, którą gotowa jest obdzielić wszystkich i wszystko. Różowa poświata sączyła się do środka przez okna. Sprzedawczynie loteryjnych biletów przestały liczyć pieniądze, a dzieci szeleścić papierkami po słodyczach. Wszyscy słuchali jak urzeczeni. I ci kaszlący. I nieznajomy w białej koszuli. I jej najlepsza przyjaciółka Tess. I Conor. I ten mężczyzna obok niej.

Hector, czując, że opuściło ją napięcie, zaczął cicho nucić:

– Gdzieś nad tęczą latają niebieskie ptaki...

Popatrzyła na niego trochę karcąco, a trochę z rozbawieniem.

I nagle muzyka straciła na intensywności.

Rose opuściła smyczek i znieruchomiała. Zjadły ją nerwy czy się pogubiła? Publiczność zamarała wraz z nią. Iris wstrzymała oddech. Znała tę minę córki. Jeszcze chwila i będzie tragedia. Wybuchnie płaczem. Zacznie dygotać.

– Co się dzieje? – wyszeptał Hector.

Iris nie odrywała oczu od Rose. Otworzyła je szerzej, jakby dając do zrozumienia: jest dobrze. Nic się nie stało. Conor nie przestawał grać. Odwrócił się bokiem do publiczności i wpatrywał się w dziewczynę, pytając unosząc brwi. Rose drżała.

– Mogę? – zapytał Hector.

– Co takiego?

– Znam tę wersję.

Iris nie wiedziała, o co właściwie ją pyta. A on poderwał się z miejsca i w paru susach pokonał schodki na scenę. Błyskawicznie usiadł do pianina z bukietem w konewce. Conor grał teraz wolniej, melancholijnie, dając Rose szansę na wejście, lecz ona stała jak wmurowana ze wzrokiem utkwionym w matkę, która kiwając głową, bezgłośnie wypowiadała słowa mówione przez wszystkie matki w chwilach zwątpienia, rozpacz i emocjonalnych kryzysów. Nic się nie stało, skarbie. Będzie dobrze. Głowa do góry. Śmiało...

Hector dołączył do Conora. Przez chwilę grali razem.

Rose nadal stała bez ruchu. Hector zaimprovizował jazzowe solo, a Conor w tym czasie podszedł do skrzypaczki i przesadnym frazowaniem zapraszał ją do gry. W końcu zebrała się w sobie i dołączyła do muzyków. Nawet bukiet Iris nabrał teraz życia: małe limonkowo-żółte kwiaty przywrotnika drżały w rytmie uderzeń w klawisze.

Palce Hectora migały po klawiaturze; dobry Boże, jak on potrafi grać! Conor uśmiechał się szeroko, drętwa dotąd twarz Rose nabrała wyrazu. *Problemy rozplývają się jak cytrynowe cukierki...*

Tess, nie tracąc czasu, wróciła na swoje miejsce.

– Jest dobrze – wyszeptała, obejmując przyjaciółkę. – Luke byłby szczęśliwy. Cieszyłby się, patrząc na Rose. I na ciebie, Iris.

Nostalgiczne, słodkie, tęskne tony *Somewhere Over the Rainbow* wypełniały audytorium. Każda z zasłuchanych osób miała swoje ciche pragnienia i w tej chwili wierzyła, że one się spełnią.

Rose i Hector jako zawodowcy wiedzieli, kiedy najlepiej grać razem, a kiedy solo. Cała trójka bawiła się tą piosenką, budząc entuzjazm publiczności. Na znak Hectora Conor cofnął się w głąb sceny, ustępując miejsca Rose. Jej smyczek, fruując niczym jeden z tamtych niebieskich ptaków, zmienił ją całą w muzykę.

Gdy wybrzmiały ostatnie tony melodii, publiczność zerwała się z miejsc, nagradzając trio burzą oklasków. Iris była pewna, że na żadnym jazzowym koncercie Hector nie spotkał się z tak gorącym aplauzem. A on podniósł się od pianina dopiero na zaproszenie Conora i z typową dla siebie skromnością stanął obok Rose. Ukłonił się dziewczynie, budząc tym kolejną falę oklasków, po czym dyskretnie usunął się za kulisy, zostawiając na scenie dwójkę młodych artystów, żeby mogli nacieszyć się brawami.

Po chwili wszyscy wykonawcy, oprócz Hectora, dołączyli do duetu na scenie. Ukłonili się kilkakrotnie i żegnani gromkimi oklaskami rozeszli się do swoich garderób.

– Boże, Iris! To był odlot! Po prostu odlot! A ten rycerz w hawajskiej koszuli, który ruszył na ratunek? Muszę go poznać!

Oszołomiona Iris nie była w stanie wypowiedzieć słowa. Skinęła tylko głową, patrząc szklanymi oczami na przyjaciółkę.

– Och kocie! – Tess uściskała ją dyskretnie. – Jest dobrze. No popatrz, ta lekarka miała rację, mówiąc, że sporo się dzieje! Ha! Gdyby tylko wiedziała! Słuchaj, muszę bieć. Mam parę spraw do załatwienia. Zobaczymy się później. Dasz sobie radę. Aha, potem całą gromadą spotykamy się na imprezce. Sean kupił kilka szampanów. Trzeba to oblać.

Sala powoli pustoszała; ludzi ciągnęło na dwór, bo było jeszcze jasno. Iris została na swoim miejscu. Z zamkniętymi oczami recytowała w myślach słowa *Over the Rainbow*.

Ktoś dotknął jej ramienia.

– Pani Bowen?

– Tak. Słucham? – Wyrwana z zadumy, otworzyła oczy i spojrzała w górę.

– Przepraszam, że przeszkadzam.

Stał nad nią tamten mężczyzna w białej koszuli.

– Nic nie szkodzi.

Wstała, nadal trzymając bukiet Hectora dla Rose.

– Chciałem tylko powiedzieć... hm... że ona... że pani córka, Rose, jest naprawdę niesamowita. I... taka piękna.

– Tak, to prawda.

Iris nadal brzmiała w uszach muzyka.

– Świetnie grała. Musi pani być bardzo dumna.
– Jestem. Dziękuję. Tak, jestem z niej dumna. Ale wszystko, co osiągnęła, zawdzięcza wyłącznie sobie. – Nie pierwszy raz obcy ludzie podchodzili do niej z gratulacjami, lecz ten mężczyzna wydał jej się dziwnie znajomy. Te jego oczy... Czy to możliwe, że już kiedyś go widziała? – To pan podarował Rose tę monetę?
– Tak... na szczęście.
– Bardzo ładny gest. Ale jest pan pewien? Może powinna...
– Ten pieniążek należał do kogoś bardzo mi bliskiego. Mojego dziadka. Niedawno zmarł i ja...
– Och, współczuję.
Przez moment miała wrażenie, że jej rozmówca się rozplacze.
– Miał na imię Burdy – mówił, wpatrując się w program w swojej dłoni. – Dziadek zawsze chciał, żebym pojechał do Irlandii. Chyba miał nadzieję, że któregoś dnia ja... – Spojrzał na pustą scenę, a potem na Iris. Jego ściągnięte rysy nagle się rozluźniły. Czekala na dalszy ciąg, czując, że to nie koniec. – Właśnie mi się przypomniało coś, co przepowiedziano mi dawno temu. „Pojedziesz do Irlandii, odnajdziesz dziewczynę i w twoim życiu zajdzie zmiana”.
Zamilkł, jakby się zamyślił nad znaczeniem tych słów.
– I...? – zachęciła go Iris, patrząc, jak jego twarz się wypogadza. Nie wiadomo dlaczego przyszedł jej na myśl kwiat maku powoli otwierający kielich, gotowy rozwinąć płatki.
– No tak. Cóż. Jestem tutaj.
– No, ale czy pan ją znalazł?
– Tak. – Zawiesił głos. – Znalazłem ją.
Myślała, że wróci do tej potrójnej przepowiedni, on jednak tego nie zrobił. Może powinna go zapytać, lecz coś w tonie jego głosu i w spojrzeniu podpowiadało jej, że rzeczywiście w jego życiu zaszła zmiana.
– Zaczeka pan, żeby poznać Rose? Powinna zaraz się pojawić.
– Nie, nie. – Jeszcze raz zerknął na scenę i już odchodząc, jakby się zawahał. – Może innym razem. – Milczał chwilę, a potem uśmiechnął się smutno, chyba znowu bliski łez. Wyciągnął rękę na pożegnanie. – Proszę przekazać Rose, że życzę jej dużo szczęścia. I... chociaż ona nigdy nie poznała mego dziadka Burdy’ego, wiem, że on nad nią czuwa. A...
Iris patrzyła na niego wyczekująco. Widziała, że pragnie jeszcze coś dodać, lecz zanim się przełamał, zadzwoniła jego komórka. Puścił jej dłoń i sprawdził numer.
– Miło mi było panią poznać, pani Bowen. Mam nadzieję, że może kiedyś będzie jeszcze okazja się spotkać. – Telefon dzwonił uporczywie. – Do widzenia.

*

Rowan Blake głównym przejściem dotarł do wahadłowych drzwi i wyszedł na dwór, gdzie już robiło się ciemno.

Dopiero teraz odebrał telefon.

– Halo... Pierce... tak... dobrze... Tak... Ma wspaniałe życie... Nie... Nic z tych rzeczy... Dam radę... Tak należało... Jestem szczęśliwy. Naprawdę, uwierz mi. Pierce, ona jest taaakaa piękna!

Na koniec poprosił brata, aby zawiadomił matkę, że wraca pojutrze. A najdalej za dwa dni.

Szedł chodnikiem wzdłuż rzędu zaparkowanych aut i paru traktorów. Wyglądało na to, że wszyscy po koncercie ruszyli do okolicznych pubów. Świętowanie trwa dalej – pomyślał. Ludzie rozmawiali i śmiali się, stojąc na dworze z kufelkami i szklankami lub siedząc na wyniesionych

ze środka krzesłach. Podobała mu się ta swobodna atmosfera. Było w niej coś sielskiego. W tej chwili życie na Manhattanie wydawało mu się czymś abstrakcyjnie odległym i wcale nie czuł się osamotniony wśród dochodzących go zewsząd radosnych głosów.

To tutaj wychowała się Rose. To jest jej dom – myślał. I dobrze jej się życie układa. Nie, więcej niż dobrze, wspaniale.

Tylko tyle chciał wiedzieć.

Wkrótce znalazł się przed hotelem. Poszedł do swego pokoju. Wyjął paczuszkę, którą dał mu Pierce, i przesypał zawartość do plastikowej szklaneczki. Kiedy ostatnie promienie słońca zgasły nad zachodnim wybrzeżem, Rowan Blake wyszedł na hotelowe pole golfowe, kierując się prosto do osiemnastego dołka. Widział stamtąd sięgający horyzontu Atlantyk oznaczony białymi grzbietami fal. Przez chwilę stał nieruchomo, wciągając w płuca morskie powietrze. A potem rozpostarł ramiona i jak chłopiec puszcający latawca krążył po murawie z przechyloną szklaneczką w dłoni.

– Dziadku Burdy! – zawołał, zadzierając głowę do nieba. – Miej na nią oko!

Drobinki popiołu wirowały unoszone wiatrem jak piórka.

*

Rose w paru susach pokonała scenę i schodki. Śmiejąc się, naciągnęła Conorowi na twarz wełnianą czapkę.

– I jak?! – zawołała do matki.

– Cudownie. – Iris zamknęła córkę w objęciach. – Fantastycznie. Odlot, jak powiedziała Tess. Naprawdę, skarbie... to było... magiczne. Żałuję, że was nie nagrałam.

– Nie ma problemu – odezwał się Conor. – Damy prywatny koncert. A teraz, kiedy mamy tercet...

Rose ostrzegła go kuksańcem.

– Ja tylko tak – wycofał się, zerkając na Iris, a ona w odpowiedzi lekko się uśmiechnęła. – To co? Lecimy do Tubridy?

– A może do Morrissey's? – podsunęła Rose. – Co, mamuś?

– Niedługo do was dołączę – obiecała. – A wy biegnijcie. – Spojrzenie Rose mówiło, iż odgadła, że matka czeka na Hectora. – I powiedzcie Tess, żeby też tam wpadła.

*

Usiadła z powrotem w pierwszym rzędzie zapatrzona na scenę i na pianino z bukietem w konewce. Jej bukietem. Kwiaty kosmosy pierzastolistnej jarzyły się bielą, a maki prężyły płatki, choć zapomniała przypalić łądźki.

Wszyscy już wyszli. Audytorium, jeszcze niedawno tak gwarne, wypełniała cisza. Czekala. Niebawem powinien się zjawić. Myślała o tym, że zamknęła za sobą pewien etap. Życie toczy się dalej. Po tym wszystkim, czego doświadczyła, szukała słowa, którym mogłaby nazwać to, co właśnie czuła, ten cud łaski. Nie, nie ma takiego określenia, jest tylko wrażenie długiego, swobodnego oddechu, który zasklepia rany.

Zza kulis wyłonił się Hector Sherr. Stąpając cicho, wyszedł na scenę ze spuszczonej oczami. Stał na środku i przez chwilę patrzył na Iris, a potem jej się uklonił. Wysunął stół, usiadł do pianina i zagrał jeszcze raz – tylko dla niej. Dla Iris Bowen.

Podziękowania

Mam dług wdzięczności wobec wielu osób; bez nich ta książka by nie powstała. Hope Dellon z St Martin's Press wspomagała mnie swym redaktorskim doświadczeniem. Mój agent Rowan Lawton z Furniss Lawton, Rachel Mills i Caroline Michel z literackiej agencji Peters Fraser and Dunlop od początku do końca wierzyli w powodzenie tej historii. Dziękuję członkom National Academy of Writing w Londynie; przede wszystkim jej administratorce Renie Brannan i dyrektorowi Richardowi Beardowi.

Członkom Klubu Czytelniczego w Kiltumper jestem wdzięczna za utrzymywanie mnie w przekonaniu, że przede wszystkim liczy się fabuła. To cud, że wytrzymali, wspierając mnie przez ponad siedem lat. Serdeczne dzięki dla Marie O'Leary, Siobhan Phelan, Isobel O'Dea i dla mojej siostry Deirdre Breen. To one czytały pierwszą wersję powieści i dodawały mi otuchy.

Nie potrafię wyrazić w słowach wdzięczności dla Nialla Williamsa, który wierzy we mnie od tamtego dnia sprzed bardzo wielu lat, kiedy poznaliśmy się na kawie w uniwersyteckiej kafejce w Dublinie. Bez niego – i bez naszych dzieci – nigdy nie powstałaby ta opowieść.